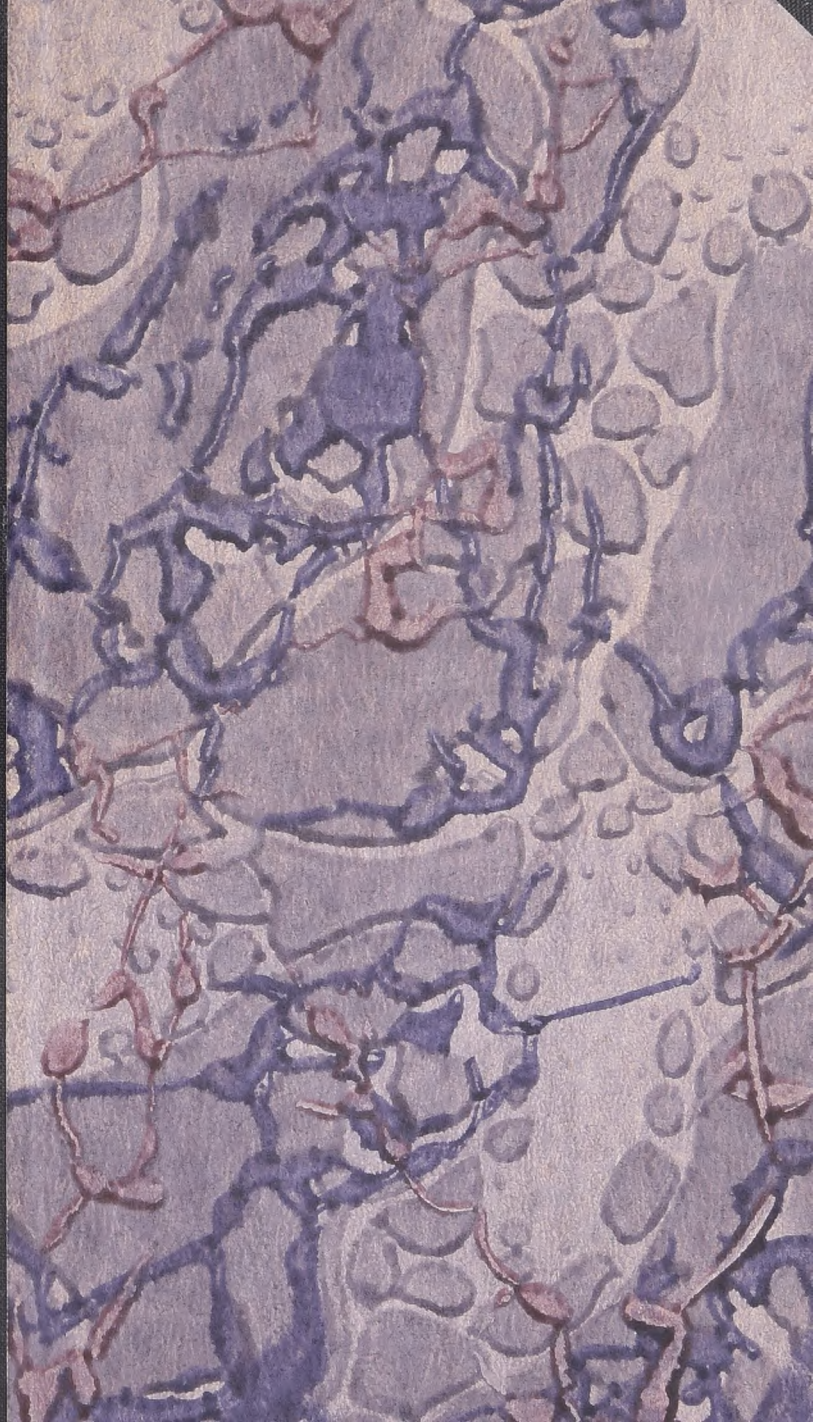




WINCENTY OGRODZIŃSKI

EUZEBIUSZ FRANCISZEK STATECZNY
REPREZENTANT „MŁODEJ POLSKI” W PROZIE GÓRNOŚLĄSKIEJ

KATOWICE 1938



EX-LIBRIS

— WOJEWÓDZKIEJ —

— I MIEJSKIEJ —

— BIBLIOTEKI —

— PUBLICZNEJ —

III. EMANUELA SMOŁKI

— W OPOLU —



O. EUZEBIUSZ FRANCISZEK STATECZNY

20,-
WINCENTY OGRODZIŃSKI

O. EUZEBIUSZ FRANCISZEK STATECZNY
PRZEDSTAWICIEL „MŁODEJ POLSKI” W PROZIE GÓRNOŚLĄSKIEJ

KATOWICE 1938



5151 S

884(091): 92

OSOBNIE ODBICIE Z ROCZNIKÓW TOWARZYSTWA
PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU. VI. 1938

ZBIORY ŚLĄSKIE

DRUKARNIA DZIEDZICTWA W CIESZYNIE, UL. POKOJU 6

ABC P Nr 327/72/S

I. MATERIAŁY BIOGRAFICZNE

Przed 3 przeszło laty zwrócił mi ks. prałat dr Szramek uwagę na jednego z najciekawszych prozaików górnośląskich o. Euzebiusza Statecznego i użytył wydatnej pomocy w zbieraniu materiałów do jego życiorysu i działalności, a przede wszystkim ułatwił znajomość z bratem omawianego tu pisarza, drem Walentym Statecznym i wydobył niektóre rękopisy, przechowywane przez śląską prowincję Braci Mniejszych. Materiały, uzyskane od ks. prałata Szramka i dra Statecznego, zaintrygowały mnie do tego stopnia, że na własną rękę zacząłem dalsze poszukiwania, które nie zawsze dały pożądaną wynik, ale w badaniach moich, jadąc niejako rzemiennym dyszlem od ludzi do ludzi, gromadziłem przez 3 lata drobne często cegiełki, pozwalające wszakże na zbudowanie jakiegoś pewnego gmachu, w którym, zapewne, znajdą się partie niewykończone, skazane prawdopodobnie nadal na stan dotychczasowy. Gdybym był przekonany, że da się je wykończyć, wstrzymałbym się z drukiem dotychczasowych wyników, które i tak kilkakrotnie już przerabiałem. Tej pewności atoli już nie mam i dlatego podaję to, co zdołałem zebrać. Informacji bardzo cennych udzielili mi prokurator generalny Zakonu o. Beniamin Ryziński z Rzymu, b. prowincjał o. Benedykt Wiercioch ze Lwowa, ś. p. zasłużony historyk Zakonu bernardyńskiego o. Czesław Bogdalski z Krakowa, o. Innocenty, gwardian klasztoru w Leżajsku, o. Pius Szewczyk, b. gwardian O. O. Reformatorów w Krakowie i o. Wincenty Rejmer, gwardian z Włocławka. Z wdzięcznością również wspominam tych wszystkich, którzy ochotnie używali mi rzadkich nieraz egzemplarzy czasopism, jak pani Koraszewska i p. Tomasz Kowalczyk z Katowic, oraz zarządy bibliotek Seminarium duchownego śląskiego i O. O. Jezuitów w Krakowie. P. Szymkowiak z Katowic udzielił mi do wglądu dwu zeszytów z pierwocinami prac o. Statecznego.

W miarę zaznajamiania się z przedmiotem mej pracy, począłem się do niego zapalać mimo przeszkód i niedostatku potrzebnych informacji, albowiem zamiast życiorysu spokojnego zakonnika wyłaniał się coraz wyraźniej żywot „syna wieku”, który, parafrazując niezgrabny, a przecież wymowny tytuł jednej z książek Michała Czaikowskiego (*Dziwne życia Polaków i Polek*), można by nazwać: *Dziwne życie Górnioślązaka*.

Najpokaźniejszy materiał spoczywa w niedrukowanej jak gdyby autobiografii Statecznego, którą nazywać będziemy ostatecznie nadanym przez autora tytułem: *Samoobrona i Samopotępienie*. Odnosi się ona do 50 lat życia autora, ale i w tym zakresie nie jest bezwzględnie miarodajna. Spisana po wielu latach, tchnie wielkim subiektywizmem, wynikającym zarówno ze stanu duszy autora, jak z tendencji, która wywołała jej powstanie, jak wreszcie z braku decyzji, czym miała być ta książka: czy tendencyjną spowiedzią publiczną, czy utworem literackim. Miesza się w niej *Dichtung und Wahrheit* często niezależnie od woli autora, wpływają zaś one przede wszystkim ze skłonności oskarżycielskiej względem siebie i innych oraz z nieodporności autora na świadomy i podświadomy wpływ lektury. Zacierają się w niej granice między rzeczywistością, choćby widzianą przez pryzmat samobiczowania, a wpływem lektury czyli literaturą; autor łudzi się nieraz, że pisze najszczerzą prawdę, a biograf jego, nie rozporządzając czasem innym materiałem, musi zachowywać wielką ostrożność, powierzając się często intuicji w ocenie wiarogodności niesamowitych wynurzeń. Korzystać przecież z nich nie tylko było można, lecz nawet trzeba i to nie dla ich charakteru jedyne go niejednokrotnie świadectwa, ale przede wszystkim z powodu pewnej właściwości wspólnej wielu pisarzom górnośląskim. Jeżeli Prus charakteryzował ustami Ramzesa XII starożytnych Greków jako naród obdarzony taką fantazją, że nawet gdyby chcieli, nie zdolają powiedzieć murowanej, nieupiększonej prawdy, to o pisarzach górnośląskich na odwrót można twierdzić, że niezdolni są oderwać się od rzeczywistości na tyle, żeby ją przekształcić w twór wyobraźni. Rzeczywistość wbrew ich woli odzywa się z każdego niemal szczegółu i zadanie badacza upraszcza się do ustalenia, w jakich okolicznościach jakiś szczegół umiejscowić, jakie znaczenie nadać mu w całokształcie wyników badania. Jeżeli więc Stateczny zamyślał z *Samoobrony i Samopotępienia*

zrobić nie tendencyjny pamiętnik wyłącznie, lecz literacki, a raczej beletrystyczny pamiętnik przeżyć i przemyśleń, coś w rodzaju romansowej autobiografii, — a za tym przypuszczeniem przemawiają niektóre szczegóły, — to ostrożność korzystającego z takiego materiału biografa jest nakazem wprost prymitywnym. Jeżeli jednak przyjmiemy drugą ewentualność, to znowu *Samoobrona i Samopotępienie* nie mają wartości zwykłego pamiętnika, gdyż odbiera im ją własne świadectwo jako wytworowi chorobliwemu. Według bowiem tego świadectwa pisał to samooskarżenie nie ten Stateczny, którego znamy z olbrzymiej większości jego prac drukowanych, bystry, choć namiętny obserwator i badacz faktów, lecz „drugi” Stateczny z okresu „okrutnego rozłamania”, jak sam określa swój stan, a raczej silnej neurastenii, jakby to określili najostrożniej postrojni. Ten stan nie trwa stale, miewa momenty nasilenia, osłabienia, a nawet dłuższego zaniku. *Samoobrona* czyli część I omawianego tu rękopisu powstała w chwilach nasilenia owego stanu, część II czyli *Samopotępienie* w chwilach jego osłabienia, inne dzieła i pisma, wydawane drukiem, w okresach zdrowia. Tak przedstawia się rzecz, jeżeli przyjmiemy charakter nieliteracki *Samoobrony i Samopotępienia*, a więc nadamy im wartość dokumentu biograficznego bez większych zastrzeżeń; wtedy chronić będą one badacza od t. zw. brązownictwa, ale popychać go w przeciwnym kierunku do wiwisekcji, nie dopuszczają do stworzenia postaci, pozbawionej życia i wyrazu, lecz zachęcać mogą do ociekającego krwią preparatu anatomicznego.

Jeżeli jednak *Samoobrona i Samopotępienie* były tylko próbą stworzenia autobiografii romansowej, to wartość ich jako dokumentu słabnie, lecz nie ginie zupełnie, albowiem w zachowanym nam kształcie zwłaszcza w części II są jeszcze w stanie tworzenia się artystycznego, są jeszcze nieprzetworzonym literacko półsurowcem, który autor porzucił w pół pracy, uznawszy widocznie, że podjął się zadania nad siły. W jednym i w drugim wypadku trudno myśleć o opublikowaniu całości.

Praca niniejsza jest, o ile mi wiadomo, pierwszą próbą życiorysu i charakterystyki o. Euzebiusza Franciszka Statecznego, którego zarejestrowały tylko: ks. bisk. Józefa Sebastiana Pelczara: *Zarys dziejów kaznodziejstwa w Polsce*, drugie przejrzone i poprawione wyd. Kraków 1917, str. 433 i

ks. K a m i l a K a n t a k a: *Bernardyni Polscy*, Lwów 1933, t. II, str. 571—572¹⁾).

II. MŁODOŚĆ (1864—1888)

We wsi Witosławice, należącej do parafii w Grzędzinie, w powiecie kozielskim, żył ród od dawna tam zasiedziały i rdzenie polski Statecznych. Nazwisko to wyrosło z pierwotnego przydomka, gdyż w w. XVII członkowie jego byli zapisywani jako Korczewscy. W połowie XIX w. jednym z przedstawicieli rodziny Statecznych, żyjącym na roli w Witosławicach, był Józef, ożeniony z Pauliną Kirchniawą²⁾, siostrą głośnego później autora katechizmu dla dzieci ks. Franciszka Kirchniawego, pochodzącego również z Witosławic³⁾.

¹⁾ W rok niemal po śmierci o. Statecznego w dniu 1 lutego 1922 r. Urząd prowincjański zakonu OO. Bernardynów we Lwowie, a raczej sekretarz prowincji P. Otho Żugaj w nekrologu zbiorowym współbraci zmarłych w r. 1921 tyle podał o naszym autorze: „O. Euzebjusz Stateczny, ur. w r. 1864 w Witosławicach na Górnym Śląsku, do Zakonu wstąpił w Rzymie w r. 1884 — tu też wyświęcony w r. 1889 wykładał klerykom zakonnym filozofię. W r. 1898 przeniósł się do prowincji galicyjskiej, gdzie pracował dalej w zakresie filozofii. Ogłosił drukiem: „Historia philosophiae“, Kazania niedzielne (2 tomy) „Jezus Chrystus“, „Żywot św. Franciszka serafickiego“ opracowany bardzo sumiennie — „Dokumenty do żywota św. Bonawentury“ — „Listy o wymowie“. Bawiąc w Rzymie zasiliał niektóre dzienniki polskie artykułami z zakresu historii sztuki. Mieszkał w Polsce w różnych klasztorach, ostatnio w Kole na Kujawach, skąd jadąc na Śląsk na plebiscyt, zmarł w czasie podróży w klasztorze OO. Bernardynów w Leżajsku“. (Gazeta Kościelna, r. XXIX, str. 81-2, nr 7 z 1 IV 1922.)

Czytelnik niniejszego zarysu zauważy bez trudu wszelkie nieścisłości i niedokładności nekrologu, który mógł wypaść inaczej, gdyby sekretarz prowincji był zadał sobie nieco trudu i postarał się o ściślejsze wiadomości czy to z aktów archiwum prowincjańskiego, czy też z bibliografii prac Statecznego, zamieszczonej np. w wydaniu książkowym „Listów o wymowie“. Jeżeli to było mu za trudne, mógł od o. Wierciocha zaczerpnąć informacji ustnych o życiu nieboszczyka, a od śp. o. Bogdalskiego, pracującego nad bibliografią bernardynską w Polsce, otrzymać wykaz prac, sporządzony krótko przed śmiercią przez Statecznego.

Nekrolog ten bałamuci jeno badacza, który chciałby mu wierzyć jako informacji urzędowej i tylko dzięki przekręceniom tytułów dzieł poczyną powątpiewać w dokładność dat z życia, tracąc jednak dość czasu na zebranie dowodów, jak to było rzeczywiście.

²⁾ Imię matki: Paulina podaję na podstawie listu autobiograficznego w r. 1913 i listu dr. W. Statecznego. W schematyzmach zakonnych jest zamiast niego: Apolonia, imię babki Statecznego.

³⁾ O ks. Kirchniawym p. Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku, II, str. 58—59. O nim, jako o autorze katechizmu wspomina Stateczny w recenzji katechizmu ks. W. Gadowskiego (Miesięcznik Kośc. X [1913], str. 151—159.)

Z tego małżeństwa urodził się w niedzielę, dnia 1 października 1864 r. syn, któremu nadano imię wujowskie: Franciszek, zwłaszcza że w następnych dniach przypadało święto św. Franciszka Serafickiego. Do dziewiątego roku życia przebywał chłopiec w domu rodzicielskim, uczęszczając do szkoły ludowej w pobliskim Grzędzinie. Pobyt jego w tej szkole wypada na okres przełomowy, gdyż jeżeli w pierwszych dwóch latach korzystał jeszcze z nauki polskiej, może już tylko nominalnej, to od r. 1872 uczy się tylko po niemiecku. Rozporządzeniem bowiem z dnia 20 września 1872 r. zaprowadziła rejencja opolska we wszystkich szkołach ludowych Górnego Śląska język niemiecki jako wyłącznie wykładowy, gdyż dopuszczenie języka polskiego w nauce religii na stopniu niższym miało znaczenie czysto teoretyczne, skoro nauka pacierza i materiału pamięciowego, czyli właśnie przeważającej części programu na tym stopniu miała się odbywać po niemiecku.

W Grzędzinie prawdopodobnie już wcześniej zaczęła się germanizacja szkoły, gdyż Stateczny, pisząc w dwadzieścia kilka lat później o szkolnictwie górnośląskim⁴⁾, nie wspomina nic o swojej polskiej nauce w szkole, lecz stwierdzając, że dała mu ona wiedzę po niemiecku, z wdzięcznością podkreśla, że matka go „tylko czytać nauczyła i pisać” po polsku i że „nauka matki pochłoneła materiał niemiecki na szkodę szkoły niemieckiej”. Siostra ks. Kirchniawego po tylu latach została w oczach syna „wzorem matek śląskich polskich”. W tym czynie matki wolno dopatrywać się wpływu jej brata, wyświęconego w roku 1871 na księdza, a wkrótce odsiadującego karę trzechtygodniowego więzienia za rozszerzanie książek religijnych w czasie walki kulturalnej.

Zapewne także przykład brata oddziałał na postanowienie rodziców o losie małego Franciszka. Miał on kształcić się wyżej, aby zostać księdzem, i dlatego, gdy miał 9 lat, oddali go rodzice do pobliskiego Raciborza do szkoły ludowej na 1 rok, a potem do szkoły realnej, gdyż — jak sam później się wyraził — „wtedy jeszcze próg gimnazjum był dla mnie za wysoki”. Widocznie znajomość języka niemieckiego nie wystarczała do sprostania nauce gimnazjalnej. Dopiero po 2 latach przeszedł do gimnazjum, lecz o szkole realnej zachował miłsze

⁴⁾ Urywki o Śląsku II, 3 w „Gazecie Opolskiej” nr 94, z 23 XI 1897 r.

wspomnienie; uważał, że w niej najwięcej skorzystał. W Raciborzu mieszkał na stacji, najpierw przez cztery lata u jakiegoś rzeźnika, gdzie warunki były pod każdym względem szkodliwe dla wrażliwego chłopca. Nie miał ani odpowiedniego miejsca do odrabiania lekcji, ani towarzystwa, mogącego dodatkowo oddziaływać. Czystości w ogóle nie było w tym domu; w niechlujstwie, które go raziło, przestając z brudnymi i zepsutymi terminatorami, przeżywał okres przełomowy w życiu chłopców. Jeszcze po kilkudziesięciu latach budziły te wspomnienia w Statecznym obrzydzenie. Chłopiec zamknięty w sobie, zbierający w duszy wrażenia i spostrzeżenia, których nie umiał i nie chciał zużytkować, wrażliwy na każdą pobudkę zewnętrzną, poruszał się w tym niechlujnym światku stacyjnym i w szkole niemieckiej, gdzie nie wszystko rozumiał, jakby senny i uchodził za „gapę i niezdarę”. Jaśniejsze jedyne wspomnienie w *Samobronie* odnosi się do jakiejś krewniaczki gospodyni, sierotki, która przyjechała na pewien czas; po latach wyda się ono Statecznemu pierwszą dziecinną miłością.

Po czterech latach zmienił ojciec stację za namową starszego chłopca z parafii grzędzińskiej, który prywatnie poduczał Franciszka języka łacińskiego celem przejścia do gimnazjum. Jakoż przyjęto go do drugiej klasy. Mieszkał wtedy przez dwa lata na stacji u pewnej wdowy, która w obszernej, jedynej prócz kuchni izbie trzymała 4—6 uczniów. Stamtąd przeniósł się do jakiegoś nauczyciela głuchoniemych, który zachęcił wprawdzie swego wychowanka do literatury i muzyki, oraz nadał mu nieco poloru towarzyskiego, ale dodatniego pod każdym względem wpływu nie wywarł, będąc „racjonalistą-hedonikiem”. I tutaj otoczenie nie było dobre dla dojrzewającego chłopca, a wychowanie w gimnazjum można tylko ujemnie określić.

Uczniowie, poza nauką obowiązkową puszczeni samopas, wiedli życie niemal burszowskie; pijatka, gra w karty, łatwe miłostki, awantury nocne wypełniały im czas wolny, a młody Stateczny wyrastał zwolna na przewodnika hulaszczej gromadki, która w jego pokoju założyła sobie główną kwaterę. To rozwydrzone, studenckie życie nabrało innego zabarwienia, gdy do raciborskiego gimnazjum wstąpił Jan Kasprowicz i skupił koło siebie spory zastęp uczniów-Polaków, z którymi przerabiał pry-

watnie literaturę i historię polską⁵⁾. Jednym z najgorliwszych członków kółka był Stateczny, ale zaniedbał się jeszcze więcej w obowiązkowej nauce, której i tak niezbyt się oddawał. Gro-
no nauczycielskie wiedziało o akcji samokształceniowej młodzieży polskiej, zaostrzyło więc swoje wymagania wobec niej i Stateczny nie otrzymał na Wielkanoc promocji do kl. ostatniej (primy).

Oburzony brakiem promocji, ojciec przeniósł syna na inną stancję do wdowy, matki nauczyciela ludowego, lecz nie zmieniło to trybu życia młodzieńca. Pracował dalej nad historią i literaturą polską, rozczytując się nadto w czasopismach polskich, ale nie stracił ochoty do życia hulaszczego. Nie pomogła na to nawet wakacyjna pielgrzymka do Częstochowy i nie trwała miłość młodzieńcza do córki organisty jasnogórskiego. Nadto przyszedł zwykły w tym okresie życia młodzieży ówczesnej przejaw niewiary i sceptycyzmu, ogarniający wszystkich niemal kolegów, zwątpienie zaś i gorycz topiono w pijatykach. Atmosferę wychowawczą raciborską określa dokładnie następujące wspomnienie: „Raz, pamiętam, wytoczywszy się z restauracji, wpadłem znienacka na pewnego olbrzymiego profesora. Uderzyłem go niespodzianie w brzuch wypukły jak kocioł Kościuszki. Ku mojemu zdumieniu on objął mnie przyjacielskim ramieniem i tak obaj pijani potoczyliśmy się w świeżuteńki, niepokalany śnieg — uczeń obok nauczyciela. Czołga-
liśmy się obaj przez dobry kawał drogi na czworakach jak nie-
ludzie wśród zadymki, dopóki nas zimno trochę nie otrze-
żliwiło.” Były jednakże większe i gorsze awantury na tle pijackim i erotycznym; skończyło się daniem Statecznemu consilium abeundi z gimnazjum raciborskiego. Wracił do Witosławic

⁵⁾ Wiadomości o kółku oparte na „Samoobronie“. Kasproicz wspomina o swym pobycie w gimnazjum raciborskim w przedmowie do rozprawy Kazimierza Ligonia: „Poeci Górnego Śląska“, Lwów 1920, str. 7, następująco: „W gimnazjum w Raciborzu, dokąd zagnał mnie własny mój niepokój, siadywał na jednej ławce młody człowiek, syn chłopca górnośląskiego, który żadną miarą nie chciał ze mną mówić po polsku, a który później jako ksiądz stał się jednym z najgorliwszych krzewicieli myśli i uczuć polskich. Wiedział wówczas, co czyni; wszakże mnie samemu kazano wśród dramatycznych okoliczności opuścić gimnazjum opolskie i raciborskie, ponieważ z kolegami górnośląskimi, także z dziećmi ludu polskiego ośmieliłem się mimo zakazu w ojczystym rozmawiać języku.“

Nie jest wykluczone, że w tym ustępie mówi Kasproicz o Statecznym, mało to wszakże prawdopodobne.

z poczuciem niesmaku do siebie i do świata, ordynarna przyczyna rozstania się z gimnazjum budziła wszakże uczucie krzywdy.

W domu przyjęcie nie było wesołe. Gniew ojca i milczące wyrzuty matki skłoniły młodzieńca do porzucenia domu rodzicielskiego. Wiedział, że przeznaczano go do stanu duchownego, lecz teraz brak świadectwa dojrzałości, niechęć do próby zdobycia go w innym gimnazjum na Śląsku, zamykały drogę do zostania księdzem świeckim. Tym więcej chciał zostać duchownym, nie tylko aby rodzicom pokazać zbytnią surowość ich postępowania, lecz także aby we własnym pojęciu zrehabilitować się osiągnięciem celu, który przez ostatnie niepowodzenie zdawał się niedostępnym. Słyszał często w domu rodzicielskim o Krakowie, o klasztorach krakowskich, o licznych w nich Górnślązakach, a więc Kraków stał się celem jego podróży. Początkowo zdawało się, że zamiysł jego spełnienie na niczym, gdyż w kilku zakonach odmówiono mu przyjęcia i dopiero furta O. O. Reformatorów otwarła się przed Statecznym.

Co przynosił z sobą do klasztoru? Niewątpliwą chęć zostania zakonnikiem i księdzem mimo niezupełnie jeszcze pokonanego sceptycyzmu i braku silnej wiary, ale nadmienić trzeba od razu, że niewiara nie była w tym czasie czymś ugruntowanym w duszy młodego kandydata, była zwykłą chorobą młodzieńczą, nad którą łatwe zwycięstwo odnieść musiały wrosłe w duszę od dzieciństwa pierwiastki religijności i kontemplacji. Nadto zapalał się łatwo do jakiegoś celu, któremu odtąd służył uporczywie; ojciec mawiał o nim, że chodzi wśród ludzi jak świeca zapalona. Po latach Stateczny napisał w *Samoobronie* taką autocharakterystykę, czy raczej autokrytykę: „Temperament zapalny, ale w ogóle rybi. Uposobienie flegmatyczne. Dowcip ołowiany, choć czasem sarkastyczny. Umysł ciężki praktycznie, lotny i konsekwentny w teorii, wyrosły z gruntu wrażliwej, delikatnej zmysłowości. Rozum krytyczny nie ze świadomości, tylko z odruchów poczuć, czyli, jak mówi Żeromski, z czującego widzenia. Rozwaga i przytomność umysłu żadna. Pamięć rzeczowa mierna, kolorów i arytmetyczna nikła, lokalna wybitna. Za to zdolność niezwykła przyswojenia i przerabiania rzeczy widzianych, słyszanych, czytanych i zdolność kombinacji, czyli mówiąc trywialnie, zmysł wybitny małpowania, korsarstwo i nieposzanowanie cudzej własności przy oryginalnych

często rzutach wyobraźni zmysłowej, kraszonych szlachetnością. Zatem żadnej oryginalności, choć widoczne gonienie za nią wszędzie. Wola słaba, o ile ciągła zmiana celów i zachceń o słabości woli świadczy; za to częstokroć uparta tak dalece, że owa spokojna upartość uchodzić mogła za stałość woli." Ta autokrytyka mimo pewnych przejawów odpowiadających na ogół rzeczywistości; uzupełnić ją można jeszcze uwzględnieniem środowiska, z którego wyszedł Stateczny. Jest to środowisko chłopskie, górnośląskie, polskie, a każda z tych przydałek mówi wiele. Zaznaczając tylko najistotniejsze właściwości, można powiedzieć, że gorąca chłopska wiara, a raczej żywiołowy pociąg ku czemuś tajemniczemu, niepoznawalnemu kojarzy się z chłopskim sceptycyzmem, staczając z nim niejednokrotnie walkę zaciętą. Nie łagodzi jej przebiegu wpływ kultury, bo związek z jej rozwojem był zerwany właściwie od średniowiecza, gdyż wpływu głębszego niemieckiej cywilizacji instynktownie unikano, a z polską nie umiano i nie zdołano nawiązać trwałej łączności, czyli każda jednostka z tego środowiska mimo przeciwnych pozorów zewnętrznych żyła jeszcze technieniem średniowiecza, podlegała rozłamowi między duszą i ciałem zwłaszcza pod naciskiem wewnętrznym słowiańskiej skłonności do maksymalizmu.

Z gimnazjum nie wyniósł żadnych innych wpływów prócz materiału naukowego; ani szkoła niemiecka, ani jej profesorowie nie posiadali niczego, co by mogło wnikać w głąb duszy; wszystko zatrzymywało się na wierzchu. Jedyne głębsze, choć zbyt krótkie wpływy Kasprowicza i jego kółka historyczno-literackiego miał silniej ujawnić się w sprzyjających okolicznościach.

Do zakonu wstąpił w lutym 1882 r.⁶⁾ i jako nowicjusz poszedł do klasztoru w Wieliczce. Patriotyzm polski, rozdmuchany przez Kasprowicza, zapłonął tu pełnym płomieniem, albowiem nowicjusze jak zresztą wszyscy synowie polscy św. Franciszka w czasach porozbiorowych wyznawali miłość ojczyzny jako jeden jeszcze dogmat; po latach nie zawaha się Stateczny powiedzieć o nich, że „byli po większej części gorliwymi patriotami więcej aniżeli zakonnikami”⁷⁾. O mało wszakże nowicjat

⁶⁾ Data wzięta z *Samooobrony*.

⁷⁾ *Samooobrona*.

nie uległ przerwie, gdyż wnet zgłosił się ojciec Statecznego, niechętny zakonnemu powołaniu syna i chciał go z klasztoru odebrać. Pobudki tego kroku łatwo się domyślić: wydawało mu się, że zbyt nagle i raczej z zewnętrznych niż wewnętrznych powodów szukał Franciszek przytułku w klasztorze, a nadto nie mógł życzliwym okiem patrzeć na to, że syn ma zostać mnichem żebraczym. Ale właśnie syn czuł się wykolejencem i dlatego w zdobytym przez siebie wreszcie wstąpieniu do reformatów dopatrywał się jakby wyższej woli, jakby zgodności swego położenia z trybem życia franciszkańskiego. Nie uległ więc namowom ojca i z klasztoru wówczas nie wystąpił, lecz później temperament jego bujny i niespokojny upomniął się o swoje prawa i doprowadził do chwilowego opuszczenia zacisza wielickiego. Wylot ten w świat skończył się zupełnym zawodem, po bezskutecznym poszukiwaniu jakiejś posady w Krakowie, wrócił do nowicjatu w Wieliczce i po dwu latach dnia 8 września 1884 r.⁸⁾ przywdział sukienkę zakonną. Zdaje się, że z temperamentem Statecznego mieli dość utrapień jego przełożeni, lecz wybaczano mu niejedno przekroczenie jako najzdolniejszemu z kandydatów do zakonu. Może nie bez wpływu była opieka jednego ze starszych zakonników o. Melchiora Kruczyńskiego, eksbombardiera pruskiego, który czuwał, jak mógł, nad swoim krajanem, lecz ten nie czuł do niego sympatii.

Z Wieliczki poza wspomnieniami życia nowicjackiego wynosił pamięć jednego z najcelniejszych ówczesnych kaznodziejów ks. Zygmunta Goliana (ur. 1824, zm. 1885), który tam był proboszczem. Kazania jego z tego okresu są według ks. Pelczara (l. c. 381) „prostsze, gruntowniejsze i lepiej obmyślane, ale za to cięższego autoramentu”, podczas gdy we wcześniejszych było „więcej kwiatów poezji i polotu krasomówczego”, lecz nowicjusz reformacki z Górnego Śląska mógł dawniejsze poznać tylko z lektury, gdy współczesne słyszał z ambony żywe i działające nie tylko szatą literacką, lecz także głosem i gestem. Nie odstraszała go długość kazań Golianowych, którą krytykowali nawet przyjaciele, twierdząc nieco złośliwie, że pierwsze pół godziny mówi ten kaznodzieja dla P. Boga, drugie dla siebie,

⁸⁾ Data wzięta z schematyzmów i aktów zakonnych, w których jest pewna różnica określenia tego, do czego się odnosi: raz jest to wstąpienie (ingressus), drugi raz przywdzianie habitu (vestitus).

trzecie zaś dla diabła. Do takiego krytycyzmu nie był wszakże skłonny Stateczny; ks. Golian został w jego wspomnieniach takim, jakim go widział i słyszał w Wieliczce, oddziałął zaś na niego niekoniecznie korzystnie, zachęcając swym przykładem do długich kazań.

O rozmiarach wpływu Golianowego, a zarazem o spostrzegawczości Statecznego świadczą skreślone w kilkanaście lat później uwagi: Golian „bezbarwność wysokiego głosu umiał wyrównać ożywioną i podniosłą akcją i treścią”⁹⁾, cechowała go „przewaga w wiązaniach rozumowych”¹⁰⁾, „cudownie systemem analitycznym przemawiać umiał do robotników salinarnych w Wieliczce”¹¹⁾, umiał „wszystkie środki zewnętrzne i wewnętrzne mowy ludzkiej na ambonie zestrzelić w jedną ciągłą akcję dramatyczną”¹²⁾, a wreszcie działał potęgą modlitwy: „Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie sprawił modlący się przed kazaniem w naszym chórze klasztorным blisko grobu stojący nieodżałowanej pamięci ks. Golian. Oczy zakrywał dłońmi, pierśmi wstrząsało łkanie rozdzierające, a my młodzi wobec tego widowiska staliśmy osłupiali i wzruszeni, aż w końcu opuściliśmy cichaczem chór, by mężowi Bożemu rozmawiającemu ze swym Bogiem i sumieniem nie mącić modlitwy. Taki mówca mógł potem wystąpić jako poseł Boga wobec ludu i robić z nim, co chciał”¹³⁾. Bezpośrednio potem wspomina nieznanego w dziejach kaznodziejstwa ks. Gąsiorowskiego z Niepołomic, którego rozmodlenie przed kazaniem również podziwiał. Widocznie i wtedy i potem jeszcze odczuwał potęgę modlitwy, jako siłę, która mogła mu dodać wytrwałości na obranej drodze, a nadto poskromić burzące się w nim bodźce życia i chęć użycia, owe *rebelles voluntates*, podsycane przez wspomnienia lat raciborskich. Ciekawość świata i życia musiał zaspokajać lekturą, to też „dzień i noc literalnie pożerał bibułę. Tempi passati. Daremny trud, próżny żal.”¹⁴⁾ Była to lektura przeważnie teologiczna, w której poczesne miejsce zajmowały kazania i nauki;

⁹⁾ Listy o wymowie, str. 11.

¹⁰⁾ Tamże, str. 31.

¹¹⁾ Tamże, str. 36.

¹²⁾ Tamże, str. 73.

¹³⁾ Tamże, str. 146-7.

¹⁴⁾ Tamże, str. 101. Dwa ostatnie cytaty zabarwione są uczuciami późniejszymi, właściwymi epoce po r. 1910.

silniej zarysował się wpływ konferencji religijno-filozoficznych o. Semeneki: „Credo. Chrześcijańskie prawdy wiary”, wygłoszonych w r. 1885 we Lwowie i wnet ogłoszonych drukiem, które Stateczny poznał zapewne z lektury.

Po dwóch latach wielickich przeszedł Stateczny do klasztoru w Krakowie i miał dla wyróżnienia jako najzdolniejszy odbywać studia na uniwersytecie, lecz przekroczenia dyscypliny zakonnej spowodowały zmianę zamiaru przełożonych, wobec czego na równi z innymi kandydatami uczęszczał na studium filozoficzno-teologiczne O. O. Jezuitów na Wesołej. Początkowo filozofia porwała go wyłącznie, poznawanie systemów filozoficznych dawało młodemu adeptowi taką rozkosz umysłową, że przed nią ustępowały inne ponęty. Składały się na nie lektura, której namiętnie się oddawał, dysputy filozoficzne i teologiczne, oglądanie zabytków sztuki, tak licznych w Krakowie, i życie koleżeńskie, od którego początkowo nie stronił. Zwolna dochodziły jednak do głosu inne pobudki, więcej poziome, ów biblijny *stimulus carnis*. Skutkiem tego nurtował w głębi duszy niepokój, wynurzały się sprzeczne i pozornie wykluczające się właściwości psychiczne, budząc niespodziewane reakcje. Stateczny uchodził za najzdolniejszego ze wszystkich uczniów na filozofii jezuickiej, a jednak w swe zdolności nie wierzył, choć mu uznanie pochlebiało. Niepowodzenia raciborskie, opinia z lat dzieciennych nie dozwalały mu dostrzec, że zdolności jego umysłowe rozwinęły się w całej pełni, do czego przyczyniła się zapewne jego przekorna wola, aby wbrew poprzednim klęskom młodzieńczych ambicji okazać swoją wartość. A jednak wołał uważać to pochlebne mniemanie o sobie za jakąś pomyłkę, wynikłą z ludzkiej głupoty, niczym nieuzasadnioną. Po tym procesie umysłowym pozostawał jakiś osad wątpliwości, wyrażający się przekonaniem, że ludzie nie są ani mądrzy, ani godni ufności. Może pochlebna opinia przełożonych o Statecznym rzuciła jakiś cień na pożycie koleżeńskie, dość, że nie wyzuwał życzliwości w swym otoczeniu, czuł się samotny i zaspokojenia tęsknot szukał w książkach, sztuce i przyrodzie. Kariera zakonna szła swoim torem, dnia 9 września 1885 złożył śluby zakonne.¹⁵⁾

¹⁵⁾ W rękopisemnych spisach zakonników krakowskiego klasztoru reformackiego wymieniony jest Stateczny tylko raz w r. 1886/7 wśród *Fratres Clerici*

Pewien czas miał w klasztorze towarzystwo, które mu dogadzało, lecz z życiem i ludźmi pogodzić nie umiało i nie mogło. W klasztorze krakowskim dokonywał życia sparaliżowany i rozgoryczony do świata ksiądz hr. Małachowski. Wykwintny arystokrata polubił górnośląskiego profesora, wynurzał się przed nim z swych wspomnień i myśli, wprowadzał go w świat sztuki, teatru i polityki, lecz także nie tał przed nim skrytych ponęt życia. Można sobie wyobrazić, jak namiętnie chłonał te zwierzenia Stateczny, któremu imponowały polor europejski i wybredna wiedza starszego przyjaciela i mistrza, ale trzeba także domyślać się, ile zasiały one w duszy niewidocznych na razie nasion rozdźwięku i jak niechętnie na to wyróżnienie kolegi patrzyli nowicjusze.

Nasiona rozdźwięku zakiełkowały przy sposobności, ponęty grzechu (*oblectamenta peccati*) wydały plon, gdy, według *Samoobrony*, Stateczny w przebraniu świeckim odbył wycieczkę nocną za mury klasztorne w towarzystwie jakiegoś świeckiego kolegi z gimnazjum raciborskiego. Dowiedzieli się o tym przełożeni i młodzieńca wypędzono z klasztoru, zawiadamiając o tym w dosadnych słowach listownie jego rodziców, lecz zaniedbano uzyskać w Rzymie zwolnienie go od ślubów pojedynczych. Osiadł na bruku krakowskim, lecz nie stracił energii. Postanowił wywalczyć sobie wstęp do zakonu, korzystając ze wspomnianego już niedopatrzenia władzy klasztornej. Zarysował się już bowiem przed nim jego ówczesny ideał życiowy: chce zostać zakonnikiem, stojącym na wyżynie kultury swego wieku i kraju. Nie zastanawiał się nad trudnością osiągnięcia tego ideału, nad jego wewnętrzną sprzecznością, jeżeli podejmowała go jednostka, nawet wybitnie zdolna, lecz nie posiadająca wyjątkowych warunków. Na wybór takiego ideału wpłynąć musiały: pogłębiony w klasztorze patriotyzm, zacieśnienie stosunku uczuciowego do kultury polskiej, obcowanie i rozmowy z o. Małachowskim, a wreszcie łatwe stosunkowo przyswajanie sobie zagadnień filozoficznych, do których rozwiązywania roznamiętnił się, poznając olbrzymią ich ilość i mo-

S. Theologiam studentes. Kolegami byli Zygmunt Janicki i Kamil Manik, gwardianem klasztoru i definitem prowincji wspomniany już o. Melchior Kruczyński. W tabeli z r. 1887/8 Statecznego już nie ma, a więc porzucił klasztor w 1887 r.

zoły najwybitniejszych umysłów nad zagadkami bytu. Czuł się powołany do pokonania trudności filozoficznych jako syn twar-
dych chłopów, „syn ziemi”, przynoszący niewyczerpane siły
ze swego środowiska. Nie przerażał go przykład mistrza, o. Ma-
łachowskiego, który nie zdołał pogodzić przyniesionej z domu
i ze świata kultury z życiem zakonnym, bo niemoc jego kładł
na karb wyczerpania potomka arystokratycznego rodu. Tym-
czasem wypędzenie z klasztoru obracało chwilowo w niwecz
wszystkie dotychczasowe trudy, owo namiętne i z naiwną wiarą
neofity dokonywane pożeranie stosów książek, które miały mu
dać i dawały wiedzę przeszłych wieków, ów pierwotny roz-
mach w ujmowaniu i rozwiązywaniu zagadnień filozoficznych,
ową usługną pamięć i zdolności asocjacyjne, które w tej pracy
wyćwiczył i poznał. Czy miał z tego wszystkiego zrezygnować
i w dwudziestym czwartym roku życia szukać nowego zawodu?

W Krakowie nie było co robić, wieść o powodach wyda-
lenia od reformatów dotarła do wszystkich zakonów krakow-
skich (echem jej jest słyszane przeze mnie od jednego z star-
szych krakowian powiedzenie o „niestatecznym Statecznym”),
trzeba więc było szukać szczęścia gdzie indziej. Nawinął się
młody Górnoślązak, żyjący dziś w Katowicach jako człowiek
świecki, który wówczas czuł w sobie powołanie zakonne, i we
dwójkę puścili się w świat na poszukiwanie klasztoru, w którym
by ich przyjęto. Ów towarzysz przechowuje jako pamiątkę po
przyjacielu dwa małe zeszytiki, wyniesione przez Statecznego
z reformackiego klasztoru. Jeden z nich zatytułowany: IV Ze-
szyt. Ręka Św. Bonawentury. fr. Valentinus (Franciscus) Sta-
teczny”, zaczyna się rymowaną plecionką cytatów z Pisma św.
na tematy: Po coś przyszedł, Coć do tego? Jest moja wina?
Chętliwie. Bogu niech będą dzięki, po 4 wiersze. W dalszym
ciągu są wskazówki dla nowicjuszków, zaczerpnięte widocznie
z reguły zakonnej i nauk mistrza nowicjatu. Podobną treść
zawiera drugi zeszyt p. t. „Sposób dążenia do doskonałości”,
podpisany: fr. Euzebi (Franciszek) Stateczny. Wynikałoby stąd,
że u reformatów nosił Stateczny początkowo imię Walentyna.

Obaj Górnoślązacy dojechali koleją do Wiednia, a nako-
łatawszy się daremnie do różnych furt klasztornych i wyczer-
pawszy szczupłą gotówkę, piechotą o żebranych chlebie dotarli
po 15 dniach do Triestu. Tu uzbierali z jałmużny tyle, że wy-

starczyło na podróż statkiem do Wenecji, gdzie Statecznego przytulił klasztor O. O. Obserwantów.

Podróż nauczyła Statecznego wiele, z jednej strony ukazała mu świat jako arenę walki o byt, wobec której mury klasztorne wydawały się ostoją spokoju, z drugiej dała mu zakosztować wolności ptaka wędrownego. Spokój i swoboda stały się dwoma biegunami, między którymi poczęła oscylować dusza niedoszłego reformata. Chwilowo wszakże nad tym wahaniem się zaciążyła ważniejsza, bezpośrednia okoliczność, którą nazwać można z pewnym zastrzeżeniem powołaniem zakonnym. Nie był to już tylko upór młodzieńczy, który pchnął go do klasztoru reformackiego w Krakowie na przekór rodzicom; przez kilka lat pozostawał pod wpływem atmosfery klasztornej, która nie była tak słabą jak czysto zewnętrzny wpływ szkoły niemieckiej w Raciborzu. Tam przyswajał sobie wiedzę mechaniczną, tu wrastała ona w duszę, spulchniała jej głębę i z niej czerpiąc soki, wyrastała w bujne drzewo, które, wyrwane z podłoża, zabierało z sobą na korzeniach sporą jego część. Wiedza ta teologiczna trafiała w samą istotę duszy, poruszyła ją do głębi jak anioł biblijną sadzawkę, można było chwilowo o niej zapomnieć, nie podobna już było bez niej żyć stale. Ona tłumiła słabe płonki młodzieńczej niewiary, jakkolwiek jej korzeni nie zdołała raz na zawsze wyplenić, ona kazała nie poddawać się następstwom upadków wielickich i krakowskich, które tak fatalnie zaciążyły nad przebiegiem nowicjatu. Gdyby szło o określenie, co w tym powołaniu przeważało: serce czy głowa, wypadaloby oświadczyć się raczej za głowę, chociaż nie brak było pobudek uczuciowych. One to, powołując się na przykład tylu świętych pokutników, zabraniały rozpacz i pocieszały nadzieją wzlotu na wyżyny świętości. Tymczasem jednak nad ideałem świętego górował ideał zakonnika, stojącego na poziomie kultury współczesnej.

III. LATA WŁOSKIE (1888—1898)

Klasztor obserwantów w Wenecji należał do tej samej gałęzi synów św. Franciszka, co i klasztor reformacki w Krakowie, różniły je tylko pewne szczegóły w regule. Posiadały one wspólną władzę naczelną w Rzymie i na ogół poza Polską wspólną nazwę Franciszkanów wzgl. Braci Mniejszych. W Polsce odróżniano oba odłamy nazwą: bernardynów (od pierwsze-

go ich klasztoru w Polsce pod wezwaniem św. Bernarda Sieneńskiego w Krakowie) i reformatów. Stateczny przeszedł więc w Wenecji do bernardynów.

W Rzymie uznano za staraniem nowych zwierzchników wydalenie z klasztoru krakowskiego za nieważne, a zachowanie się i zdolności zjednały Statecznemu wnet taką opinię w Wenecji, że dnia 8 grudnia 1888 r. dopuszczono go do uroczystej profesji, a w kilka miesięcy później udzielono mu święceń kapłańskich. Data wyświęcenia nie da się co do dnia dokładnie ustalić. Akta generalskie w Rzymie podają dzień 21 marca 1889 r., sam Stateczny w *Samoobronie* dzień 24 marca, *Elenchus cleri Archid. Posnan.* 1910, str. 110 i 1912, str. 136 dzień 23 marca 1889. Ostatnia data, pochodząca prawdopodobnie także od Statecznego, wydaje mi się najpewniejsza, podana zaś w *Samoobronie* odnosi się może do odprawienia prymicji, na które z dalekiego Śląska przyjechał, według *Samoobrony*, ojciec.

Lata weneckie, najszcześniejsze może w życiu Statecznego, przyniosły mu także korzyści w zakresie urzeczywistnienia jego ideału życiowego, t. j. zakonnika, stojącego na wyżynie kultury współczesnej. Przede wszystkim przyswoił sobie ogłędę towarzyską w salonach hr. Świętorzeckiej, pochodzącej z Litwy. Pani ta osiadła z młodą i piękną wnuczką w Wenecji, skupiając u siebie przewijających się przez to miasto wszelkiego rodzaju podróżników polskich. Poznawał ich u niej Stateczny, a ponieważ zamiłowanie do sztuk pięknych rozwinęło się w nim bardzo silnie i zaznajomił się należycie ze skarbami artystycznymi Wenecji, stał się poszukiwanym przewodnikiem po muzeach i zabytkach sztuki k r ó l o w e j m o r z a. Obcując z tymi ludźmi, korzystał od nich niewątpliwie pod względem znajomości form towarzyskich i życia współczesnego, ze względu wszakże na ich różny poziom moralny mógł ponieść niejedną szkodę na duszy. Większą jeszcze korzyść odnosił z bywania w domu Świętorzeckiej jako Polak. Znajdował bowiem u niej bogatą bibliotekę domową, którą mu testamentem zapisała, nie tracił więc związku z kulturą i literaturą polską, której znajomość przez to rozszerzał i pogłębiał, zaznajomił się nadto ze stosunkami emigracji polskiej do Turcji w r. 1863, do których sporo dokumentów przechowywała w swym domowym archiwum Świętorzecka. Po wyświęceniu został spowiednikiem hrabiny.

Zamiłowania literackie, coraz wyraźniej występujące u Statecznego, który na razie zadowala się pisaniem korespondencji do czasopism polskich, łączyły się z innym jego zainteresowaniem, naturalnym u duchownego, a przejawiającym się już w czasach wielickich, t. j. do wymowy kaznodziejskiej. Miał zaś po temu znakomitą sposobność, gdyż mógł słyszeć wybitnych przedstawicieli tej sztuki, reprezentujących odmienny nieco od polskiego typ oratorski. Jednym z nich był o. Zocchi, o którym po latach tak napisze¹⁶⁾: „Nigdy nie zapomnę tego wrażenia tragizmu, gdy słyszałem przemawiającego o czyścću ks. Zocchi T. J. w Wenecji w kościele dei Frari. Cóż się stało? Mówca ułożył cały przedmiot nauki o czyścću w mozaikę obrazów. Ułożył z takim mistrzostwem i użyciem wszelkich zasobów sztuki krasomówczej, że wstrząsały, podbijały, przerażały. Audytorium nie klaskało, nie wołało: „Brawo, brawo!”, nawet łez nie roniło, lecz stało olśnione, przygwożdżone, skamieniałe pod potęgą prawdy, piękna, tragizmu w plastyce obrazowej.”

Edukacji kaznodziejskiej dopełnił żywym przykładem wielki kaznodzieja włoski, a współbrat zakonny o. Agostino da Montefeltro. Wspominając o nim pochwalnie na str. 31 i 73 *Listów o wymowie*, skupia Stateczny swe wrażenia w dwóch dłuższych ustępach. Pierwszy na str. 6 jest ogólny: „W mówcy, w którym się na podścielisku słowa skojarzyły barwność głosu i żywość ruchu, wymowa święci swój tryumf najwyższy. Z kaznodziei, których słyszeć miałem dotąd sposobność, zbliżać mi się zdawał najwięcej do tego ideału ojciec Augustyn da Montefeltro. O nim to właśnie powiedział na jednym ze swoich wykładów na uniwersytecie bolońskim poeta Carducci, że gdyby Cycero był słyszał o. Augustyna, nie byłby wyliczywszy zalet doskonałego mówcy, w dziele „De Oratore” napisał, że wszystkich zalet uosobionych w jednym człowieku natrafić nie można”. Drugi szczegółowszy opis mamy na str. 81—84. Zaczyna się on od fizycznego wizerunku o. Augustyna, bruneta średniego wzrostu, o czole cezariańskim i cudownym geście, mającego „modulację głosu tak przedziwną i świadomie i umiejętnie wyćwiczoną, że mówca jawi się jako skończony artysta na mównicy”. Następuje opis wrażenia na słuchaczach tej wymowy,

¹⁶⁾ Listy o wymowie, str. 79.

gdy „przemawiać poczyną mówca chyżo i lekko, jak lotnik pły- nie w powietrzu lub jako rzeka o mocnym spadzie mknie za- wrotnie, szybko a jednak spokojnie”. Stateczny nie poddawał się jednak zupełnie czarowi tej wymowy mimo wrażliwości ar- tysty, lecz zachowywał spokój obserwatora, stwierdzając w tre- ści kazań przewagę rozumu analitycznego i swadę polemiczną obok skłonności do uniesień mistycznych i widzeń syntetycz- nych. Nie uchodzi także jego uwagi „wola żelazna, dziwnie wnikliwa”, dramatyczność głosu i umiejętność użycia stylu ga- wędziarskiego, a nade wszystko „plastyka jego kazań poza gło- sem i ruchem i wybuchem raczej w obrazowaniu tragicznym i w prozie i w stylu”. Jeszcze jedno spostrzeżenie, jakże cha- rakteryistyczne dla Statecznego: „Przy tym człowiek stojący na wyżynie kultury swego wieku i kraju”. O to samo począł się starać Stateczny wobec swego kraju, którym dla niego była Polska.

Najbliższe wszakże koleje jego życia wiodły go nie do Polski. Po wyświęceniu był przez 3 lata z woli przełożonych profesorem filozofii w Wenecji, jak sam opowiada w *Samoobronie*; czy wykładał wszakże na kursie teologicznym, czy na t. zw. filozofii zakonnej (ostatnich 2 latach nauki średniej), nie udało się stwierdzić. Według tego samego źródła zdał w r. 1892 egza- min habilitacyjny w klasztorze Porcjunkuli w Asyżu, po którym posłano go na profesora, zapewne filozofii, do klasztoru alle Grazie w Mantui. W tym samym roku 1892 został wybrany jed- nym z definitorów prowincji weneckiej św. Antoniego¹⁷⁾. Z prze- żyć mantuańskich wspomina później Stateczny o dwóch: jednym z nich był jakby rodzaj cudu, doznanego zaraz na początku pobytu. Pewnego dnia wiosennego r. 1892 wybrał się z klery- kami na przejażdżkę po jeziorze i wśród wiosłowania zgubił klucz od seminarium. Stratę zauważył po przyjeździe do klasztoru. Zrozpaczonego prowadzą klerycy do kościoła delle Grazie do św. Antoniego. Idzie z nimi, choć miał niewiele nadziei. Po od- śpiewaniu antyfony: *Si quaeris miracula*, wychodzą z kościoła i widzą chłopą mantuańskiego, dzwoniącego do fur-

¹⁷⁾ Data według informacji o. prokuratora Ryzińskiego z aktów Archi- wum gener. Zakonu. Sam Stateczny w *Samoobronie* twierdzi, że został definito- rem, mając 25 lat życia. Widoczna jest pomyłka Statecznego o 2—3 lat, po- myłka, częsta i przy innych datach w *Samoobronie*.

ty, który kłaniając się Statecznemu i mówiąc: „Zi' fra', oto wasze klucze”, podaje mu zgubę. Oczywiście wrócono do kościoła, wychwalając moc św. Antoniego¹⁸⁾).

Drugie przeżycie — to znajomość z ówczesnym biskupem mantuańskim ks. Józefem Sarto, późniejszym papieżem Piusem X, o którym tak mówi w 22 lat później w niedrukowanych *Rozmyślaniach z r. 1914 i 1915*: „Bywałem często u niego gościem, gdy był jeszcze biskupem Mantui, a z jego bratem i siostrą stykałem się prawie codziennie alle Grazie przy Mantui, i wiem, jako to była uczciwa na wskroś dusza. Obok włoskiej krwi płynęła w nim słowiańska krew... Chciał, żeby duch Chrystusa przenikał osoby i warstwy społeczne i narody. Mistrz z Nazaretu w szacie nowożytnej prostoty i kultury był we wszystkim i dla wszystkich jedyną jego wskazówką.” Zaznaczenie słowiańskiej krwi w żyłach Piusa X i ostatnie słowa o ideale papieża świadczą o subiektywnych domówieniach Statecznego.

Pobyt w Mantui trwał jeden rok, po czym pracował w klasztorze alla Vigna w Wenecji jako profesor teologii dogmatycznej, z której egzamin profesorski zdał z postępem znakomitym dnia 20 października 1893 r. przed komisją, wyznaczoną przez ówczesnego generała zakonu o. Luigiego da Parma. (Sam Stateczny w liście autobiograficznym z 30 września 1913 do nie wiadomego adresata podaje datę tego egzaminu na rok 1895, data w tekście ściśła pochodzi z Archiwum gen. zakonu w Rzymie.) Egzamin ten zwrócił na Statecznego uwagę centralnych władz zakonu, które w r. 1895 powołały go na profesora teologii dogmatycznej do kolegium św. Antoniego w Rzymie przy via Merulana 124, będącego głównym instytutem naukowym zakonu.

Na inauguracji roku szkolnego wygłosił łaciński wykład: *De consolatione scientiae*. Na stanowisku profesora (lektora generalnego) pozostawał przez lat pięć, zdobywając sobie uznanie przełożonych, gdyż np. w r. 1897 wyznaczono go na egzaminatora w konkursach generalnych. W Rzymie stykał się z Polakami, bądź stale tu zamieszkającymi, jak słynny malarz Siemiradzki lub rzeźbiarz Brodzki, albo hr. Rzewuska, bądź chwilowo przebywającymi, których poznawał albo u SS. Nazaretanek, gdzie

¹⁸⁾ Żywot św. Antoniego z Padwy, str. 183-4.

był spowiednikiem, albo na uniwersytecie papieskim. Z poznanych wówczas Górnoślązaków wymienić należy dwóch duchownych rodem z Chorzowa, dobrze umiejących po polsku: Antoniego Cubera i Otona Służałka, oraz ks. Stanisława Stephana i Jędrzeja Gajdaczka. Ze współbraci zakonnych Polaków znane jest tylko nazwisko ks. Jana Łyszczarczyka.

Lata włoskie, a szczególnie rzymskie wypełnia wyteżona praca zarówno zawodowa: profesorska i spowiednicza, jak literacka. Wspomniałem już o korespondencjach do czasopism, zaczynających się od r. 1888, inny z najwcześniejszych utworów, ciekawy jako próba wyrabiania sobie stylu, podaję w dodatkach z zachowanego urywku rękopisemnego. Autor nie kwalifikował go nigdy do druku, a w późniejszym czasie zaopatrzył zjadliwym tytułem: *Głupstwa z młodości*. Inne korespondencje i artykuły okolicznościowe, posiadające znaczenie tylko przelotne, umieszczał w różnych czasopismach, początkowo w „Przyjacielu Ludu” w Poznaniu i „Katoliku” w Bytomiu, potem w „Kurjerze Górnośląskim” i w „Nowinach Raciborskich” w Raciborzu oraz w „Gazecie Opolskiej” w Opolu, a także w „Czasie” krakowskim i w „Przeglądzie” lwowskim. Przynosiły one zapewne także jakieś honoraria, co łącznie z stypendiami mszalnymi dawało Statecznemu pokaźne dochody, ale z drugiej strony wytwarzało szereg pokus, o których będzie mowa później.

Z drukowanych artykułów trwalsze znaczenie mają umieszczone w „Gazecie Opolskiej”, wychodzącej pod redakcją Bronisława Koraszewskiego, utwory podpisane pseudonimem Staropolanina: *Urywki o Śląsku* w nr. 13, 14, 17—18, 20, 22, 24, 25, 27, 29, 32, 36—38, 42, 45, w miesiącach: lutym do czerwca 1896 r., *Z Asyżu* w nr. 95 i 96 z 27 listopada i 1 grudnia 1896, *Urywki o Śląsku II.* w nr. 90—95, 98—100 i 102—104 w miesiącach: listopadzie i grudniu 1897 r., oraz w nr. 2 i 3 z dnia 7 i 11 stycznia 1898 r. W rękopisie *Urywki o Śląsku* mają tytuł *Na przełaj Śląska*. Część II p. t. *Nowe urywki o Śląsku* mieści się w tym samym brulionie, co dłuższa recenzja I wydania *Historii Śląska* dra Feliksa Konecznego p. t. *Kilka uwag z powodu książki dra Feliksa Konecznego: Dzieje Śląska uczynił Staropolanin*. Skoro ta recenzja oznaczona jest datą: Rzym, wrzesień 1897, to zapewne II seria urywków powstała w tym samym roku, lecz nieco wcześniej. W brulionie obie części

Urywków o Śląsku mają miejscami ton silniej patriotyczny niż w „Gazecie Opolskiej”. Nadto w kalendarzu, wydawanym przez Koraszewskiego p. t. *Opolania* na rok 1898 ukazała się powiastka: *Kopciuszek Śląski*, za którą Koraszewski zasądzony został na sześciomiesięczne więzienie¹⁹⁾. W następnych latach artykułów Staropolanina (Statecznego) już nie spotykamy. Pseudonim ten zawdzięczał Stateczny prawdopodobnie artykule ks. Karola Myśliwca (ur. 1866, zm. 3 maja 1897 w Opolu), umieszczonemu w r. 1895 w „Gazecie Opolskiej”, który spopularyzował jako nazwę Górnego Śląska imię: Staropolska, ukazał się zaś także w osobnej odbitce (*Co każdy Ślązak z historii swego kraju wiedzieć powinien?*).

Poza artykułami, drukowanymi w gazetach, zajmował się Stateczny pracą i naukową i beletrystyczną, która w Rzymie nie wychodziła na razie poza próby i zaczątki. Są to niektóre kazania z późniejszego zbioru: *Chrystus-Jezus*, lub przynajmniej ich zarysy, książeczki do nabożeństwa, niektóre nowelki z zamierzonej całości *Obrazków ze Śląska polskiego* (o Kopciuszkach Śląskimi już wspomnieliśmy), obrazki z życia świętych pierwszych wieków chrześcijaństwa, natchnione zapewne wygłaszanymi równocześnie wykładami, a stanowiące okazy nowego gatunku literackiego: życiorysu w formie nowelistycznej, a wreszcie pod koniec pobytu włoskiego zaczyna się praca nad żywotem św. Franciszka z Asyżu. Dalej posunęła się praca retoryczna i naukowa w języku łacińskim. Już w Mantui i w Wenecji, przygotowując starannie swoje wykłady z historii filozofii, zamyslał o ich książkowym wydaniu, ale na razie zabrakło wydawcy i dopiero po 3 latach dzięki poparciu wikariusza gen. zakonu o. Fleminga ukazało się: *Compendium historiae philosophiae*. Usui scholastico aptavit P. Eusebius Stateczny Ord. Min. S. Theologiae et Philosophiae lector gen. Romae Ex typographia Sallustiana via S. Nicola da Tolentino 4, 1898,

¹⁹⁾ Obszerniej o procesie z powodu „Kopciuszka Śląskiego” pisałem w katowickiej „Polonii” nr 2592 z dnia 24 grudnia 1931 r. pt. Sześć miesięcy więzienia za „Kopciuszka Śląskiego”. W dodatkach do niniejszej pracy podaję wyrok sądu opolskiego jako charakterystyczny dla ówczesnych sędziów pruskich.

Pseudonimu Staropolanin użył w 20 lat później autor broszury p. t. *Staropolanin: O przyszłości Śląska polskiego. Ściśle poufne*. Datowane: Górny Śląsk w czerwcu 1918. Według stylu sędzę, że autorem nie jest Stateczny, który od r. 1903 przestał tego pseudonimu używać.

str. VII + 662 + 3 nlb. Później powstała, lecz wcześniej została wydrukowana prelekcja inauguracyjna: *De consolatione scientiae oratio* quam pro auspicatione studiorum habuit die 5 Octobris 1895 dum praemia distribuerentur alumni Collegii S. Antonii in Urbe P. Eusebius Stateczny S. Theol. Dogmaticae lector. Ad Claras Aquas prope Florentiam Ex typ. Collegii S. Bonaventurae, str. 28. Jest to odbitka z „Acta Ordinis Minorum” Ann. XIV, fasc. X.

Ale na tym praca umysłowa się nie kończyła, bo zarówno zajęcia profesorskie i literackie, jak więcej jeszcze namiętność do lektury, będąca jedną dźwignią w osiągnięciu ideału życiowego „zakonnika stojącego na wyżynie kultury swego wieku i kraju”, popychały niestrudzenie do czytania olbrzymiej produkcji literackiej, chociażby w zakresie filozofii i beletrystyki. Wiemy z *Samobrony*, że najczęściej rozczytywał się Stateczny w Zoli, Dostojewskim, Przybyszewskim, Schopenhauerze, Nietzschem i Lombrosie, pomijając na razie innych. Niewątpliwie byli to jeśli nie czołowi, to okazowi przedstawiciele kultury przełomu w. XIX i XX, która zagadnienia intelektualne, estetyczne i tęsknotę do przyrody wysunęła na czoło przeżyć psychicznych człowieka, a która w ich imieniu dokonała podważenia dotychczasowych podwalin kulturalnych. Początkowo charakter lektury Statecznego nie miał innych właściwości prócz poznawczych, zabarwionych także reakcjami, wpływającymi z przekonania moralnego. Budowa bowiem gmachu dogmatycznego wznosiła się silnie w duszy lektora generalnego teologii. W oburzeniu pali po przeczytaniu *Nanę* Zoli, ale później nawyka niejako do tonu romansów tego autora i bez żadnego odruchu niechęci czyta: *Le ventre de Paris* i *La faute de l'abbé Mouret*. Ten sam proces powtarza się na ogół przy lekturze innych autorów z tą może różnicą przy Schopenhauerze, że ta część jego filozofii, która miała styczność z pesymizmem chrześcijańskim, nie opadła na dno jak inne wrażenia lektury, lecz poczęła się już bluszczowo owijać koło ustalonych i utrwalonych przekonań. Ona to wydawała się niezbędnym dodatkiem do „kultury swego wieku”, inne zostały pokonane raczej zewnętrznie i mechanicznie, niż wewnętrznie i duchowo.

Czatują więc w podświadomości, powiązane nitkami związków, niezależnych od czytelnika, bo nadanych im przez autorów, z przejętymi przez Statecznego dla osobistych celów

ułamkami. Stateczny bowiem potrzebował takiej porady „książek świeckich” nie tylko dla budowy swego ideału, lecz także na użytek własny jako spowiednika. Słuchał bowiem mnóstwa spowiedzi i to nie przyziemnych ludzi, lecz, poczynawszy od Wenecji, spowiedzi wędrownych ptaków, które w drodze dość swych piór i nadłamały i naszargały w odmętach życia. Trudno, żeby nie wstrząsały potężnie nieraz spowiednikiem, spychane wprawdzie jedno przez drugie, zapadały gdzieś w głąb, w której spoczywały nieużytki lektury, tworząc tam razem z nimi osad, który będzie czekał na poruszenie dna jak w martwej sadzawce.

Ale jeszcze jeden czynnik oddziaływał na Statecznego bez wyraźnych chwilowo ujemnych skutków; był nim zaś *nervus rerum*, pieniądź. Napływał on z honorariów, z stypendiów mszalnych i gromadził się jako prawdziwe *irritamentum malorum*. Wprawdzie w zakonie od lat kilkunastu ²⁰⁾ wprowadzono życie doskonałe wspólne i zniesiono t. zw. *peculium* poszczególnych braci (w b. Galicji na kapitule generalnej w r. 1882 w Kalwarii), ale pozostali jeszcze tu i ówdzie t. zw. niekomuniści (w Polsce było ich jeszcze kilku w r. 1890); widocznie w studium generalnym w Rzymie nie przestrzegano dość ściśle tej zasady, skoro Stateczny pieniądze miał i mógł nimi dowolnie rozporządzać. Nie czynił tego zapewne z jakiegoś przywiązania do posiadania ich, a tym mniej ze skąpstwa lub chciwości, raczej ulegał dwom pobudkom, jednej nieświadomej, lecz głęboko tkwiącej w duszy, drugiej świadomej. Pamiętać musiał czasy swoich ucieczek i wydalenia z klasztoru, owe braki i żebraniny przydrożne od Krakowa do Wenecji i odruchowo lękał się ich powtórzenia. Instynktownie zabezpieczał się na przyszłość przed ciosami świata, a z doświadczenia już wiedział, że najlepszym zabezpieczeniem w nowożytnych stosunkach jest pieniądź. Drugą pobudką była chęć poznania kultury nowoczesnej nie tylko pośrednio przez książki i opowiadania cudze, lecz także własnymi oczyma i to we wszystkich przejawach od sztuki poczynawszy, a na życiu zaułków wielkomiejskich skończywszy. W tej dziedzinie jakieś pozory usprawiedliwienia dawało pierwotne życie franciszkańskie, docierające we wszystkie zakątki ówczesnej kultury.

²⁰⁾ P. ks. K. Kantak: Bernardyni Polscy III, str. 572.

Po wyteżającej pracy umysłowej w ciągu roku szkolnego nadchodziły wakacje, a z nimi pora wędrówek Statecznego, których najistotniejszym motorem była chęć „poznania życia we wszystkich jego objawach społecznych”. Zwiedził w czasie tych podróży nie tylko wszystkie miasta włoskie, lecz także przejechał, według *Samoobrony*, Europę od Petersburga po Lizbonę i od Londynu i Sztokholmu po Belgrad. Najwięcej i najchętniej zatrzymywał się w Trieście, Krakowie, Wiedniu, Pradze i Dreźnie. Wyżywa się w tych wędrówkach, gdyż przygody raciborskie i krakowskie były zaledwie przedsmakiem gorzkich ponęt życia. Zwiedzając więc kraje i miasta, nie zadowala się poznaniem tego, w czym odzwierciedliło się ich życie intelektualne i duchowe, schodzi w niziny społeczne. Jakże charakterystyczne dla dwu sprzecznych sił w duszy Statecznego: nienasyconej ciekawości życia i trwogi przed nim, zdobywających się łącznie na sztuczną odwagę, są przesadne może wynurzenia *Samoobrony*: „Jak w Warszawie i Londynie mogłem się zdobyć na tę odwagę, żem się samotny wsunął w nocy w najciemniejszy i najniebezpieczniejszy kąt miasta, tego pojąć nie mogę... W Paryżu nie obawiałem się pójść w dzielnicy Montmartre do lokalów, w których blaszane kubki od wina są przytwierdzone do stołów.” Czy jednakże wynosił z tych wycieczek czystą radość poznawczą, niezamąconą żadną refleksją? Czuł, zapewne, że to nie licuje z jego powołaniem zakonnym, ale może jeszcze nie doszedł do przekonania, które wypowie w lat kilka później: „Pieniądze, jak powiedziałem, są trucizną dla klasztorów, a dla zakonników samych są podwójną trucizną. Bogate klasztory nie zawsze były rozsądnikami dobrego ducha i kultury, a bogaci zakonnicy, będąc sprzecznością moralną, nigdy dobrze nie kończyli”²¹).

Z wakacji wracał Stateczny, pełen nowych, sprzecznych wrażeń, ale niewypoczęty, nie zrównoważony, przeciwnie coraz bliższy wewnętrznemu rozprzężeniu. Objawiało się to już na odcinku literackim. Konglomerat wrażeń z lektury, ze zwiedzania muzeów i zabytków architektury, z bytności w teatrach i na koncertach, z kontemplacji przyrody, obejmował wprawdzie zjawiska z jednego, lecz zbyt rozległego i zbyt obficie gromadzonego zakresu doznań estetycznych. Nie wyłania się z tego jedno-

²¹) Tragedia jasnogórska. Miesięcznik Kościelny, t. V, str. 17.

lity, skupiony świadomie około swego celu artysta-literat lub choćby tylko uczony-literat, unicestwia te zamiary przeżerająca Statecznemu duszę literatura. W pośpiechu tworzenia, w gorączkowym wyrzucaniu zapisanych kartek ustalać się poczynają tylko styl również niejednolity, lecz poniekąd, zwłaszcza w chwilach silniejszych wzruszeń, a zmniejszonej samokontroli, eklektyczny. Obok własnych, górnośląskich — chciałoby się rzec — pierwiastków, są w nim silne naloty cudzego stylu kaznodziejskiego (Skargi, Rychłowskiego, Antoniewicza, Goliana, Semenki, a z obcych głównie o. Agostino da Montefeltro), powieściopisarzy (głównie Sienkiewicza, Żeromskiego i Reymonta), oraz Szajnochy i Kremera. Lecz stylista rzuca się na zbyt wiele przedmiotów, na różne rodzaje piśmiennictwa, żeby mógł przy jednym się zatrzymać i doprowadzić w nim do względnej choćby doskonałości. Na przeszkodzie stoją silnie odczuwane obowiązki społeczne, patriotyczne i zakonne. Gdy uczony rwie się do historii filozofii, do badań socjologicznych, artysta ciąży do legendy franciszkańskiej i hagiografii pierwotnego Kościoła, patriota-popularyzator do książek nabożnych, opowiadań ludowych i artykułów okolicznościowych, kaznodzieja wreszcie mimo świadomości swych braków, a przede wszystkim słabego głosu, dąży do doraźnych skutków swej działalności. Na tym polu miał możliwość przekonania się później o właściwych rozmiarach swej zdolności: „Mówiono wtedy, że jestem znakomitym mówcą. Istotnie w czasie mych kazań kościoły zawsze był nabity. Ale ściśle wzięwszy, ja nie wierzyłem w swoje zdolności krasomówcze; tylko pracowitemu opracowaniu przypisywałem ów poklask. Wprawdzie później w Osiecznie i gdzie indziej się przekonałem, że dobrze i z zajęciem i korzyścią mówić potrafię bez wszelkiego przygotowania; jednakże ogólnie biorąc, sądzę, że miary przeciętnej nie przekraczam” (*Samoobrona*). Do tego przekonania o swej działalności kaznodziejskiej nie doszedł w Rzymie, gdyż tu tylko widział swe kazania w martwej, początkowej często szacie, pozbawione jeszcze ożywczej mocy mówionego słowa i gestu, ale to wynurzenie każe spytać, czy takiego sceptycznego sądu nie powziął już o innych dziedzinach swej działalności. Przytoczony urywek dokładnie podkreśla główną siłę Statecznego: pracowitość opracowania, a więc rodzi się pytanie, czy w młodości nie przypisywał jej za wiele skuteczności, czy nie przesłaniała mu ona możliwości poznania istot-

nych braków i zastąpienia ich skupieniem wysiłków na tym polu, na którym by wystarczały posiadane uzdolnienia. Głównym brakiem Statecznego był niedostatek wyobraźni twórczej, umiał tylko dotwarzać szczegóły i upiększać pracowicie zebranymi środkami literackimi zdobytą w drodze przeważnie poznawczej całość. Twórczość w tych warunkach jest ciężką pracą i wymaga nieodzownie ograniczenia się do jednej dziedziny. Sądząc po jakości dorobku włoskiego Statecznego, najbezpieczniej dopatrywać się tej właściwej dziedziny w zakresie noweli hagiograficznej i legendy franciszkańskiej. Tu wszakże do osiągnięcia dostępnej, niewątpliwie niemałej wyżyny twórczości uczono-artystycznej przeszkadzały inne zajęcia. Gorzej jeszcze, rozstrajały samego pisarza, jako zbyt młodego, bo zaledwie trzydziestoparoletniego człowieka, nadmiarem wysiłków, nie pozwalając mu na skupienie się wewnętrzne, na wyrzucenie z siebie balastu, zagrażającego już nie tylko dobrej działalności pisarskiej, lecz także normalnemu życiu wewnętrznemu. Ponęty wybicia się w różnych kierunkach i opinia otoczenia podsycają ambicję, lecz sceptycyzm czy wrodzona skromność ostrzegają, że przeciętnej miary wysiłki wszelkie nie przekroczą. Coraz nieuchronniej psychika poczyną przebiegać całą skalę amplitudy od nadziei górnych wzlotów do rozpacz klęski, coraz częściej nie potrafi się utrzymać na najwyższym wychyleniu, coraz więcej pogrąża się w poczuciu własnowolnego zmarnowania darów. Nie chce w to jednak uwierzyć, może wmawia sobie, że „słowa — to marna połowa arcydzieł życia”, że nie w literaturze i w pisaniu, lecz w życiu leży możliwość osiągnięcia wyżyn, niedostępnych dla przeciętnego człowieka, w życiu bądź kontemplacyjnym, bądź czynnym. Święty lub organizator — oto nowa alternatywa doskonałości i czuje, że posiada zadatki na każdą z tych dwóch dziedzin, że umiałby podać niejedyn plan, lecz wyczerpanie jest już tak wielkie, iż oczekuje pchnięcia z zewnątrz w tym lub tamtym kierunku. Sam nie zdoła już oblec się w nowego człowieka, nie zdoła zrzucić z siebie tych wszystkich więzów, w które ubrał się po drodze. Pod koniec pobytu rzymskiego przyjdą jeszcze najcięższe kajdany, odbierające dotychczasową spójnię psychicznych sprzeczności, którą było zdrowie fizyczne. W r. 1898 poczyną Stateczny niedomagać, łysieje i siwieje, odczuwa bóle w okolicy wątroby, serca i przepony, a wreszcie występują wyrzuty skórne. Lekarze nadaremnie

próbują leczyć dolegliwości, ucieka się więc pacjent do pomocy nadziemskiej. Przekonany, że są to tylko objawy zmęczenia organizmu, które ustąpią skutkiem zmiany trybu życia, odbywa czterdziestodniową pokutę w Perugii, Alwernii włoskiej, a wreszcie w Asyżu na górze Subasio, w samotnym klasztorze alle Carceri. Owocem tych wszelkich starań pozostała tylko znajomość nazwy i objawów choroby. Lekarze włoscy nazywali ów wyrzut egzemą, niemieccy psoriasis vulgaris, polscy świerzbem lub liszajem; nie ustępował on nigdy całkowicie, lecz przybierał różne formy, napawające pacjenta wstrętem do siebie i niepokojem. Raz okrywał całą skórę jakby grubą wapienną skorupą, to znów cieniał i zmieniał się jakby w łuski, to wreszcie twardniał, czerwieniał i powodował kruchość skóry i krwawienie. Objawy te początkowo nikłejsze, z czasem coraz większe przejmowały Statecznego trwożą przed przyszłością i zmuszały do krycia się z swoim życiem przed otoczeniem. Była to zewnętrzna niejako jego tajemnica obok innych natury bardziej wewnętrznej. Pojawiają się bicia serca i nerwowość, będąca — nie wiadomo — czy przyczyną, czy skutkiem opanowującego go coraz więcej niepokoju, lęku i nieufności do wszystkich i wszystkiego. A przecież miał dopiero 34 lat życia i mógłby się zdobyć na energię opanowania siebie samego, gdyby jej nie był zużył poprzednio w zbytnim szafunku na rozstrzelone nieco życie.

IV. W KRAJU I PONOWNIE WE WŁOSZECH (1899—1903)

Zbiegły się te niedomagania Statecznego, lub może nastąpiły wkrótce po jego staraniach o przeniesienie do kraju. Jako szczery i przekonany Polak, jakim okazał się w swych artykułach okolicznościowych i nowelach (np. Urywki o Śląsku i Kopciuszek Śląski), nie chciał i nie mógł starać się o przyjęcie do podniemczącej prowincji śląsko-wielkopolskiej, lecz skierował się, zapewne z wiedzą i wolą przełożonych zakonu, do prowincji bernardyńskiej Niepok. Poczęcia M. B. w ówczesnej Galicji. Przyjęcie nastąpiło jeszcze przed majem 1898 r., skoro w aprobacie *Compendium historiae philosophiae* ze strony ministra generalnego z dnia 12 maja 1898 wymieniono autora, jako należącego do tej prowincji. Niewątpliwie pozostawało to w związku z reorganizacją zakonu, dokonywaną się od dnia 4 października 1897 r., w którym papież Leon XIII konstytucją:

Felicitate quadam dokonał zjednoczenia czterech rodzin zakonnych franciszkańskich: Obserwantów (Bernardynów), Reformatów, Alkantarynów i Rekolektów w jeden zakon Braci Mniejszych. Zjednoczenia dokonano wkrótce na ziemiach włoskich, na polskie miała przyjść kolej w następnym roku. Stateczny uprzedzał niejako oficjalnego wysłannika głównych władz zakonnych, zjeżdżając z końcem r. 1898 do Lwowa i przynosząc pierwsze wieści o przyszłych zmianach. Zamieszkał w klasztorze bernardynów we Lwowie i wykładał tam klerykom zakonnym teologię dogmatyczną do lata r. 1900. Dnia 14 września 1899 odbyła się we Lwowie w klasztorze św. Andrzeja po ukończonej wizytacji klasztorów małopolskich wspólna kapituła zakonów reformackiego i bernardyńskiego pod przewodnictwem definitora gen. i komisarza-wizytatora Irlandczyka o. Dawida Fleminga, osobistego przyjaciela Statecznego z Rzymu. Dokonano wtedy połączenia obu prowincji pod wezwaniem dotychczasowej bernardyńskiej t. j. Niep. Poczęcia M. B., podczas gdy nazwa reformackiej N. P. Bolesnej miała zniknąć. Dnia 26 września 1899 zatwierdził to połączenie minister gen. o. Alojzy Lauer i mianował władze prowincjonalne nowej prowincji po połowie z dawnych bernardynów i reformatów. Skoro więc prowincjałem został o. Łukasz Dankiewicz z zakonu bernardynów, zastępcą jego, kustoszem mianowano o. Joachima Maciejczyka od reformatów, z dwóch zaś definitorów, przypadających dawnym bernardynom, jednym został o. Euzebjusz Stateczny²²⁾. Był to wielki, ale i uciążliwy dowód zaufania ministra gen., świeży przybysz do prowincji zwrócił na siebie baczną uwagę wszystkich, ale i sam zaczął wszystkich podejrzliwie obserwować. Przymusowo poniekąd, choćby ze względu na stan zdrowia, musi się trzymać z dala od swego otoczenia, przypuszcza może, że śledzą go wszyscy, aby jego wpływy podkopać w Rzymie, wreszcie trudno żyć mu się z nowym, prowincjonalnym, zaściankowym nawet po Rzymie towarzystwem. Tam obcował z najświetniejszymi umysłami zakonnymi, które ze wszystkich krajów ściągnięto dla ozdobienia studium generalnego, z ludźmi wielkiej kultury naukowej i towarzyskiej, tu obok niego w całym zakonie wyróżniali się jako pisarze większej miary starsi od niego o lat kilkanaście: o. Norbert

²²⁾ Gazeta Kościelna z r. 1899, str. 384.

Golichowski (zm. 1921) i o. Czesław Bogdalski (zm. 1935)²³⁾. Z nimi tylko mógł wymieniać myśli, żyć się bliżej nie zdołał. Rzadko tylko wdawał się w zbiorowe pogawędki, dodające poufałości i uroku współżyciu klasztornemu. Zamykał się przeważnie w swej celi, wyrabiając sobie opinię nerwowego i tajemniczego nieco odludka mimo całego szacunku dla jego wiedzy i zdolności, uważanych na ogół za genialne. Tylko on sam zdawał sobie sprawę, że ta genialność była poniekąd bez teki. Szuka na innych polach zadośćuczynienia: wygłasza więc w kościele bernardyńskim precyzyjne, doskonale wyuczone kazania, po części dorobek rzymski, zdobywając sobie nimi ogólne uznanie, oraz drukuje swoje prace literackie, pochodzące przeważnie z dawniejszych zapasów. Od sierpnia 1899 r. pojawiają się w lwowskiej „Gazecie Kościelnej” następujące utwory Statecznego, podpisane pełnym nazwiskiem lub inicjałami: w r. 1899 (rocznik VIII) str. 270—272 i 281—282 *Św. Ignacy z Antiochii*, str. 300—1 i 308—9 *Św. Polikarp*, str. 335 *Św. Symeon*, str. 413 *Św. Szczepan*, w r. 1900 (rocznik IX) str. 4—6 i 23—4 *Św. Piotr i Paweł*, str. 25 recenzja pracy o. Norberta Golichowskiego: *Przed nową epoką. Materiały do historii O. O. Bernardynów w Polsce*, str. 103—4 i 115—6 *Grobowiec Flawiuszów*, str. 196—7 *Św. Klemens Papież* (wprawdzie bez podpisu, lecz wykazujący właściwości prac Statecznego), str. 226, 255—7 *Franciszek z Asyżu i Inocenty III* (odpowiadający rozdz. VII *Żywota św. Franciszka*, str. 114—131), str. 282—5, 293—4, 304—5 *Listy o wymowie* (odp. I listowi wydania książkowego z r. 1920). W następnych latach nie znajdujemy żadnego artykułu Statecznego, aż dopiero w r. 1904 (roczn. XIII) str. 61—2, 79—80, 160—2 pojawia się powierzony zapewne wcześniej redakcji *Dramat miłości na Górze Alwernii (1224)*, będący pierwszym ujęciem rozdz. XXIX *Żywota św. Franciszka* (str. 592—628). Kazania zaś, wygłoszone w r. 1899, po uzyskaniu aprobaty zakonnej w dn. 1 października 1899 i arcybiskupiej z dnia 31 stycznia 1900 ukazały się w sporym tomie p. t. *Chrystus Jezus. Kazania obejmujące główne zasady wiary chrześcijańskiej* napisał O. Euzebiusz Stateczny Zakonu Braci Mniejszych. Lwów, Z drukarni katolickiej Józefa Chęcińskiego, 1900, str. 533 + 11 nlb.

²³⁾ Por. ks. Kantak: Bernardyni Polscy, II.

W drugiej połowie roku 1900 zmienił Stateczny miejsce pobytu, przenosząc się do Krakowa, z którego przed 12 laty odchodził jako wygnaniec z klasztoru reformackiego, gdy teraz wracał jako dostojnik zakonny i profesor na połączonym studium teologicznym reformacko-bernardyńskim. Spotykał dawnych współbraci, odświeżał dawne miłe i niemiłe wspomnienia. Snać tych drugich więcej było, skoro po 6 miesiącach (październik 1900 — marzec 1901) odchodził z radością na nowe stanowisko gwardiana w klasztorze alwerniańskim. Zbliżał się do stron rodzinnych, gdyż Alwernia leży na pograniczu Górnego Śląska i ziemi krakowskiej, przybywali do niej często na odpusty Górnoszlązacy, a więc spodziewał się odzyskać siły i przez zmianę zajęcia i przez zetknięcie się ze swymi krajanami. Przybywszy na miejsce z początkiem kwietnia 1901, rozwinął gorączkową działalność. Nawiązał przedtem jeszcze stosunki z wydawnictwem „Katolika” w Bytomiu, które puściło w świat 4 jego książki do nabożeństwa: *Wianek ku czci N. M. Panny*, Bytom 1900, str. 531; *Anioł Stróż, Książeczka modlitewna*, Bytom 1901, str. 628; *Ółtarzyk, Książeczka modlitewna*, Bytom 1901, str. 646 i *Wyborek, Książeczka modlitewna*, Bytom 1901, str. 368. Przygotował sobie w ten sposób grunt pod działalność wśród Górnoszlazaków. Przybywające pielgrzymki witał przemowami, które się nie zachowały, lecz pewne wyobrażenie o nich mogą dać późniejsze: *Przemowa do pątników przybyłych na miejsce cudowne* (N. Bibl. Kaznodziejska, t. XIX, str. 248—251) i *Przemowa do pątników opuszczających miejsce cudowne* (tamże, str. 343—7). Wygłaszał także poza kościołem klasztornym kazania odpustowe po parafiach, z których zachowało się w rękopisie tylko jedno, wypowiedziane w dniu św. Marcina 1901 w Porębie-Żegocie. Dzięki uprzejmości o. Benedykta Wierciocha podaję je według rękopisu, zachowanego we Lwowie, w D o d a t k a c h do niniejszej pracy.

Jako administrator i organizator począł zbierać ofiary na restaurację klasztoru, wzywając do nich zwłaszcza Górnoszlazaków tak na odpustach miejscowych podczas oktawy B. Ciała i na Porcjunkulę 2 sierpnia, jak przez odezwy w czasopismach i osobistą kwestę w pobliskich miejscowościach śląskich. Nadto zbiera osobno na grotę św. Franciszka, którą zamierza tu wybudować na wzór takiej grotki w Alwerni włoskiej. Kronika klasztorna zanotowała, że odnowił dwie kaplice na cmentarzu

kościelnym. Według własnych wynurzeń w *Samoobronie* znalazł w Alwerni uznanie i miłość wśród ludności i braci klasztornych, nie znalazł wszakże spokoju. Praca administracyjna, polegająca na załatwianiu spraw gospodarczych, zakupnie sprawunków, nadzorze chlewów i obór, kwestowaniu na różne cele nie zdołała ani wypełnić sobą myśli, nawykłej do innych czynności, ani uspokoić powracających objawów choroby. „W ostatnich miesiącach, listopadzie i grudniu, pobytu w Alwerni cierpiałem wiele na wątrobę i przeponę i skórę. To mię skłoniło bezwiednie do wyjazdu.” Działała wszakże i druga przyczyna: odebrawszy od poprzednika 1200 koron i niespłacone długi, zgromadził w ciągu 8 miesięcy podobno 12.000 koron czystego dorobku, a wraz z pieniędzmi wzmagą się niepokój o ich ustrzeżenie i lęk przed odpowiedzialnością za ich zużycie. Ma przy tym własne oszczędności i boi się, żeby go nie poczęto uważać za złodzieja dobra klasztornego. Gospodarka stała mu się niemiłą, nie dająca się wyleczyć choroba doprowadzała do rozstroju, zaczyna się już wtedy podwójne życie i podwójna twórczość. Według wspomnień ś. p. o. Bogdalskiego miał napisać wówczas jakąś niepochlebną dla stosunków w miasteczku i klasztorze kronikę Alwerni, która zapewne powstawała w chwilach przygnębienia fizycznego i duchowego. Wreszcie, jak sam mówił, „drapnął pewnej nocy, odesławszy klucze od kasy z 12.000 koron do prowincjała”. Było to z początkiem grudnia 1901 r. Tę datę zgodnie z *Samoobroną* podaje o. Wiercioch ze wzmianką, że Stateczny oddał klucze za pośrednictwem jakiegoś pana i wyjechał do Rzymu. O. Bogdalski wspominał również o jakimś panu, który otrzymał nie tylko klucze, lecz także ową kronikę. Miał ją potem Stateczny odebrać, lecz prócz opowiadania o Bogdalskiego nigdzie nie napotkałem śladu istnienia tej kroniki. P. Szymkowiak z Katowic twierdzi, że zrażony do gospodarki i zdenerwowany Stateczny przyjechał do niego i jemu powierzył klucze do odsyłki, lecz sam Stateczny w *Samoobronie* powiada, że zrobił to przez adwokata, a potem etapami przez Katowice, Drezno, Pragę, Monachium i Florencję pojechał do Rzymu, aby zapobiec niemiłym skutkom samowolnego opuszczenia stanowiska.

Zakonem zarządzał po śmierci generała o. Lauera jako wikariusz gen. o. Fleming, przyjaciel Statecznego; okazał się on wyrozumiałym dla niefortunnego gwardiana i przypuszcza-

jąc, że zajęcia naukowe przywrócić mu spokój duszy, przeznaczył go chwilowo do Quaracchi pod Florencją (Clarae Aquae), gdzie właśnie kończono pomnikowe wydawnictwo dzieł św. Bonawentury, ciągnące się od r. 1870 do 1902. W wykazie braci zakonnych pracujących nad tym wydaniem zanotowano pobyt Statecznego od 28 grudnia 1901 do 6 kwietnia 1902 jako współpracownika nad kopiowaniem manuskryptów i robieniem korekt, oraz autora 2 rozpraw do X tomu. O tym pobycie i swej współpracy wzmiankuje sam Stateczny w *Żywocie św. Bonawentury*, Poznań 1915, str. 5 i w *Rozbiorze krytycznym źródeł do żywota św. Franciszka*, str. 2 uw. 1 i str. 287 uw. 3, oraz w *Samoobronie*.

Po trzech miesiącach jednak miał już dość Quaracchi i wyczerpującej pracy naukowej, chciał wrócić do Rzymu do zajęć profesorskich i wyprosił sobie to u o. Fleminga. Praca wykładowcza nie poskutkowała na wzrastający niepokój, nie trwała zbyt długo: od II semestru r. 1901/2 (od kwietnia 1902) do połowy stycznia 1903 r., czyli przez I semestr 1902/3. Przyczyną coraz rzadszych wykładów po B. Narodzeniu 1902 r., a następnie ich przerwania była choroba, do której dołączyło się przeziębienie.

Naprzężona struna, która od dawna dawała znać trzaskami o zbyt dużym napięciu, rozkręciła się gwałtownie, nastąpiła reakcja. Nie można twierdzić, że Stateczny oczekiwał jej biernie, nie starał się jej zapobiec, ale te środki zapobiegawcze czerpał z dotychczasowej swojej, zawodnej niestety praktyki. Głównym lekarstwem była praca pisarska i podróże, zmiana otoczenia. O pośpiechu, o gorączce pisarskiej świadczy choćby powstanie *Żywotu św. Bonawentury*: dwie spore rozprawy, z których wprawdzie przy jednej miał pomoc wydatną o. Jeilera, po łacinie w 3 miesiącach napisać, a obok gromadzenia do nich materiału, zajmować się innymi więcej mechanicznymi czynnościami wydawniczymi — to ciężar, który by przygiął całkiem zdrowego człowieka i wymagał w następstwie kilkomiesięcznego wypoczynku. Tymczasem Stateczny pojechał wyklądać do Rzymu, a w chwilach wolnych pisał. Powstaje wtedy spora część *Obrazków Śląskich* i części *Żywotu św. Franciszka*. Nic dziwnego, że przepracowanie było znaczne i poczęło się odbijać na jego wyglądzie. Uderzyło to jego rodziców w czasie dwukrotnych przyjazdów na Śląsk. Oznaczyć ściśle możemy tylko datę jedne-

go z nich, a mianowicie: początek września 1902 r. Przybył wtedy na ślub i wesele młodszej siostry, które się odbyły dnia 9 września 1902 r. W kilka dni później, w sobotę 13 września 1902 r. o godz. 5 po południu poświęcił lokal „Górnoślązaka” w Katowicach przy ul. Młyńskiej 12²⁴). O 1/25 zebrali się w lokalu współpracownicy pisma i przyjaciele, po czym przed wzniesionym naprędce ołtarzykiem odmówiono *O j c z e n a s z i Z d r o w a ś M a r y j o*, następnie Stateczny wśród błogosławieństw pokropił wszystkie pokoje wodą święconą. Jako temat przemówienia obrał sobie łączność wiary i polskości, składając równocześnie podziękowanie redakcji za dotychczasowe trudy i życząc powodzenia w pracy nad „rozmnożeniem naszej narodowości polskiej i odrodzeniem ludu polskiego na polskim Śląsku”.

Na to odpowiedział imieniem „Górnoślązaka” jego redaktor Wojciech Korfanty podnosząc zasługi o. Statecznego dla pracy narodowej i jego życzliwość dla wydawnictwa, oraz przyrzekając wytrwałość w podjętej działalności. Drugi redaktor pisma Jan Kowalczyk nie był obecny, gdyż odsiadywał sześciotygodniowe więzienie. Stosunek redakcji do Statecznego określały następujące słowa: „Wszyscy wiemy, czym jest nam ten świątobliwy i uczony kapłan. Jest to bowiem prawdziwy syn Śląska polskiego i prawdziwy kapłan polski — obywatel. Tysiące ludności znają go dobrze, bo jako przeor klasztoru w Alwernii niósł im przez długi czas naukę, pomoc, pociechę i oświatę.” Nie wspomniała redakcja nic o jego współpracownictwie zapewne ze względu na jego anonimowość; od 3 września 1902 r. (nr 204) umieszczano w „Górnoślązaku” *Obrazki ze Śląska polskiego*.

Trudno przypuścić, żeby redakcja nie wiedziała, kto był ich autorem, z tego więc wynika, że o poświęcenie lokalu poprosiła go z własnej inicjatywy, gdy duchowieństwo świeckie z Katowic i z okolicy odmówiło poświęcenia bądź pod pozorem radykalnego (naprawdę silnie narodowego) kierunku pisma, bądź ze względów koleżeńskich wobec duchowieństwa katowickiego. Może być, że w zaproszeniu pośredniczył p. Szymkowiak jako znający adres śląski Statecznego i bliski jego znajomy, ale uwagę na niego zwróciła zapewne sama redakcja wo-

²⁴) Górnoślązak, nr 216 z dn. 17 września 1902.

bec potrzeby poświęcenia lokalu. Stateczny w *Samoobronie* pisze tak o tym wydarzeniu: „A choć o patriotyzmie głośno nie krzychałem, przecież go na każdym kroku bądź przykładem, bądź zachętą stwierdzałem. A walnego dowodu dostarczyłem, gdym wbrew woli proboszcza i biskupa poświęcił dom redakcyjny „Górnoślązaka” w Katowicach, uchodzącego za organ ultraradykalny. Bowiem sądziłem tym poprzeć mocno sprawę narodową na Śląsku. Co też się stało w rozmiarach nawet nieprzewidzianych, acz niejedyn proboszcz mię za to wyklinał z ambony, a „Gazeta Katolicka” duchowieństwa z Królewskiej Huty psy na mnie wieszała.” Potwierdzenie tej wiadomości mamy w notatce w nrze 223 „Górnoślązaka” z dnia 25 września 1902 r. odnośnie do ks. Abramskiego²⁵).

W każdym razie poświęcenie „Górnoślązaka” nie pozostało bez skutków dla o. Euzebiusza niemiłych. Według tradycji, zachowanej wśród starszego pokolenia księży, biskup wrocławski, ks. kard. Kopp ograniczył go w czynnościach duchownych na terenie diecezji do odprawiania mszy św. i to tylko w kościele grzędzińskim. Dopiero wstawiennictwo kilku księży, a przede wszystkim zapewne ks. Kirchniawego, spowodowało po kilku latach złagodzenie kary, z której na razie dotknięty nią bernardyn niewiele sobie robił. Ze Śląska, jak widzieliśmy, powrócił do Rzymu i tam wykładał jeszcze, ale coraz rzadziej do połowy stycznia 1903 r., po czym wykłady przerwał i odtąd tracimy na pewien czas możność dokładniejszego oznaczenia dat i miejsc jego pobytu.

V. PROFUGUS SUPER FACIEM TERRAE (1903—1907)

Z Rzymu wyjeżdżał Stateczny jako człowiek nerwowo rozstrojony, w którym nieliczne już tylko nici wiązały w całość psychiczną sprzeczne z sobą nastroje, myśli i zachcenia. Prze-

²⁵) W *Samoobronie* i w notatce bibliograficznej, danej krótko przed śmiercią przez Statecznego o. Bogdalskiemu, podaje Stateczny, że *Obrazki Śląskie* drukował pod pseudonimem Staropolanina w odcinkach „Górnoślązaka” w r. 1900—1902. Tymczasem były one drukowane w latach 1902—3, a nawet wcześniej nie mogły się ukazywać, gdyż „Górnoślązak” zaczął wychodzić dopiero od 15 grudnia 1901 r. Nie pojawiały się też w odcinkach pisma pod pseudonimem, lecz bezimiennie. Pod pseudonimem wyszło ich tylko pięć jako I seria książkowego wydania. To przesunięcie wstecz lat powtarza się jeszcze kilkakrotnie przy innych sposobnościach i jest charakterystyczne dla Statecznego.

łożeni radzili mu odpoczynek w klasztorze w Maria-Radna na Węgrzech, pociągała go też znajomość tamtejszego prowincjała i ponętne opisy położenia klasztoru. Przestał się namyslać („szukałem spokoju, nie wiedząc, skąd mój niepokój pochodzi”). Przedtem atoli pojechał jeszcze na Górny Śląsk do rodziny, która zaniepokojona stanem zdrowia o. Euzebiusza przydała mu prawdopodobnie jako towarzysza głuchoniemego brata. Z tym bowiem bratem zjawił się w Maria-Radna. Jak długo tam przebywał, trudno określić, w liście autobiograficznym z 30 września 1913 r. mówi o 6 miesiącach, w *Samoobronie* dwukrotnie o niespełna roku, wspomina także o pobycie na Śląsku przed i po Marii-Radnej, a wreszcie we wspomnianym już liście autobiograficznym oznacza datę swego przybycia do Osieczny na 19 marca 1903 r. Wobec faktu, że koniec pobytu rzymskiego jest skądinąd należycie udokumentowany, wypadaloby na pobyt w Maria-Radna, jeżeli data przybycia do Osieczny jest prawdziwa, 6 tygodni, a nie miesięcy, ale z drugiej strony wzmianka o niespełna rocznym pobycie, zapisana około r. 1907, nie da się zlekceważyć. Przy tym zważyć trzeba, że precyzyjność daty przybycia do Osieczny może ulec zakwestionowaniu nie tyle co do dnia, ile co do roku, zwłaszcza że pomyłki Statecznego w datach rocznych w okresie „rozłamania” stwierdzić się da kilkakrotnie. W wyniku tych rozważań, ocalając wcześniejsze dane i datę dzienną, przypuszczam, że jazdy z Rzymu przez Górny Śląsk do Maria-Radna i z Maria-Radna znowu przez Śląsk do Osieczny, dosyć okrężne, zajęły parę miesięcy i że Stateczny zjawił się w Osiecznie 19 marca 1904 r. Wtedy będzie czas na blisko roczny pobyt w Maria-Radna i na pracę nad *Żywotem św. Franciszka*, którą tu według *Samoobrony* wykończył, oraz na zajęcia duchowne, konieczne wobec licznych pielgrzymek. Co do życia psychicznego oddaję głos wyjątkom z *Samoobrony* mimo ich wad.

Spokoju tu nie znalazł; przeciwnie przedenerwowany jeszcze więcej, odczuwał każdy krok otoczenia jako zamach na siebie. Pisane w kilka lat później wynurzenia *Samoobrony* zawierają reszty rzeczywistych uczuć, jakkolwiek ich strona literacka wykazuje charakterystyczny osad wpływu literackiego, tym razem spowiedzi Jacka Soplicy z „Pana Tadeusza”: „Cóż cierpiała godność osobista, gdy przede mną pluto, kaszlano, charkano? Gdy rękę jako księdzu całowano śliną! Gdy poda-

wano rękę oślizgłą! Gdy zamiast dłoni podawano palec, lub rękę nie prawą jeno lewą! Gdy odwracano twarz, przewracano wzrok! Gdy się ironicznie uśmiechano! Gdy twarz pokazywano zimną jak posąg lub pyszną jak u szatana! Któż wypowiedzieć zdoła te katusze obrażonej dumy i miłości własnej! I to mnie, któremu kadzidła dawniej palono, pochlebiano, o jego łaski się ubiegano, jego rozum i energię i inne cnoty podziwiano! Quae mutatio rerum! ...Te przytyki o prawdomówności i o prawowierności! Te niedomówione słówka i zaledwie dostrzegalne gesty i mrugania oczyma o wszystkich głównych grzechach i cnotach! I to nie raz lub kilka, ale ciągle, we dnie i w nocy, przy obiadach i w kościele, wszędzie i zawsze! Któż opowie tę żrącą truciznę, którą rozmaitymi dawkami i drogami sączono w serce i mózg! Kto pojmie to udręczenie ducha? Ten wstyd kto wypowie? Odczuje kto? Odtąd miała ta ironia być nieodłączną towarzyszką życia."

Dziwne przy tym było poczucie pełni sił, jakiego przedtem nie doznawał: „Idąc krokiem sprężystym przez ulice miasta, przyrównywałem się mimowoli do ogiera rozplodowego. Jak stadnik, biegnąc w pysznych podskokach wilczych, wydaje jakiś wiew (śledziona) rozgłośny, soczysty, tak ja wydawałem się wzdymać i klęsnąć na przemian owym gumowym powietrzem donośnym, a przy tym głos brzmiał pełny, harmonijny, zapraszający, oko skrzące, postać wyniosła jak u dzika, chód gibki elastyczny, ruchy gnące się jak u węża. Tacy ludzie powinni być rozkrzewicielami fizycznymi rasy ludzkiej, a będziemy mieć wnet nadludzi. Po co im społeczeństwo pozwala wstępować do klasztoru?"

Może byłoby zbyt śmiałe twierdzenie, że i to wynurzenie zrodziło się z wpływów lektury, ale wykluczyć je bezwzględnie byłoby wielką nieostrożnością; mamy tu do czynienia ze spłotem wrażeń literackich (nadczołowiek) i osobistych uczuć, wywołanych chorobą. Bez któregośkolwiek z tych elementów owa wynurzenie nigdy by nie powstało. Są to spóźnione żale, określane przez samego Statecznego częstokrotnie za Asnykiem jako „daremne żale, próżny trud". Nie wyda się dziwne wobec tego występowanie erotycznego kompleksu, przerzucanego często we własną przeszłość, a czerpiącego wyraz i często treść z reminiscencji lektury, wrażeń przy spowiedzi, a zapewne i ze snów, chociaż wyraźny dowód na to mamy tylko jeden i to

z późniejszych czasów, zanotowany w dorywczych notatkach z podróży do Brazylii.

Jakkolwiek patrzeć będziemy na przytoczone co dopiero dwa wynurzenia, łatwo zrozumiemy na ich tle, że dalszy pobyt w Maria-Radna stawał się udręką ponad siły. Rodzi się podejrzenie, coraz więcej się utrwalające w następnych latach, że stan obecny, na który nie skutkują żadne leki, jest nienaturalny i spowodowany działaniem zewnętrznym, mającym na celu przetworzenie jego, t. j. Statecznego fizyczne i duchowe z przyczyn jemu nieznanych, których się tylko mógł domyslać, gubiąc się zresztą w przypuszczeniach, a z którymi współdziałają wszyscy, nie wyłączając najbliższej rodziny. Zaczyna się tragedia człowieka „samego wśród ludzi”, który niedługo spróbuje szukać gdziekolwiek dla siebie życzliwości.

Porzuca więc klasztor w Maria-Radna, a w dążeniu do samotności rad jest, że może „się przenieść w Poznańskie w okolicę bezludną, gdzieby powoli począł umierać”. Wraz z nim jedzie brat głuchoniemy i przyjeżdżają do domu rodzicielskiego na Śląsku. Jaki był nastrój psychiczny Statecznego, do jakiego stopnia wzrosła podejrzliwość, widać z następującego urywka z *Samoobrony*: „Głównie tu obwiniam ojca, który mnie poddał w Koźlu próbie publicznej w tym, w czym rzadko wykraczałem: w picciu. A wtedy wykroczyłem, choć się wcale nie upiłem, właśnie trawiony pragnieniem sztucznym. Wprawdzie mi mówił ojciec, bym nie pił. Ale to nie wystarczało, gdyż to uważałem za prosty z jego strony żart, znając nie tylko jego w tym względzie pobłażliwość, ale i to, że on sam sobie nie folgował.”²⁶⁾

Widzimy w tym nie tylko powracające okresowo osłabienie woli, ale także bierność umysłową, która nie szuka przyczyn rzeczywistych, lecz ulega raz powziętemu przypuszczeniu, gdyż w przeciwnym razie nasunąłby się mu wniosek najprostszy, że ojciec, zatroskany jego stanem psychicznym, chciał go rozerwać i według swoich wyobrażeń wybrał „na frasunek dobry trunek”. Zamiast tego: próba publiczna, sztuczne pragnienie i wniosek: „To mnie całkiem pogrążyło. Odtąd już należałem całkiem do opinii i sądu motłochu.” Nie należy jednak tego

²⁶⁾ Przekład włoski *Samoobrony* zawiera tu myśl przeciwną: *ma anche questo, che anche lui indulgeva.*

zbyt pochoptego wniosku brać bezwzględnie na serio, jest on trafny tylko w pewnych okresach dalszego życia, w innych natomiast występuje dawny Stateczny, choć nieco już osłabły fizycznie i duchowo.

Istota tego osłabienia polegała na tym, że nie tylko wydoły się na wierzch wpływy świeckiej lektury i różnorodnych wrażeń, zdobytych w czasie pościgu za nabyciem nowożytnej kultury, lecz nawet wyzwoliły się spod nadzoru woli i nakazów wyznawanej w głębi duszy wiary, poczęły skupiać się w pewnych okresach jakby w nową jednostkę, narzucającą ciału działania, obce i wrogie właściwemu Statecznemu. Była to jakby owa Hadrianowa animula vagula, blandula, comes hospesque corporis, lecz bynajmniej nie anima, która w tych okresach jakby milkła i przestawała ciałem władać. Animula ta była wytworem poprzednich przeżyć Statecznego, a jej siła życiowa wzmacniała się podczas nasileń choroby fizycznej. Zastrzegam, że jest to raczej uzmysłowanie niż określenie stanu psychicznego w czasie „okrutnego rozłamania”, z którego właśnie sprawę zdawał sobie lepiej „drugi” Stateczny.

Osiada więc od 19 marca 1904 r.²⁷⁾ w klasztoru w Osiecznie, miasteczku odległym od kolei o dwie mile, w którym do wymarcia przebywało paru zakonników, a od czasu do czasu, niezmiennie rzadko zjawiali się na pokutę księża świeccy. Ów klasztor w Osiecznie i drugi w Goruszkach były niedobitkami potężnej niegdyś prowincji Niepokalanego Poczęcia N. M. P., która obejmowała dawną Wielkopolskę w znaczeniu przedrozbiorowym, t. j. Poznańskie, Prusy Królewskie i Książęce, oraz północną część Królestwa Kongresowego (Kujawy i Mazowsze), a liczyła 30 przeszło wielkich klasztorów. Zachował się w papierach po o. Statecznym brulion sprawozdania, które z polecenia Komisarza generalnego napisał po łacinie, nie wiadomo w którym roku, dla centralnych władz Zakonu. Sprawozdanie

²⁷⁾ Data roku, jak wspomnieliśmy, wykombinowana, bo sam Stateczny podaje r. 1903 mało prawdopodobny, lecz postronnych świadectw, wyświetlających dostatecznie sprawę brak. Schematyzmy duchowieństwa poznańskiego (Eleuchus cleri np. r. 1910, str. 110 podają jako datę osiedlenia się w diecezji r. 1906, ale to kwestia związana albo z urzędowym zameldowaniem Statecznego Kurii arcybiskupiej, albo z jego powrotem do Osieczny. O. Antoni Galikowski przypomina sobie, że widział go w r. 1904 w Osiecznie, gdy wówczas wstąpił do zakonu. Potwierdzałoby to moje przypuszczenie.

to jest dość pobieżne i pochodzi zapewne z któregoś z początkowych lat pobytu Statecznego w Osiecznie, rzuca zaś pewne światło na powody jego przybycia w Poznańskie. Są one inne niż podane w *Samoobronie*, ale odnoszą się raczej do zewnętrznych okoliczności, nie wyjaśniając w niczym przeżyć wewnętrznych. Według tego sprawozdania rzecz przedstawiałaby się następująco: Oba klasztorzki dogorywały i jako instytucje zakonne istniały raczej konspiracyjnie i faktycznie niż oficjalnie i prawnie. Zakonnicy w Goruszkach tylko w murach klasztorznych nosili habit, poza nie wychodzili w ubraniu świeckim, w Osiecznie zaś używali stroju zakonnego i poza murami klasztoru, ale byt ich zakonny wynikał tylko z łaski biskupa-ordynariusza, w Goruszkach nadto z pomocy materialnej rodziny fundatorów klasztoru, a wreszcie z pewnej pobłażliwości władz pruskich, które przymykały oczy na kwestarskie czynności braciszków itp. Urzędowo klasztor osieczniański był domem emerytalnym i pokutniczym dla księży świeckich, braciszkwie uchodzili za służbę tych księży, jedyny zaś przed rokiem 1903 kapłan zakonny oficjalnie był z woli biskupa dyrektorem tego domu, a po cichu zaufanym komisarzem prowincji z ramienia władz zakonnych. Goruszki utrzymywały się jako miejsce odpustowe, wymagające liczniejszej obsługi duchownej, przebywało więc tam 3 kapłanów zakonnych. Krótko przedtem zwinęto trzeci klasztorzki we Wronkach. Po przybyciu Statecznego było w obu siedzibach zakonnych 5 kapłanów, 5 braciszków i 2 tercjarzy; nowicjusze zakonnicy kształcili się w Wieliczce i we Lwowie.

Komisarz generalny prowincji był człowiekiem starszym i schorowanym; tymczasem w Rzymie prawdopodobnie żywno jakieś nieokreślone nadzieje, że się uda prowincję ożywić, że trzeba tylko człowieka, chociażby chwilowo tylko obdarzonego energią i takiego dopatrywano się w Statecznym. Może poczyniono mu jakieś obietnice na przyszłość, dano jakieś polecenia do władz duchownych i chciano w ten sposób przywrócić mu dawną równowagę duchową. Na tę misję wskazują te miejsca w sprawozdaniu, w których mówi o przyszłości braci i klasztoru w Osiecznie, że zależne są od biskupa, który może następnym dyrektorem domu mianować zakonnika lub nie i z którym Stateczny o tych sprawach rozmawiał, lecz nie uzyskał żadnego obowiązującego przyrzeczenia, choć los braci do pew-

nego stopnia wydawał się według słów biskupa zabezpieczony. („Fabrica et homines et alia huius modi sunt subiecta curae et administrationi Ordinarii. Hinc mortuo direttore praesenti, si O.(rdinarius) non alium ex nostratibus, eligit, fratres ut tales cessant esse Osieciano. Praesentes autem fratres, qui sunt et uti sunt hucusque, possunt persistere via privata etiam in posterum ut relatori ex auctoritate competenti solemniter promissum fuit. — Clero saeculari patres omnibus in exigentiis vitae religiosae et socialis manus praestant.”)

Sprawozdanie zawiera nadto jeszcze jedną sugestję, zrozumiałą tylko wtedy, gdy wyraz tam użyty *hemitrophis* pojmujemy tak, jak bliżej go określił na początku sprawozdania: *partem hemitrophien Poloniae russicae*. Oto ten nieco niewyraźny ustęp: „Si commissar.(iatus) coniunctus foret cum hemitrophis, ut conupecta (? , zapewne zam. compacta) vis organica post tergum eius exsiliret, facile et hi duo conventus et conv. Vroncensis, nuper dimissus, nec non alii in Borussia (prov.) occid. et orient. reacquiri possunt sub conditione anuentiae Ordin.(arii) et regiminis, secus inutilis foret quaevis tentatio coram exigentiis recentis vitae socialis”. Myśl, wyrażona tą klasztorną łaciną, byłaby taka, że jeżeli komisariat zakonny rozciągnie swoją władzę także na klasztory w Kongresówce i w ten sposób pozyska w odwodzie siłę organiczną, to może odzyskać także klasztor we Wronkach obok dwóch istniejących raczej faktycznie niż prawnie, a może jeszcze i inne w Prusiech królewskich i książęcych, że jednakże bez życzliwego stanowiska biskupa i rządu wszelkie wysiłki są bezużyteczne wobec warunków życia nowoczesnego. Wahał się więc Stateczny między pożądaniem samotności, a ponętami wskrzeszenia życia franciszkańskiego na tak ogromnej przestrzeni. W Rzymie widocznie nie miano nic przeciw tym planom, ale czy była gotowość do jakiegokolwiek pomocy, nie wiadomo. W każdym razie z tym ustępem sprawozdania łączę otrzymaną ustnie od o. Czesława Bogdalskiego informację, że przed r. 1907 spotkał się ze Statecznym we Włocławku w klasztorze reformackim, który objąć mieli bernardyni na życzenie biskupie, atoli dopiero po śmierci dotychczas-

sowego przełożonego²⁸⁾. Objęcie klasztorów w Kongresówce nastąpiło dopiero po wojnie światowej.

Z przytoczonymi ustępami połączyłbym także niektóre wzmianki z *Samoobrony*, jak np. jedną z r. 1907: „To życie wzorowe, połączone z umiejętnością prawienia kazań i wykwintnych i ludowych i z tą ciągłą śrubą rehabilitacyjną i z patriotyzmem, sprawiły, że się stałem wkrótce wyrocznią ludu, kochanym i poważanym przez wszystkich aż do dnia odjazdu. Z biegiem czasu pozyskałem nawet Niemców z burmistrzem na czele swoim postępowaniem poprawnym, co wobec partyjnych walk i przeróżnych wykluczających się wzajemnie prądów w Poznańskim nie jest łatwym”, oraz inną przesadną, poniekąd niesprawiedliwą, a wyjątkowo u Statecznego mściwą z r. 1914 lub 1915: „Zwłaszcza biskup Likowski. Człowiek zły, mściwy, skąpy, spiskujący z biskupami niemieckimi we Fuldzie na szkodę społeczeństwa polskiego; człowiek, który zagarnawszy trzy nasze klasztory, mnie na stare lata dachu nad głową i środków utrzymania pozbawił. A byłem ostatnim ojcem prowincji zakonnej w Poznańskim... Nigdy w życiu się nie mściłem. To mi czytelnik tę małą zemstę wybaczy.” Widoczny jest powód osobisty tego ostrego sądu o ks. biskupie Likowskim, którego, zresztą, w wielu dziennikach obwiniano o zbytnią uступliwość dla rządu pruskiego. Uzasadnienie działania na szkodę społeczeństwa polskiego — to owo zagarnięcie 3 klasztorów franciszkańskich (Wronki, Osieczna i Goruszki), oraz domysłne, niewypowiedziane tu przekreślenie planów samego Statecznego²⁹⁾. Świadomość tego niepowodzenia zaczęła się, oczywiście, o wiele wcześniej przejawiać jako poczucie klęski po tylu powodze-

²⁸⁾ Por. ks. K. Kantak: *Bernardyni Polscy II*, str. 577, który wszakże nie wspomina w związku z klasztorem wrocławskim wogóle nic o Statecznym, o. Bogdalskiego zaś zna tylko jako misjonarza po parafiach od r. 1905.

²⁹⁾ Sąd o bisk. Likowskim zmodyfikował Stateczny w *Samopotępieniu*: „Umieściłem w toku samoobrony dwa ze sobą sprzeczne sądy doraźne o Wielobnym Duchowieństwie Gnieźnieńsko-Poznańskim, zwłaszcza o osobie Najprzew. Ks. Biskupa Dr. Likowskiego, późniejszego arcybiskupa... De mortuis nil nisi bene. Sąd o tej dostojnej arcybiskupiej osobie i jej pracach podjętych dla dobra diecezji należy do Boga i do historii, a nie do mnie, pyszałka i robaczka lichego.”

Jeżeli bisk. Likowski miał jakieś zamiary likwidacji komisariatu poznańskiego, to się one tylko częściowo mu powiodły, gdyż jeszcze w r. 1914 byli

niach, klęski niezrozumiałej, której przyczyny nie mógł przypisywać sobie, lecz siłom zewnętrznym, potężnym dzięki organizacji ogólnej, a żądającym od niego rzeczy, które same uniemożliwiają. Nie może się więc Stateczny pogodzić z myślą, że winną jest choroba i przepracowanie umysłowe przez niego samego spowodowane i podsycane, że minęły dni tryumfów na szerokiej widowni, a teraz pozostaje życie w zaciszu, więc uniewinnieniem siebie i tłumaczeniem dostatecznym wydaje mu się przypuszczenie, przeradzające się zwolna w pewność, że śledzono go od początku, że za winy dawnego życia, a może dla jakiegoś tajemnego celu poddaje się go cierpieniom i upokorzeniom, że to jest owa „śruba rehabilitacyjna”, polegająca zarówno na zadawaniu mu prac niemożliwych jak na podniecaniu go sztucznymi środkami, które potęgują lub osłabiają objawy choroby, że udział w tym biorą nie tylko współbracia zakonni, lecz także rodzina, a nawet całe społeczeństwo. To przypuszczenie, czy urojenie wzmacnia się, gdy cierpienia fizyczne dolegają silniej, słabnie lub ustaje wraz z ich uspokojeniem. To jest owo „okrutne rozłamanie” wewnętrzne, owo podwójne odtąd życie: ascety-zakonnika i zbuntowanego syna wieku, neurastenika. Czyny, dzieła i myśli obu luzują się wzajemnie, czasem ząbnią się, przeczą sobie nawzajem i próbują kompromisu, aż wreszcie przychodzi pewne ukojenie.

Zewnętrzne wydarzenia życia w samotni osieczniańskiej przedstawiają się ubogo. Podejrzywa otoczenie, że zadaje mu środki nasenne, aby dokonywać rewizji jego portfela i sprawdzić, jakimi środkami pieniężnymi rozporządza, że znaleziono wtedy książeczki wkładowe instytucji finansowych śląskich, w których przechowywał swoje oszczędności i że to spowodowało wystawianie go na dalsze próby. Każda choroba, np. zapalenie płuc po roku pobytu w Osiecznie, wydaje mu się sztucznie wywołaną. Przychodziły takie chwile, w których słaby władze umysłowe tak, że musiał przerywać kazania, a jednak

w obu klasztorach zakonnic (por. *Schematismus Fratrum Minorum Almae Provinciae B. Virg. Mariae Angelorum in Galicia et Commissariatatus Posnaniensis pro anno Domini 1914*, Rawa Ruska 1914, str. 29—30), ale funkcje komisarza sprawował już od r. 1913 prowincjał odległej prowincji reformackiej M. B. Anielskiej w Małopolsce.

W r. 1906 komisarzem był o. Anastazy Sprenga, ur. 1833, od 1900 dyrektor domu ks. ks. emerytów w Osiecznie, zmarły przed r. 1913.

żyła w tym człowieku nieposkromiona chęć pisania. W takich chwilach powstaje właśnie często *Samoobrona*, co sam przyznaje: „Dziwna rzecz! niekiedy przytępiano rozum, a pozostawiano wielką chęć pisania. I zdaje się, iż w tym stanie jestem obecnie, gdyż inaczej byłoby to pisanie rozumniej wypadło; byłoby się mianowicie obeszło bez wszelkich wykrzykników i dziecinnych utyskiwań.”

Jak spędzał długie dni samotności przeważnie dobrowolnej, gdy stronił od nielicznego zresztą otoczenia klasztornego i znajomych w mieście, lub nie wyjeżdżał dla posług duchownych do Goruszek, lub na odpusty do Górki Duchownej, czy wreszcie także do rodziców, można określić w przybliżeniu na podstawie *Samoobrony*. Wypełnia je lektura tak książek religijnych jak zwłaszcza literatury nowszej, z której cytaty lub urywki, odpowiadające jego pesymistycznemu nastrojowi, wrzają się w pamięć i nasuwają mimowolnie pod pióro na równi z wersetami biblijnymi, cytowanymi przeważnie w języku łacińskim. Mamy więc porównywania siebie z biblijnymi Jobem i Naamanem i określenie swego położenia życiowego jako *profugus super faciem terrae* i zmieniony nieco Asnykowski motyw w postaci: próżny żal, daremny trud i Kasprowiczowskie określenie: „Wieczność wielki, głęboki, nieobjęty sen” i westchnienie za św. Franciszkiem w wysłowieniu Kasprowiczowskim do „Siostry Śmierci”.

Stroniąc od ludzi, to schodzi w groby klasztorne, to chroni się na łono przyrody. O pobycie swoim w grobowcach sam nie wspomina, lecz zachowała się żywa tradycja, która prawi o parudniowych medytacjach w otoczeniu zmarłych w podziemiach klasztornych. Ślad wrażeń, stamtąd wyniesionych, spotykamy z jednej strony w *Konferencjach o rzeczach ostatecznych* (to reaguje kapłan-zakonnik), z drugiej strony w *Samoobronie* jako przeświadczenie o nicości wszystkiego, jako uwielbienie dla geniuszu hinduskiego, który wymyślił Nirwanę.

Dziwną sprzecznością wobec tego jest kult przyrody, która przecież była niczym innym, jak częścią tego wszystkiego. Jej powierza swoją rozterkę i ból: „Ty zaś, o jezioro osieckie, którego szklistej tafli i falom szemrzącym swoje żale i cierpienia powierzałem, bądź zdrowe! Bądź zdrowy i ty, lesie osiecki, u którego stóp kładłem swoją duszę zbolałą! Zdrowymi bądźcie i wy, łąki witosławskie i grzendzińskie! Z waszego łona wy-

szedłem, wasze łono mnie wyhodowało: gdym wyrósł na męża, pieściła mój smutek wasza pierś matczyna. Bądźcie zdrowe!.. Błogosławieni, o których świat zapomniał; a szczęśliwi jedynie ci, których zielona murawa pokrywa... »Wieczność wielki głębokoci nieobjęty sen.«"

Nim jednak w przechadzkach dotarł do lasu lub nad jezioro, trzeba było przejść przez miasteczko Osieczną, w której, jak mu się zdawało, wszyscy należeli do spisku na niego, do zwolenników „śrubby rehabilitacyjnej". Oto, próba drażliwości nerwów: „Przejść przez całe miasto pod wpływem tego wzroku ludzkiego, utkwionego nieruchomo (o dwóch barwach sztucznie wywołanych: niebieskiej i czarnej) w mojej osobie i odgadnąć, w które oczy spojrzeć, a w które nie, to jest szczytem upokorzenia. Wobec tego niknie jarzmo gaudyńskie. Człowiek czuje się formalnie zdruzgotany. Z czasem oczywiście przywykłem i usiłowałem oddziaływać. Ale bez trwogi nie puszczałem się nigdy w wir tej walki. Najwięcej takich potyczek było w Osiecznie i w Berlinie."

Ukojenie pozorne tylko przynosił sen, skoro majaczenia same nasuwały tylko przekształcone rojenia na jawie: „Tak, błądziłem między cieniami elizejskimi we śnie na modłę płócien Stanisławskiego i Munka i przechadzałem się to samotnie, to ręka w rękę z tworamii mojej wyobraźni wśród światła amarantowego na innych od naszej staruszki ziemi ciałach niebieskich". Wyraźniej jeszcze stwierdzić można zależność marzeń od wrażeń lektury w następującym wynurzeniu: „A przez rozmaite kombinacje można wywołać nawet fantastyczne wrażenia i niebyłe. I tu się objawia świat majaków nadprzyrodzonych i ekscentryczności. Ileż razy przenosiłem się wyobraźnią na Teukrę z jej mieszkańcami astralnymi i wyrosłymi z krwi własnej i miazgi życia, jak Nau w swej powieści »Wroga siła«, czyli pamiętniki wariata marzy."

Jeżeli uwzględnimy nadto postępy choroby, ujawniające się przedwczesnym siwieniem i łysieniem, i nową chorobę, nabytą siedzącym trybem życia, t. j. hemoroidy, otrzymamy dostateczny szereg powodów wzrastającego niepokoju i nieufności do otoczenia. Podejrzliwość wzrasta do ostatecznych granic, lektura wiadomości o wynalazkach w chemii budzi przypuszczenie, że w pokarmach i napojach podaje mu się narkotyki, które powodują jego niezwykły stan fizyczny i psychiczny.

Przyczyniał się do pogorszenia tego stanu także nieregularny nader tryb życia. Czasami odmawiał pokarmu, bądź to podejrzewając w nim domieszkę urojonych narkotyków, bądź też oczekując na zezwolenie osoby, w której dopatrywał się przedstawiciela „urzędowej rehabilitacji”. Wynikały stąd sytuacje dziwaczne, że wszyscy np. na odpustowym obiedzie zjadali smacznie, a Stateczny siedział głodny i dziwił się, że nie zmusili go wbrew woli do jedzenia. Często odżywiał się niedostatecznie, np. w Górcie Duchownej przez 12 dni nie jadł nic, tylko pił mleko z wodą sodową, a w nim przepisane przez lekarza preparaty żelaza. Sypiał niekiedy po pięć godzin na dobę, nie ustając mimo to w wytężonej pracy duszpasterskiej, słuchając spowiedzi wielu pałników, które go uczyły, że „trudem jest każde życie i marnością wszystko, co jest”, że równa jest nędza całej ludzkości, a szczęściem jest jedynie śmierć. Wzmacniała się „zapięklą nienawiść do ludzi”, nerwy przedrażnione doprowadzały do wybuchów, że „z rozpaczą w piersiach, pięście przy skroniach, wychodziłem, wrzeszcząc: Po co mię dręczyć”. Musiało to zwrócić uwagę otoczenia, próbowano w różny sposób uspokoić nieszczęśliwego, daremnie, gdyż każdy objaw współczucia czy pociechy, czy udanego lekceważenia choroby utrwał go w przekonaniu, że jest ofiarą. Gdy przyjechał do rodziców do Witosławic, ci, widząc rozpaczliwy stan syna, zawieźli go do Częstochowy, ale on brał w tej pielgrzymce tylko automatycznie udział. Wrócił bez polepszenia i począł się wahać między myślą samobójstwa a ucieczki z zakonu i kościoła, odzyskania swobody i wolności. Odruchy wszakże wybijającej się ponad cierpienia fizyczne czasami świadomości paraliżowały początkowo te próby buntu. Oto przykład: „Postanowiłem przejść na protestantyzm i nad tym myślałem najdłużej. I razu pewnego już — już zamierzałem wyjawić ów zamiar pastorowi w Osiecznie. Na szczęście tłum, zgromadzony wieczorem w tamtej stronie krypla protestanckiego, odstraszył mię. Ale tak czy owak, ucieczka była kwestią czasu.” Może także obok tej chorobliwej trwożliwości wpłynęło na cofnięcie się przypuszczenie, że i pastor należy do tych, którzy działają przy jego „rehabilitacji”. Myśl zbłąkana kieruje się w inną stronę, rozumowanie mimo wszystko logiczne układa taki sylgizm: skoro jestem przez wszystkich prześladowany, mogę szukać i znaleźć pomoc tylko u ludzi ogólnie prześladowanych.

Takimi wydają mu się socjaliści. Zanim przedstawię ten nieudany zresztą zwrot w stronę socjalizmu, muszę dla ścisłości zaznaczyć, że Stateczny w chwilach większej przytomności zdawał sobie sprawę ze swego stanu i że pewne ustępy w *Samoobronie*, przejęte prawdopodobnie z kreślonych na gorąco notatek, wymownie o tym świadczą, a zarazem rzucają światło na przedziwną szczerość, która nie wahała się tych wynurzeń wcielić do *Samoobrony*, mającej przecież przedstawić go jako człowieka prześladowanego, lecz właśnie posiadającego zrozumienie najzawilszych prawd.

Oto jeden z tych ustępów: „Na tle tych dwóch stałych czynników gniewu i ośłupienia rysowały się w danych czasach i przemianach inne doświadczenia in anima vili. Wprawdzie muszę powiedzieć, że skoro się przekonano o moim nienaganym życiu, okazywano mi wiele współczucia i pomocy, ale wszystko to było rzucaniem grochu o ścianę, bo ja wciąż jeszcze nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Powiem wprost: sądziłem, że się ludzie nade mną znęcają. Poniekąd sądziłem dobrze, bo przecież, bacząc na rzeczy przedmiotowo, to tak jest; ale nie chcę przez to winy przypisać każdemu bezpośrednio, bo łatwiej słońce przeniknie skorupę ziemską, aniżeli wolność łód przesądów ludzkich.”

Na tle takiej rozpaczliwej nieufności do ludzi, wśród zupełnego, dobrowolnego odosobnienia się, gdy wymiana myśli ograniczyć się musiała do samego siebie, mogły się wyłąc tego rodzaju przypuszczenia, jak to, że zapadł na niego tajny wyrok: „zadośćuczynienie czasem nieokreślone, poświadczone i zaprzysiężone przez trzy osoby pięciom lub siedmiom lub trzem punktom (jedzenie, picie, patrzenie, śpiewanie, spanie, milczenie, palenie) przez trzy przynajmniej lub dwie instancje ($5 \times 3 = 15$), składających się jako skończona figura algebraiczna i objawionych za pomocą lekkich znaków albo wcale nie i przy zażyciu tajemnie względnych narkotyków jako środków aptecznych w znaczeniu allo- lub homeopatycznym i jako przeszkód mających być przewyciężonych. Wtajemniczeni w te sprawy rozumieją, co tą tajemną mową chcę oznaczyć.” Wydawałoby się to przypuszczenie igraszką niemal dziecinną, gdyby nie było szczytem rozstroju myślowego jednostki, posługującej się niegdyś a czasami i później tak świetnie rozumowaniem logicznym w dziedzinach abstrakcyjnych. Teraz cała ta

wy gimnastykowana bezwzględnie myśl, uległszy „okrutnemu rozłamaniu”, z takich przypuszczeń wysnuwała konsekwentne wnioski i kazała jednostce stosować je w życiu³⁰⁾. Przypuszcza więc: „chciano ni mniej ni więcej, abym ludzkie myśli odgadawał”, albo „życie jest walką wariatów, lisów i tygrysów! A »Gerechtigkeit ist auf der Bühne«”. Do której z tych 3 kategorii siebie zaliczał, można wnioskować z 2 wynurzeń: „Ja, który z natury byłem jeżeli nie jak cielątko to z pewnością jak jagniątko, stałem się nagle jak zły pies” i „I ja też z biegiem czasu jałem się domyslać, czego chciano i tworzyć całokształt zadania. Ale ile w tym błędów, ile złudzeń! Nie chcę wszystkich szematów podawać, choćby to jako dowód aberacji umysłowych było nader ciekawe”, albo: „Ach, cóż cierpiałem moralnie! Często gdy lepsze kazanie chciałem prawić, nałożono mgłę na moje zwoje mózgowe, żem prawie bez słowa z kazalnicy schodzić musiał. W towarzystwie siedziałem jako ten tuman z rękami założonymi, puszczając wielkimi palcami młynka.”

Nie brakło więc w tym chorobliwym stanie przeżyć świadomości, po których jako ocalenie pojawiała się myśl ucieczki z klasztoru od przyjętych niegdyś na siebie i wywalczonych z trudem obowiązków, ucieczki na mniemaną wolność i swobodę. Pomóc zaś mieli ci, których niegdyś zwalczał: socjaliści. Miał z okolicy Witosławic znajome małżeństwo niemieckie, socjalistów niejakich Wagnerów, mieszkających w Berlinie. Z nimi się tedy porozumiewa, nie bez walki wewnętrznej. Przygotowuje także list otwarty, który chce po wstąpieniu do partii socjalistycznej ogłosić. Charakterystyczny jest jego początek: „Wiadomość o moim odstępstwie od Kościoła przerazi

³⁰⁾ Nasuwa się wszakże inne, nie tak proste, jak poprzednie, lecz na tle innych wynurzeń Statecznego jeszcze możliwe wyjaśnienie, według którego w tych nieco mistyfikatorskich odwoływaniach się do wtajemniczonych tkwiłby podkład realny. Możliwą bowiem rzeczą jest, że w czasie swych wędrówek po świecie w pogoni za poznaniem tajników życia XIX w. dał się Stateczny wciągnąć do któregoś z tajnych stowarzyszeń i w słowach zacytowanych mamy refleks praktyk wtajemniczeniowych, formuł i może pogroźek na wypadek usunięcia się z grona wtajemniczonych. Mógł także przypuszczać przez analogię, że potęgą Kościoła polega również na konspiracji wtajemniczonych, którzy utrzymują związki z innymi tajnymi stowarzyszeniami. Sam Stateczny we własnych oczach byłby kandydatem do tego tajnego stowarzyszenia, poddawany szeregowi prób wyrafinowanych. Oczywiście, to wyjaśnienie nie zmienia sądu o stanie anormalnym Statecznego.

jednych z moich znajomych, drugich napełni zdumieniem lub smutkiem, innych zastanowi. Niektórych rozraduje. Za to moich biednych rodziców wtrąci do grobu. Rzeczą tedy jest nieodzowną, aby ryczałem podać powód tak ważnego w znaczeniu społecznym kroku; tym więcej, że nie tylko chodzi o człowieka, ale o autora prac filozoficznych i teologicznych, nie tylko o profesora teologii i męża liczącego blisko 50 lat³¹⁾ życia, ale chodzi o kapłana Kościoła rzymskiego, chodzi o syna św. Franciszka z Asyżu." List zawiera dalej opis choroby wraz z omówionymi już przeze mnie przypuszczeniami. Zakończenie listu nieco przydłuższe przytaczam jako objaw, jak dalece prześląkła myśl lekturą, niegdyś braną pod krytyczne rozważanie, a dziś wyłaniającą się tryumfalnie z podświadomości, do której została zepchnięta, jak dalece potoczny frazes zapanował nad rozumowaniem:

„Tak tedy znalazłem się w waszych zwartych i niezdobytach szeregach, o towarzysze. Znalazłem się pomiędzy wami nie dla kobiety, bo człowiek pięćdziesięcioletni³¹⁾ nie szaleje jak chłystek; nie dla zaszczytów i wygody, bo mię raczej prześladowanie i twarda walka o byt czeka, czeka mię przydomek zdrajcy i apostaty; nie dla uczucia, bo właśnie przyjaźń i rodzina pozostają po tamtej stronie, a swoim krokiem wbijam do trumny rodziców najgłębszy gwóźdź; nie dla bogactw, bo tych u was nie ma i prawdopodobnie będę się musiał często suchym chlebem zadowalniać. Za to znajdę dobra, które rzadko na ziemi nawet król osiąść może: wolność. Przystąpiłem do partii socjalnej, aby nie tylko prawdę i wolność ducha znaleźć, ale także, aby o tęże prawdę i wolność i prawo, o ile mi sił starczy, walczyć dla swoich towarzyszy ukrzywdzonych jako mścicieli wyrosły z tlejących popiołów i potarganych więzów ułudy i obłędu, wiekowego obskurantyzmu i kastowej niewoli.

„Z przeświadczeniem największym, że tylko na tej drodze ciernistej zabłyśnie kiedyś dla całej ludzkości zorza, żegnaj te pola puste i tych braci zbłąkanych, na których i wśród których dotąd pracowałem, a witam was, towarzysze w pracy

³¹⁾ List pisany był w r. 1906, a więc Stateczny miał tylko 42 lat życia, a nie 50. To dodawanie sobie wieku powtarza się w okresie „okrutnego rozłamania“.

społecznej, wśród których snuć będę odtąd przedzę życia i łożyć trud i działalność.

Dalej bryło z posad świata,
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśnialej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata!"

Do ogłoszenia listu nie doszło, odradzili mu to przyjaciele, prawdopodobnie owi Wagnerowie, którzy ofiarowali mu mieszkanie w Berlinie, pochwalali jego zamiar przystąpienia do socjalistów, ale rzecz ciekawa, woleli nie wzbogacać tym prozelitą niemieckiej partii, lecz skierować go do polskiej. Na Nowy Rok 1906 r. wyjechał Stateczny w 4 dni po Wagnerach do Berlina, podając dla zatarcia śladów, że się przenosi do innej prowincji zakonnej.

Początek pobytu w Berlinie przedstawiał się Statecznemu idyllicznie, mieszkał u Wagnerów, którzy odnosili się do niego nader życzliwie; rad ze zdobytej swobody, podkochiwał się w Wagnerowej i przygotowywał się do roli, która mu się uśmiechała wśród socjalistów, a mianowicie „głowy socjalizmu polskiego w piśmie i czynie w Prusiech”. Wolność chwilowo przynajmniej dawała mu uspokojenie, a więc pisze artykuły publicystyczne, na razie dla siebie, odkładając ich druk na później, gospodarze prowadzą go na posiedzenia i zebrania socjalistyczne, chodzi także na odczyty w gminie wolnoreligijnej (Freireligiöse Gemeinde), a nawet na posiedzenie Armii Zbawienia gen. Bothy. Wnet wszakże skromny tryb życia Wagnerów (on był cieślą) sprzykrzył się Statecznemu, zamieszkał w hotelu i zaczął uczęszczać do teatrów, muzeów, galerii, na wystawy, odczyty itd., słowem: „Wszystko, co było znakomitego w dziedzinie myśli niespokojnej i rozwoju społecznego, musiało się przesunąć przed moim wzrokiem”. Nadto dniem i nocą wertuje i studiuje literaturę socjalistyczną i zachodzi kilkakrotnie na posiedzenia polskiej partii socjalistycznej, które się odbywały w warsztacie szewskim Józefa Biniszkiewicza przy Altjakobgasse. Atoli już pierwotny zapał i spokój minął, na tych posiedzeniach przesiaduje przeważnie milcząco, przysłuchując się rozprawom i badając szczerłość współuczestników, pozwala się także automatycznie wpisać jako tow. Korczewski w poczet członków partii. Aby zerwać węzły, łączące go dotychczas z Kościołem, ulega silnej wówczas w Berlinie agitacji za wystę-

powaniem gremialnym z kościołów urzędowych, podpisuje jeden z rozrzucanych masami formularzy i posyła do sądu. Na to otrzymał wezwanie, aby stawił się w sądzie za miesiąc dla podpisania urzędowej deklaracji. Ale ten miesiąc wystarczył na zmianę pierwotnych zamiarów i zapalów.

Cóż bowiem działo się z tow. Korczewskim po krótkim wypoczynku w Berlinie? Oto, wrócił znowu do wytężonej pracy umysłowej, a tym samym zburzył równowagę, której spodziewał się po odzyskanej wolności. Zaczyna znowu obserwować stan swego zdrowia i niepokoić się nieprzewidywanymi objawami swobody. Jeżeli w klasztorze w chwilach owego „rozłamania” pożądania erotyczne osiągały bolesnych niemal szczytów, gdy, jak świadczy przytoczony ustęp, odnoszący się do Maria-Radna, czuł się niemal zdolny do wytwarzania w swoim potomstwie nadludzi, — to teraz w Berlinie, gdy miał możność swobodnego obcowania z kobietami, zaczyna ich „nienawidzić, a przynajmniej skwapliwie unikać”. Ten objaw neuropatyczny wydaje mu się sztucznym ostudzeniem go wobec poprzedniego fizycznego podniecania i zażrzwiania, a wytłumaczenie znajduje w chorobliwie utrwalonej myśli, że „rehabilitacja” dosięgnie go wszędzie, a to przez apteki. Przeniósłszy się bowiem do hotelu i jedząc po restauracjach, odczuwał znowu potrzebę zażywania przepisanych przez lekarzy środków, w które nie wierzył, a jednak jakby pozbawiony woli pochłaniał.

Sielanka socjalistyczna kończyła się poczuciem jej zbędności. List otwarty socjalistów nie rozgrzał, odradzili mu jego ogłoszenie; jeżeli Stateczny ich obserwował, to również oni woleli go dokładnie poznać przed powierzeniem mu jakiegokolwiek czynności i trudno się dziwić, jeżeli nie dopatrzyli się w nim potrzebnej dla partii wartości, skoro nie marzył o niczym mniejszym, jak o teoretycznym i praktycznym przewodztwie, a łatwo można było zauważyć neurastenię daleko posuniętą. Obie strony musiały się rozejść z uczuciem maskowanego starannie zawodu i rozczarowania. Nie wiemy, jak ono wyglądało u zwierzchników partyjnych, gospodarz lokalu berlińskiego p. Biniszkievicz pamięta Statecznego jako tow. Korczewskiego, ale wiele sobie o nim poza pisanem artykułów nie przypomina.

Dzięki *Samoobronie* wiemy więcej o tym uczuciu u Statecznego. Objawiło się ono naprzód tym, że do sądu na ów termin podpisania deklaracji nie poszedł, potem w miarę nasilania się

choroby dochodził do przeświadczenia, że ludzi łączy tylko równość w nędzy, występująca na wszystkich stanowiskach i we wszelkich zrzeszeniach. Na tym tle zrodziła się świadomość bezsilności socjalizmu w jego sprawie: „Atoli skoro socjalizm nie mógł mi dać tego, co było dla mnie kwestią życia, tedy szukać musiałem gdzie indziej i będę szukał choćby w puszczach Parany, choćby między szubrawcami, przez zniknięcie z powierzchni społeczności, a w końcu przez dobrowolną śmierć.” (Wynurzenie to pochodzi z r. 1907.) Myśl wraca więc w obłędne koło przypuszczeń o „rehabilitacji”, działającej sztucznymi środkami, których prawdziwej nazwy nikt mu nie chce wyjawić, przez Kościół, rodzinę i społeczeństwo.

Proces ten psychiczny oświetlają dostatecznie następujące urywki z *Samoobrony*: „Mój odjazd do Berlina był straszną omyłką i okrutnym rozczarowaniem. Nie w tym tkwiła pomyłka, że przystałem do socjalistów, bom się tą teorią zawsze bawił, lub że szukałem uwolnienia od tej zmory, ale w tym czaiło się rozczarowanie, że mocno wierzyłem, iż zaledwie przestawszy być księdzem i wystąpiwszy z kościoła, będę uwolniony od drogerii. Pomyłka tkwiła w mojej wierze, że prześladowanie mnie środkami sztucznymi pochodzi wyłącznie od kościoła i ustanie w tej chwili, w której przystanę do partii, tak ceniącej godność osobistą i wolność jak socjalna demokracja.

„Tymczasem rzecz tak się miała, że to już nie stało w mocy socjalnej demokracji ani w ogóle nikogo, gdyż byłem pod sądem złowrogiej opinii publicznej i pod nieugiętą jej kontrolą i dopóki jej zadań nie spełniłem, nie mogłem dojść ani do godności ani nawet do głosu publicznego, będąc pupilem i dzieckiem w najlepszym razie, a w najgorszym razie zbrodniarzem i człowiekiem, wyjętym spod praw...

„Zresztą (i co za tym) ciemność jest za mną i przede mną i przyczyn mego stanu anormalnego wyłuszczyć nie umiem żadną miarą.

„A ja? Czyż ostatecznie nie ja zawiniłem? Nie, ja nie zawiniłem. Chyba moja naiwność zawiniła. Jeżeli za te uczynki moje musiała mnie spotkać nieświadomego i jęczącego pod środkami lekarskimi taka kara, tedy biada mi! zawołałem z Jobem: Obym się nie był rodził!

„To przeświadczenie bezużyteczności mego kroku co do Berlina rosnę dopiero z biegiem czasu, gdyż z początku istotnie

sądziłem, że mój czyn zakończył wszystko... Po trzech miesiącach wyczerpany postanowiłem wrócić do klasztoru, aby przynajmniej prędzej i spokojniej zamarzeć. Był to cios dla moich gospodarzy, ale musieli się zgodzić, bo sami pomóc nie mogli.

„Tam na cmentarzu poległych za wolność w r. 1848 wśród uroczystego obchodu socjalistycznego i udręczenia niewymownego ze strony całego proletariatu i policji postanowiłem wrócić, skoro na próżno szukałem w tym mieście nienawistnym i nieużytym swobody i wolności. O ohydo walki o byt!..

„Niechaj czytelnik nie sądzi, że moje przystąpienie do socjalizmu było podstępem, by tym łatwiej dojść do swobody, a potem go opuścić. Nie. Zasady socjalistyczne podzielałem zawsze jako człowiek rozumny i za postępem i wolnością wzdychający... Jak dalece na serio brałem zasady socjalistyczne, świadczy fakt, że przystąpiłem w Berlinie do P. P. S. i odtąd poczytuję sobie za honor, że w ich spisie członków i towarzyszy i moje nazwisko figuruje...

„Chociaż tylko trzy razy byłem na zgromadzeniu P. P. S. w Berlinie na ulicy Jakuba Starego, to przecież pamiętne one będą dla mnie na całe życie. Zdawało mi się, że jestem na agapach pierwotnych chrześcijan w rzymskich katakumbach. Tam się wykłůwała nowa myśl dla świata i tu kielkuje nowy prąd życia etycznego i społecznego. Ta trzeźwość, to posępne a jednak uważne i namaszczone milczenie, to czytanie surowe zasad socjalistycznych jak ongi listów Pawła z Tarsu, te dyskusje pełne rozumu i wyrozumiałości, ta solidarność i niczym niezachwiana pewność, całe otoczenie pracowitych w życiu codziennym mężów osiwiiałych i młodzieńców bujnych — to wszystko sprawiało na mnie podniosłe wrażenie i ni mniej ni więcej, powtarzam, wywoływało we mnie obraz agapów pierwotnych chrześcijan.”

Czymże jest ostatni ustęp, utkany z wyszarzałych myśli i zużytych frazesów, czy pokłonem literata w stronę partii, czy wyznaniem szczerym, przekreślającym drukowane przed 4 laty w „Górnoślązaku”, a przed 3 w *Obrazkach z Śląska polskiego* inne przekonanie, wypowiedziane ustami naczelnej postaci „Sporu”, Skowronka: „A nawet ta wychwalana wolność i równość, czy ona na zasadach socjalizmu przyjdzie do skutku? Nigdy... Niech nas Bóg zachowa od wolności i równości socja-

listów. Oni przynieśliby swawolę i niewolnictwo i grabież, jakich świat nie widział!"

Po trosze rzuca światło na to porównanie zgromadzeń socjalistycznych z agapami sąsiadujący z nim ustęp taki: „Wraciałem o pierwszej po północy do domu w O. z tym przeświadczeniem, że jeżeli polscy socjaliści są także w życiu powszednim takimi, jakich poznałem na posiedzeniu polskiej partii w Berlinie, tedy im się nic nie oprze. Socjalizm podbije świat, jak go w swoim czasie podbił chrystianizm. Jeżeli jednak są innymi od nich, tedy nauka socjaldemokratyczna upadnie i zgaśnie jak błędny ogień, jak piękna mydlana bańka, jak tyle innych wspaniałych teorii dla rozkoszy ducha ludzkiego wytworzonych.

„Wyznać muszę, że nigdzie nie znalazłem tyle pomocy i tyle wskazówek co do mojej rehabilitacji, ile właśnie u ubogich socjalistów. Ubóstwo dzieli się nie tylko ostatnim kawałkiem chleba, ale i ostatnim strzępem serca. Wszystko jednak było na nic, gdyż od mojego niepraktycznego umysłu wszystko się odbijało jak od świeżego bębna młotek drewniany. Czasami wprost nie chciałem wyzdrowieć. Niekiedy, prawie zawsze nie wiedziałem ani joty, czego ode mnie ludzie chcą. Mniemam jednak, że choćbym wszystko na papierze miał jasno wypisane, co dla rehabilitacji w danym czasie i wypadku mam robić, jeszcze bym sto razy pobłądził; albowiem umysł mój zgola nie przylega do rzeczy poziomych. Jest oderwany i błądząc po obłokach, musi brodzić po błocie.

„Często nawiedzała mnie myśl, że się otoczenie ze mną tylko bawi, bo jakżeby ludzie rozumni mogli się na serio takimi zadaniami, jak w liście wypisałem i o jakich jeszcze niżej pisać będę, zajmować. A jednak tak było, że się w ten sposób trudnili. A tu w tej grze ich okrutnej, kociej z myszą szło o moją skórę, o zdrowie, o sławę moją, moje szczęście, życie!"

Brnie więc dalej w tych obłądnych rozumowaniach, winiąc przyjaciół, gdy nie dzielili jego domysłów, gdy bezradnie zacierali ręce przy nich, że dają mu do poznania, iż jak Piłat nie chcą się mieszać do jego sprawy, a wreszcie wymyślając taką symbolikę: „Cały system w ogóle, jeżeli pochodził w przenośni od mężczyzny czyli od państwa, polegał na przeciwnościach; czyn sprzeciwiał się słowu, *contraria contrariis curantur*. Nazywano to *allopatią*. Podczas gdy sposób pochodzący symbolicznie od kobiety czyli kościoła polegał na tożsamości: *similia*

similibus curantur, jak chce homeopatia Hannemanna. Dla nich farsa, dla mnie śmierć."

Prawdopodobnie znał Stateczny Baudelaire'owskie „Fleurs du mal” i w tej samej atmosferze wylęgły jego wynurzenia, co Baudelaire'owskie:

„Głupota, grzechy, błędy, lubieżność i chciwość
 Duch i ciało nam gryzą, niby ząb zatruty,
 A my karmim te nasze rozkoszne wyrzuty,
 Tak, jak żebracy karmią swych szat robaczywość.
 Upór jest w naszych grzechach, strach jest w naszych żalach,
 Za skrucę i pokutę płacim sobie drogo
 I wesoło znów kroczym naszą błotną drogą,
 Wierząc, że zmyjem winy — w łez mizernych falach...
 Niby rój glist, co mrowiem gęstym się przewala
 W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem,
 A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
 Spływa z głuchymi skargi, jak podziemna fala."

(przekł. A. Langeo.)

Na tej jednak „kanwie naszych przeznaczeń banalnej, nie-miłej” jako dominujące, najstraszniejsze uczucie dla Francuza, wystąpiła nuda, dla Polaka niepokój i podejrzliwość, obu zaś wspólny jest „brak odwagi, niestety”, u Statecznego wytłumaczalnym chorobliwym stanem.

To też cofnął się przed ostatecznym krokiem zerwania z przeszłością i przejścia w szeregi socjalistów; woli wrócić do znanej, choć tak boleśnie odczuwanej monotonii dotychczasowego życia aż do nowego wybuchu buntu. Pewne mi się wydaje mimo dyplomatycznych omówień Statecznego, że owej wolności w socjalizmie nie znalazł, że jeżeli szło o niego osobiście, dostrzegł, iż byłaby to tylko zmiana systemu, w którym znowu przyszyłoby mu stosować się do woli innych. Wraca więc do systemu, w którym wyrósł, odnosił niegdyś tryumfy, a teraz wbrew własnym chęciom i przewidywaniom przeżywał gorętkę klęski. Wraca „po trzech miesiącach przebytych w niemałym trudzie wśród socjalistów... postanowiwszy tym razem stanowczo i prędko umrzeć w klasztorze. Tak się skończył mój debiut socjalistyczny."

Powrót do Zakonu wymagał pewnych formalności. Aby się z nimi prędzej załatwić, pojechał Stateczny za pożyczone od rodziców pieniądze do Maria-Radna, licząc na poparcie tamtejszego przełożonego. Rzeczywiście, sprawa poszła bardzo szybko, gdyż po tygodniu nadeszła z Rzymu pomyślna odpo-

wieść. Nowy generał Zakonu o. Dionizy Schuler nie był zasadniczo surowszy od o. Fleminga, lecz nie znając osobiście Statecznego, nie dodał żadnych cieplejszych słów, które by choremu na urojoną „rehabilitację” pozwoliły pozbyć się wmówionego w siebie niepokoju. Stąd też już w Maria-Radna po przyjęciu z powrotem do Zakonu zaczyna się na nowo walka z mniemaną kontrolą, zakończona utratą nadziei w zwycięstwo. Przebył tam miesiąc, którego pierwsze dziesięć dni nic nie jadł i oczywiście pogorszył stan zdrowia. Wracając stamtąd do Osieczny, zatrzymał się w Stubnya-fürdő, gdyż wysypka skórna pojawiała się obficie. Leczeniu przeszkadzała faza nowa niepokoju i zdernerwowania, w którym zamyślał uciec w góry i tam się ukryć, lecz pierwsza zaraz próba skończyła się fiaskiem, gdyż w lesie przeraził się psa. I tu charakterystyczne wynurzenie, oświetlające nam przyczyny całego stanu chorobliwego: „Nie wiem, czy pies; chyba ten, o którym Rocho w »Chłopach« opowiada. Nie las, w który Reymont każe wiatrom i śnieżycy prac, ale raczej las mię przstraszył Kasprowicza: »Wieczności wielki głęboki nieobjęty sen«. Tuszyłem, że trop mój odszukany, zamiar udaremiony.”

Po pięciu dniach porzuca kąpiele w Stubnya pod wrażeniem ogólnego prześladowania, w którym tylko żydzi mieli z nim szlachetnie postępować („W ogóle wyznać mogę, że u nich wiele pomocy obok socjalistów w mojej chorobie doznał”), i przez Cieszyn dojechał w okropnym stanie do domu rodzicielskiego w Witosławicach. Całą drogę drżał przed objawami walki przeciw niemu całego otoczenia; poczytuje więc i jakiś występ orkiestry wojskowej w Cieszynie za kocią muzykę przeciw sobie i czynności konduktorów kolejowych za etapy walki. („Jeżeli konduktor tak urządził mechanizm kolejowy, że się mój wagon zaczął trząść, to był to znak, że walka przegrana. Da capo!”)

W domu począł się lepiej odżywiać pod wpływem ojca, który go przekonał, że dni jego są policzone, jeżeli nie będzie jadł. Przed tym argumentem ustąpiły postanowienia oporu, zwłaszcza że chciał jeszcze przedtem zakończyć korespondencję z niedawnym przyjacielem, owym cieślą, socjalistą Niemcem w Berlinie, którego listy obelżywe uważał za podniecie do walki, a ton ich za udany. Po miesiącu pobytu w domu trzeba było wreszcie dobić do Osieczny, gdzie już dawno go oczekiwa-

no; skoro zaś zwlekał, ściągnięto go podobno telegramem o chorobie ciężkiej tamt. dziekana i komisarza zakonnego³²). Pojechał, ale obu zastał już zdrowszymi i pozostał w klasztorze, w którym wracał do zdrowia fizycznego. Gorzej było z duchowym, zwłaszcza że musiał wyjechać do kurii biskupiej do Poznania, gdzie objawy lęku przed ludźmi rozciągnęły się na wszystkich. („Tak różnobarwnych czynników ze mną walczących jeszcze nie widziałem razem obok siebie: żydzi, wojsko, konsystorz, Polacy, Niemcy, hakatyści, socjaliści, zakonnice, diakoniski.”) Prześladuje go więc znowu myśl ucieczki, albo samobójstwa. Nawiązał znowu korespondencję z cieślą-socjalistą w Berlinie, odwiedził go nawet dwukrotnie, gdyż on, bodaj z zazdrości o żonę, obiecywał mu pomoc w ucieczce do Ameryki. Stan swój charakteryzował słowami Słowackiego: „Stoję rozkoszy próżen i dosytu”, zwątpiwszy w możliwość powrotu do dawnego stanu „nawet u socjalistów, nawet w lasach Parany”. Ostatnią tęsknotą w chwilach zwątpienia było: „Chyba zażyć na chwilę przed śmiercią złotej wolności, uchwyciwszy kij i przebiegając wśród matki-natury samotne i nieznane góry i doliny i lasy, a potem legnąć na zawsze na jej piersi i westchnąć po raz ostatni. Koniec.”

Ale te chwilowe rozpacze ustępowały przed chwilowymi dopływami energii, idącej stale w kierunku pisarskim, choć o rozbieżnych dążnościach. Umiejszczyć czasowo da się tylko *Katechizm socjalistyczny*, który pod pseudonimem towarzysza Korczewskiego przesłał „Gazecie Robotniczej” w Katowicach. Ta jednak nie kwapiła się z drukiem i bez trudności wydała go zaniepokojonemu przyjacielowi p. Szymkowiakowi. Chciano Statecznego rozerwać, toteż przyjeżdżali do Osieczny kilkakrotnie i ojciec i p. Szymkowiak, a na wakacje brat najmłodszy, kończący właśnie gimnazjum. Z nim po 2 miesiącach pojechał przez Berlin i Wrocław do Witosławic, gdzie znowu przesiedział sześć tygodni, po czym przejechawszy z końca w koniec przez Kraków i Lwów Małopolskę, pojawia się z powrotem w Osiecznie. Lecz w tym czasie począł szybko tracić włosy i to dało powód do dziwnych dociekań: „Że Bogom coś na włosach

³²) Proboszczem w Osiecznie i dziekanem był ks. Roman Leszczyński, ur. w r. 1831, komisarzem zakonnym o. Anastazy Sprenga (p. uw. 29), obaj ludzie już przeszło siedemdziesięcioletni. Do powrotu do Osieczny w r. 1906 odnosi się data w Eleuchus cleri Archid. (Por. uw. 27.)

ludzkich zależy, chciał dowieść Nero, poświęciwszy im swój rudą zarost, ale żeby ludziom coś na tym zależało, to niesłychane. A jednak największe niedorzeczności popełnia zemsta."

Nie bardzo zgadza się z tym inne wynurzenie o kilkanaście wierszy dalej: „Chciano mię za wszelką cenę uzdrowić. Więc całe duchowieństwo okoliczne wysilało się, aby mi rzecz ułatwić. Niestety, nie liczono się z rzeczywistością i z moją nieodłączną naturą."

Na razie to skutku nie odniosło, gdyż pochłaniała go już chęć wędrówki, jakiś „jaskółczy niepokój". Czuje Stateczny wzmagającą się falę rozstroju, zwłaszcza że i choroba skóry przybierała większe rozmiary i odrażający wygląd, toteż korzystą w 1907 r. z chwil przyływu energii pisarskiej i, zdaje się, na podstawie dorywczych notatek ujmuje swoje przypuszczenia i podejrzenia w całokształt, któremu ostatecznie po dopełnieniu go nadał tytuł *Samoobrony*. Powstało wówczas z niej 10 rozdziałów, czyli niemal 2/3 całości.

Wreszcie, gdy brak pamięci zaczął dawać mu się we znaki („Wisi mgła nad czołem moim"), zrywa się do urzeczywistnienia swych zamiarów. Zdaje się, że czuł wrodzony wielu ludziom wstręt do ukazywania swej słabości i chciał instynktownie ukryć się na czas takiego osłabienia przed okiem zwykłego otoczenia. Z wiosną 1907 r. przyjechał do domu rodzicielskiego, skąd pod pozorem leczenia się u wód siarczanych w Łądku śląskim udał się tam, aby z banku ludowego w Osiecznie ściągnąć nieco pieniędzy. Gdy je otrzymał, puścił się do Berlina, gdzie u przyjaciół przebrał się i wyjechał „w daleki świat, aby zatrzeć wszelkie po sobie ślady i zniknąć raz na zawsze z widowni społeczeństwa".

Ale to zamknięcie rachunków życiowych było przedwczesne. Celem podróży była Parana, lecz przedtem, według własnego określenia, jeździł po Europie jak wariat, tracąc czas i pieniądze. Wielkanoc spędził w szpitalu w Steglitz pod Berlinem, lecząc się na wyrzuty skórne i neurastenię, lecz po 10 dniach uciekł stamtąd skutkiem zapachu eteru. Pewien czas kręci się po Niemczech, przebiega Magdeburg, Frankfurt nad Menem, Mannheim, Heidelberg, Stuttgart i Strassburg.

Rozstrój wewnętrzny potęgował się, zdawało się Statecznemu, że wszyscy wszędzie interesują się jego stanem i robią do niego aluzje. W Mannheim jest na przedstawieniu ope-

retki: „Słodka dziewczyna” i oto, przekonywa się, „jak dalece teatr potrafi dla reklamy estetycznej wyzyskać moją tragedię”.

Ze Strassburga wyjeżdża do Szwajcarii, do Bazylei i Genewy, podziwia przyrodę alpejską, lecz niepokój gna go do Lugdunu, skąd każe mu wysyłać po kilka kart dziennie do brata, a potem do wszystkich znajomych. Przez Awinion, Marsylię, Montpellier i Tuluzę zdąża do Lourdes. W Tuluzie znowu w teatrze przywidzenie akcji prześladowczej („wygwizdano mnie sous adresse des femmes”).

Lourdes nie przyniosło mu ulgi mimo dłuższego pobytu, sam przyznaje, że w cud nie wierzył, lecz mimo to jakby odruchowo wysyłał stamtąd obrazki i wodę, gdzie tylko miał znajomych. Wreszcie pewnego wieczora postanowił przejść pieszo przez Pireneje na stronę hiszpańską. Szedł niezmordowanie przez całą noc zawrotnymi, wąskimi, a nieznanymi sobie drogami 60 km, mając jako punkt orientacyjny krzyż elektryczny na Pic de Ger (pisze Pic de Jer), nie czując zwykłego sobie strachu i trwogi, choć dawniej bał się przebywać sam w ciemnym pokoju. Wreszcie wstrzymał go w drodze głęboki śnieg, w którym zapadał po pas i nagle poczuł „niewysłowiony, elementarny strach”. Zawrócił więc do Lourdes, skąd po kilku dniach pojechał koleją do Bayonne i Biarritz, a stamtąd do Hiszpanii, zatrzymując się po drodze w Burgos dla obejrzenia katedry, dłużej zaś w Madrycie, zwiedzając muzea i zabytki. Pod wpływem lektury „Popiołów” Żeromskiego zapragnął zwiedzić Saragossę, w której przewodnikiem jest mu powieść. Lecz rozstrój znowu się wzmacnia, coś ciągnie go z powrotem ku Pireneom, jedzie więc do Huesca, z której wyrusza do Can Franco, aby stamtąd po 3-dniowej podróży dotrzeć przez Pic d'Aspé (pisze Pic d'Aspect) do Oloron (u niego Olleron). Jeden marsz przez szczyt po topniejących śniegach trwał 12 godzin. Z Oloron znowu obłędna tułaczka po miastach Francji: Bordeaux, Tours, Orléan, Paryż wraz z Wersalem i znów po Belgii i Holandii (Bruksela, Antwerpia, Rotterdam, Haga, Lejda, Harlem, Amsterdam). Wszędzie upajał się błędzeniem po ulicach wielkich miast, przyglądaniem się ludziom i zabytkom: „Boć to piękna rzecz usiąść pod chórem w katedrach niderlandzkich, a patrząc w precudne okna i słuchając smętnej muzyki, albo wodząc okiem mistycznym po złotych główkach Brabantek i Frigijek

(zapewne Fryzyjek), snuć przędzę myśli: w katedrach mrocznych, niebotycznych, wspaniałych."

Z Amsterdamu wraca znów do Berlina i stamtąd dopiero po kilkodniowym odpoczynku, ściągawszy nowy zasób pieniędzy, puszcza się do Havre'u, aby z niego wyjechać okrętem do Brazylii. Tam włóczęga, podobno trzymiesięczna, oswajać go miała ze śmiercią, gdyż „proch śmierci jest dla człowieka nowożytnego przedmiotem ciekawości zamiast czci albo przynajmniej zapomnienia! Synowie i cienie Śmierci."

Płynie okrętem „Canarias" tow. Chargeurs réunis, statkiem przeznaczonym dla najuboższych emigrantów, których razem z nim wypływa z Havre'u 4, w drodze po Lizbonę przybywa 20. W Lizbonie statek zatrzymał się kilkadziesiąt godzin, z czego Stateczny skorzystał, aby zwiedzić miasto. Był w teatrze, a potem zaczął z rozpacz i niepokoju pić w winiarniach aż do nieprzytomności. Obudził się bez pieniędzy w przytułku na policji, skradziono mu 120 mk. Odwieziono go na „Canarias" i znowu zdaje mu się, że dla zadośćuczynienia za to „w porcie przesunął się w kalejdoskopie sam brat królewski, a później nawet król incognito w barakach".

Podróż trwała miesiąc wśród „oszołomienia, nadzwyczajności i zachwytu" Statecznego, który to całymi godzinami dumiał, przesiadując na zwojach lin okrętowych, to pieścił dwa młode konie, wiezione do Santos, które zdawały się z zadowoleniem przyjmować te pieszczoty, to z obrzydzeniem zasiadał do pożywienia okrętowego. Nad czym dumiał w czasie podróży? Nad czczością kwestii filozoficznej, na czym polega indywidualizacja. Dochodzi do przekonania, że nie ma indywidualności absolutnej. Reminiscencje z Reclusa i Platona (Tim. 30 b) nasuwają mu jako najczystszą prawdę pomysł, że „świat jest zwierzęciem ogromnym... co więcej, cały wszechświat ze wszystkimi systemami planetarnymi jest zwierzęciem nieskończonym, którego członki są i robią wszędzie i wszystko. To zwierzę właściwie nazwać wolno Bogiem. Ekstaza widzeń i rozwiewność. Ale człowiek tego Boga całkowicie nie pojmie, jak palce człowieka siebie czują, człowieka całego czuć i rozumieć nie zdołają... A przyjdzie inny większy od Réclusa geniusz i odkryje i duszę jej (ziemi) i inne czynniki. A przyjdzie jeszcze większy i odkryje to zwierzę przeogromne: wszechświat z płucami, sercem, mózgiem. Zwłaszcza gdy ustanowiony będzie środek

komunikacyjny pomiędzy zwojami mózgowymi planet: ludźmi wszystkich gwiazd, którzy mi się z tamtych jasnych plam z nieba uśmiechają: mnie wpatrzonemu w przepastną otchłań nieba."

To znowu rozmyśla nad tajemikami głębin morskich i znów dochodzi do wniosku: „Życie to wszystko i życiem jest wszystko: Nic — życia nie ma!"

Od tych zadumań odrywały go pod wieczór opowiadania emigrantów portugalskich, przeróżne bajki i historyjki, którym to przysłuchiwał się z zaciekawieniem, to czuł się nieskończenie od nich wyższym: „Potrafię przebić okiem oponę chmur i widzieć harmonię wszechświata. Potrafię zaludnić gwiazdy i stworzyć Boga. Potrafię przejrzeć atom wody i drobinę pyłku. Potrafię znowu to wszystko zniszczyć i powiedzieć: Nic nie ma, tylko ja jestem! Owszem, ani mnie nie ma, bo wszystko jest marą i snem."

Towarzysze podróży na ogół lubili zadumanego podróżnika, najmłodsza Hiszpanka nazwała go: Calderonem de la Barca, który wyjeżdża na zdobycie Ameryki. Jeden tylko Hiszpan, młody matador, obraził go pewnego razu, na co Portugalczycy oburzeni, gdy go Stateczny w zamian poczęstował jak innych tytoniem, szeptali podobno: *È um homen santo, a quem ahi! faz male, faz peccato!* (To człowiek święty, któremu wyrządzić krzywdę, to, ach, popełnić grzech!)

Wreszcie 16 czerwca 1907 r. wieczorem przyплыли do Rio de Janeiro, lecz Stateczny wołał przez tydzień pobytu w porcie mieszkać na okręcie i tylko kilka razy wyjeżdżał do miasta. Stąd popłynął do Santos, a wreszcie statkiem brazylijskim do Paranagua i koleją do Kurytyby. Za nim w tropy szła obłądna myśl o „rehabilitacji", której mimo życzliwości otoczenia nie zdoła osiągnąć i ona to przerażonemu narzuciła w Paranie „konieczność powrotu". „Wszelka moja nadzieja przemieniła się w proch. Owo monstrum rehabilitacji przepłynęło ze mną morze. To widmo stanęło na wybrzeżu Ameryki przed moim struchlałym wzrokiem groźniejsze niż kiedykolwiek." Nie wspomina tu Stateczny Horacego, zresztą cytowanego gdzie indziej innymi wyjątkami. Zdaje mi się wszakże, że stan jego najlepiej malują te Horacego najprostsze i najwyrazistsze określenia:

„Quid brevi fortes iaculamur aevo
multa? quid terras alio calentis
sole mutamus? patriae quis exsul
se quoque fugit?
scandit aerata vitiosa navis
Cura, nec turmas equitum relinquit...”

Ale o powrocie na razie myśleć nie mógł, gdyż zabrakło mu pieniędzy. Zdobywa jak może utrzymanie, to jako rębacz drzewa, to jako obrażnik, sprzedając książki i obrazki po polskich przedmiejskich koloniach w okolicach Kurytyby, to wreszcie jako nauczyciel ludowy w Rio Verde (Lagoa Suja) pod Campo Largo, dokąd go skierowali konsul Okęcki, redaktor Bielecki i ks. Janusz z Araukarii. Jak długo się nauczycielstwem bawił, nie określa bliżej; cały swój pierwszy pobyt w Paranie oznacza jako 3—5-miesięczny, zależnie prawdopodobnie od doliczenia czasu podróży morskiej w obie strony. W poszukiwaniu widoków przyrody i „miejsca na smutek łaskawszego” dotarł nad wodospady Iguassu i w głąb lasów dziewiczych, lecz wszędzie szła za nim urojona „rehabilitacja”. Wyniósł wszakże z Brazylii nieco spokoju, zobaczył działalność polskiego duchowieństwa wśród polskiego ludu i uznał jego znaczenie dla kultury i utrzymania narodowości. Wyjeżdżając do Parany, przypuszczał, że emigranci polscy wynarodowią się najdalej w trzecim pokoleniu, na miejscu nabrał przekonania, że trzymając się gromadnie, wytrwają w polskości najmniej półtora wieku. „Grzeszą raczej szowinizmem narodowym, aniżeli oziębłością. Ten nieszczęsny biały orzełek czyni ich ślepyimi na wszystko co trzeźwe.” Od tego sceptycyzmu, szczątkowego objawu rozstroju neurastenicznego, przechodzi łatwo do snucia planów organizacji Polonii brazylijskiej, tworzenia towarzystw przewozowych i handlowych, szerzenia oświaty i, o dziwo, za najlepsze wyjście w *Samoobronie* uznaje zakładanie szkół i zajmowanie się nauczycielstwem przez S. S. Misjonarki z Krakowa. Ponieważ te ustępy *Samoobrony* wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przejęte są ze współczesnego pobytowi w Paranie notatnika, wskazują na występujące coraz częściej pod wpływem otoczenia i pracy fizycznej objawy wyzdrowienia. Poznał także u starszych, a zwłaszcza Ślązaków, tęsknotę za krajem ojczystym, której bezwiednie sam ulegał, lecz chcąc także zadośćuczynić swej chorobie, wmawia sobie, że trzeba poznać odludniejsze okolice i albo sprowadziwszy braci i innych ludzi założyć ko-

lonię nad Iguassù, albo po powrocie zagrzebać się w klasztorze w Osiecznie.

Pewien wpływ wyrzecz musiało lepsze odżywianie się i życzliwość rodaków, którzy może nie wiedzieli, kim jest ten dziwny człowiek, tak niespokojnie przejeżdżający lub przechodzący z miejsca na miejsce. Ściąga więc z Berlina pieniądze na powrotną drogę i ohydny statkiem brazylijskim „Aimorè” wyrusza z Paranaguy do Santos. Na statku było kilku Murzynów i Murzynek. Stateczny lubił tę rasę dla jej dziecinnego usposobienia, ale tylko jeśli nie byli cywilizowani. Nawroty jednakże manii odżywają w czasie tygodniowej jazdy „Aimorè'a”; wyobraża sobie więc, że Murzynki, współtowarzyszki podróży, są przeznaczone przez policję jako jego *dames de compagnie*.

W Santos udał się do konsulatu niemieckiego pod protekcję konsula i tak czując się względnie zabezpieczony, wyrusza do Europy statkiem towarzystwa hamburskiego H. S. A. P. G. „Assuncion”. Okręt był duży i dobrze urządzony, ale widmo „rehabilitacji” prześladowało nadal przez cały miesiąc jazdy niespokojnego podróżnika. Jeżeli już przy nazwaniu go przez Hiszpankę Calderonem de la Barca reagował, uważając się raczej za Don Kichota, to teraz to podobieństwo występuje w jego przywidzeniach silniej. Nawiedzają go wizje wspaniałości robionych dla niego umyślnie, jakby od najmniejszego jego ruchu wszystko zależało: „Zaprawdę, mogłem w pysze chodzić jak w słońcu, gdybym nie był skruszony aż na proch, gdybym nie był tym wszystkim do śmierci zniechęcony. Nienawidziłem demonstracji, bo a priori przeczuwałem i wiedziałem, że im wspanialej się do boju ruszało, tym sromotniej pobity wracało się z bitwy. Czasami chciało się, by ten okręt tak płynął przez całą wieczność. Czasem pragnąłem, aby zniknął w nurtach wód tak, jak ten ołów, który dla mierzenia chyżości i głębokości wyrzucano w morze.”

Pewnej ulgi doznał dopiero w Rotterdamie, gdzie wysiadł na dwa dni i przeczytał encyklikę o modernizmie. Wydało mu się, że ducha jego mogą jeszcze zająć problemy filozoficzne na temat: być albo nie być, jako najwyższe zadowolenie estetyczne i zaspokojenie „przyrodzonej, przenamiętnej ciekawości, czym jest byt i jakie jego rozwiązanie”. Nie było to wszakże stanowczym uzdrowieniem; zdawało się Statecznemu, że gdyby podróż trwała jeszcze miesiąc w tych samych warunkach, to by

się wyleczył, „zatriumfował”, a jednak „z ulgą, że się skończyła podróż morska, ze drżeniem, że się znowu wstąpiło na tę niewdzięczną, zgrzybiałą z chciwości i rozpusty ziemię europejską”, wysiadał w Hamburgu, skąd koleją pojechał do Osieczny, a potem przez Vossowską do domu rodzicielskiego i do wuja ks. Kirchniawego, proboszcza w Wielkich Staniszcach.

VI. WALKA Z SZATANEM (1908—1915)

U wuja spotkał się z siostrami ciotecznymi (nazywa je siostrzenicami), młodymi i wesołymi dziewczętami, które umiały go rozerwać swoją beztroską wesołością. Do najstarszej czuł najwięcej zaufania i przywiązania, które wydawało mu się czasem czymś więcej niż miłością rodzinną. Były to wszakże tylko przelotne wrażenia. Rozmawiał z nimi w narzeczu górnośląskim, dzielił ich zabawy i igraszki, one zaś zmuszały go do jedzenia i podtrzymywały w nim lepszy nastrój. Nie obeszło się wszakże w tych stosunkach bez reminiscencji literackich, zwłaszcza z „Bez dogmatu” Sienkiewicza, przy czym sam Stateczny to przybierał ton i sposób myślenia Płoszowskiego, to „najmłodszego z Ariów”, którego wynurzenia o „zgrzybiałej z chciwości i rozpusty Europie” co dopiero przytoczyliśmy.

Lecz i tu przyszło wnet rozczarowanie, owe krewniaczki okazały się z przekonania Niemkami, a chociaż w pewnych chwilach rozstroju Stateczny skłaniał się do idei braterstwa międzynarodowego, uważał za niemoralne „opuścić obyczaje swojskie, dlatego, że inne należą do silniejszego liczebnie narodu”.

Nastąpił powrót do Osieczny i nowa fala niepokoju po okresie równowagi, nowa chęć podróży do Brazylii w r. 1908. Nadmienić wypada, że na podstawie wcześniejszych ustępów *Samoobrony* mimo odmiennej daty w liście autobiograficznym i późniejszego ustępu w *Samoobronie* z r. 1913, ustaliłem pierwszą podróż na rok 1907, a nie na 1906; ta omyłka powtarza się przy opisie początku drugiej podróży, gdzie właściwą datę Stateczny poprawia. Niepokój i chęć ucieczki z Osieczny pojawiają się około Wielkiejnocy r. 1908, udaje się więc do Berlina po świętach, aby przy pomocy tamtejszych przyjaciół wyjechać, lecz tu ogołocono go z pieniędzy na podróż. Dopiero we wrześniu 1908 r. mógł swój plan urzeczywistnić. Robi to jednak

z śmieszną maskaradą, przebierając się, przywdziewając perukę i przyprawioną brodę w lesie pod Johannisbergiem na Śląsku Opawskim. W tym przebraniu nie podróżował chyba dalej jak tylko do brzegu lasu. Tym razem wypłynął z Genui i przez Malagę i Dakar przybył do Santos i Paranaguy. Z tej miejscowości piechotą, sam bez pieniędzy puścił się do miasteczka Guarapuavy nad rzeką Jordao, przebywszy w sześciu tygodniach 1200 km. W Guarapuavie zatrzymał się parę tygodni i dopatrzył się w niej punktu korzystnego dla osadnictwa polskiego, co później głosił w 2 artykułach w „Dzienniku Poznańskim”. Sfatygował się ogromnie w tej podróży, ale zdrowie mu służyło, gdyż wyrzut skórny zniknął, aby ponowić się w Europie. Zażył też dość swobody i samotności wśród imponującej przyrody, według własnego wyrażenia „poznał łuskę ziemską oko w oko”. Na Dunkierkę i Amsterdam wrócił do Osieczny z końcem r. 1908 i tu w różnych nastrojach oddawał się pracy literackiej, już to jako dawny zakonnik, już też jako skłócony z sobą neurastenik. W każdym razie w r. 1909 powstały 4 dalsze rozdziały *Samoobrony*.

Nie wiadomo, czy ogłaszane prace literackie w duchu katolickim, czy widoczne uspokojenie, czy brak duchowieństwa zwróciły na niego uwagę kurii arcybiskupiej w Poznaniu; dość, że od listopada 1909 r. przez cały rok 1910 przebywa jako wikary we Wronkach, pełniąc gorliwie swoje obowiązki duszpasterskie, zyskując miłość ludu, mogąc rozprawiać o kwestiach naukowych i teologicznych. Uczucie i wiara niemal dziecinna przeważa nad rozumowaniem w tym okresie, sam później w przystępie sceptycyzmu określi ówczesny swój stan jako „wiarę serca”. W obcowaniu z ludźmi odzyskuje dawną pewność siebie, staje się ironiczny, gdy go przeciwnicy zaczepiają, ale też w rzadkich chwilach wybucha, gdy powraca stała jego idea o narkotykach. Tak np. pewnego razu wybuchnął przy śniadaniu, na pytanie zaś proboszcza (ks. Czyżaka), czemu się unosi, odrzekł: „Bo mię takie bezprawie oburza”. Na to proboszcz, widocznie nie zdając sobie sprawy, że uraża go w najwrażliwszym miejscu, odparł: „A mnie przede wszystkim bawi”. Przywrócił tym Statecznego do przytomności, ale wrażenie utkwiło w podświadomości jako krzywda, aby po 3 latach wynurzyć się w chwili nowego nawrotu choroby i pisania dodatkowego rozdziału *Samoobrony*. Wtedy także scharakteryzował

ów pobyt we Wronkach, że był tam „jako niewolnik proboszcza i jego pięknej siostry i parafii”.

Inaczej wszakże przedstawia się ten okres we współczesnym liście do rodziców: „N. B. P. J. Chr.! Wronki 26 kwietnia 1910. Najmilsi Rodzice!

„Dawniej częściej pisaliście mi, a teraz nic; nawet na święta nie otrzymałem pisma. To też myślę, że wkrótce coś od Was otrzymam.

„Co do przyjazdu do Was, to teraz żadną miarą nie idzie, ponieważ w tych dniach wyjeżdża Ks. Proboszcz na cały miesiąc do wód, a ja muszę zaopatrzyć parafię. Ale umówiliśmy się tak, że jak tylko wróci, to ja na kilka dni do Witosławic przyjadę. — Tymczasem pozostaję w domu z dwoma siostrami ks. Proboszcza.

„[A możeby się ktoś z Was tu wybrał przez ten czas odwiedzić mię. Nawet Wam napiszę kiedy. Oto teraz w sobotę. Mamulko, pozwólcie tatulkowi, aby tu w sobotę przyjechali. Pierwszym wczas rano; z Wrocławia o jedenastej lub o drugiej. Przywieźcie mi kilka funtów masła od Mariki, Anny i od Was. Także 20 żywotów św. Antoniego i 2 książki modlitewne: Wyborek lub Aniół Stróż.]³³⁾

„To było pisane przed dwoma dniami. Dziś ks. Proboszcz wyjechał i pozostaliśmy sami. Co do Waszego przyjazdu, to trochę nieskorzej. Najprzód mi napiszcie, czy i kiedy Wamby się szykowało; a ja potem wybiorę dzień.

„A jakież tam u Was wrażenie sprawiło, że Walek³⁴⁾ zmienił powołanie? Napiszcie mi, czyście się uradowali czy też zasmutyli. Chciałem tam jechać do konwiktu, ale teraz nie mogę. Byleby tylko dobrym księdzem został. Toby się za cztery lata, jeżeli żyć będziemy, rzeczy dobrze złożyły; bo Wybyście obchodzili złoty jubileusz, ja srebrny, a Walencin³⁴⁾ prymicje. Niech będzie, co Bóg da. — Wasz list otrzymałem wczoraj.

„Pozdrawiam wszystkich na sto razy Wasz wierny syn E. F. Stateczny.” Do listu dopisała się siostra Proboszcza: „Łączę miłe pozdrowienie i wyrazy uszanowania Bronia Czyżak”.

³³⁾ Ustęp, ujęty w klamry, przekreślono w oryginale.

³⁴⁾ Najmłodszy brat.

Ów okres spokoju i wiary był przygotowany nawet w chwilach poprzedniego rozstroju. Myśl bowiem, znużona i znudzona materialistyczną filozofią, szukała wytchnienia: „Na tym tle życia przewijał się nie tylko ból, ale rysowała się także okrasa. Pływała okrasa życia, pochodząca od rozkoszy cielesnej i duchowej. Była rozkosz oka od kobiety, pracy, od krajobrazu, od sztuk pięknych wszystkich trzech przestrzeni w cyrklu, dłucie, pędzu. Odbijała się rozkosz słuchu w muzyce, skóry w dotyku, mózgu w poezji, filozofii, nauce, kontemplacji mistycznej. Od ciała, które jest zmateriałizowanym duchem, aż do ducha, który jest najsztubtelniejszym abstraktem materii — wszystko wchłonałem w skali nieskończonej wrażeń. Nie zaniedbałem żadnej z tych rozkoszy i okras, aby ból życia przynajmniej w części zrównoważyć.

„Och, życie, życie, życie! Głębia bezdena, ciemność nieogarniona. »Wieczności wielki, głęboki, nieobjęty sen!« Tylko symbole mają w tej dziedzinie znaczenie.

„Oto, boski Brahma igrający w świecie jak Jowisz, przebierający w kędziorach ziemi! Oto, Taiki w niebieskim państwie! Ormuzd i Ahriman, anioł i szatan, ogień u Persów! Sfinks! Melitta! Wenera i Apolin! Parnassus! Dwuczelny Janus! Chronos pożerający swe dzieci! Walhalla! Światowid! Prakriti i pramać! Oko w trójkacie i trójkąt w kole! Symbole w katakumbach, w pieczarach Tebaidy, Ellory, Athos! Misteria średniowieczne! Faust, Wiesław Wdały! Symbolizm nowoczesny! Strach Munka, miłość Vigelanda, Błędne koło i Melancholia Malczewskiego Jacka, symfonie Beethovena, Chimera liżrička, Olaf Hamsun, Maeterlinck, Eros i Psyche Żuławskiego! Oto, mądrość całych ludów.”

Ten ustęp, wyrażony językiem modernistycznej literatury, pełny charakterystycznych pomyłek i zestawień, odsłania nam jedno źródło zmiany nastroju, drugie widoczne jest w późniejszym ustępie: „Genialna budowa metafizyczna scholastyków „de ente” jest o tyle prawdziwa, o ile my, wytrąciwszy ją ze sfery metafizycznej, odszukamy ją we wszechświecie i na jej łodydze usystematyzujemy życie w drobiazgach i urzeczywistnimy i pogłębimy. A to umiemy w monizmie progresyjno-ewolucjonistycznym. Dojdziemy nawet do tego, że ze splotów atomów i z promieniowania słońc i elementów nieważkich od glin-kowatych namuleń i kruszcowych krystalizacji wytłumaczymy

całokształt życia aż do pierwszej komórki przez roślinę, zwierzę, człowieka i aż do mowy międzyplanetarnej istot żyjących. Ale primum principium pozostanie ignotum x, dopóki życia — śmierci w jednej i tej samej istocie w tym samym czasie pojąć nie możemy i nie pojmiemy. Wiara objawiona, która to chce odgadnąć, jest złudzeniem. Tylko to, co zmysłami uchwycić i myślą ogarnąć i przetworzyć mogę, mogę wiedzieć i wierzyć. Wszystko inne jest nicością, bo dla mnie nie istnieje. Takie mniej więcej jest moje credo jak każdego dzisiejszego przeciętnego mężczyzny."

A więc wahania, zależne od wpływu lektury, od dnia dzisiejszego, z których chcąc się wyswobodzić, trzeba posłuchać serca: „Corde creditur”.

Dziwną wszakże sprzecznością, zwykłą jednak u Statecznego, w pismach jego z tego okresu przeważa pierwiastek rozumowy; widocznie tylko w chwilach, kiedy „rozłamanie” wracało, szukał objaśnienia swoich czynności w czasie równowagi ducha w wierze serca.

Tymczasem, zapewne, dzięki wujowi, choć o tym Stateczny ma inne przekonanie, zawiął przychylniejszy dla niego powiew i w kurii wrocławskiej, gdyż zapomniano o cenzurze z r. 1902 i gdy trzeba było zastępstwa za posługujących do parlamentu Rzeszy proboszczów, pomyślano i o nim, ściągając go do Kotorza Wielkiego jako zastępcę ks. Teodora Jankowskiego. Według *Samoobrony* spędził na tym stanowisku 6 miesięcy r. 1911, według listu autobiograficznego miał zastępować posłów-proboszczów 2 parafii śląskich, lecz poszukiwania moje, o ile dotyczy to Kielcz, gdzie proboszczem był ks. Wajda, dały rezultat negatywny, gdyż w tej miejscowości duszpasterzował inny franciszkanin, również nie zdołałem dokumentarnie stwierdzić zastępstwa w Kotorzu.

Wracały jednak momenty rozstroju, a jeden z nich zbiegł się z wystąpieniem młodszego brata z teologii. Odżył wtedy dawny plan przeniesienia się do Brazylii i to wraz z bratem i założenia tam osady. Przed wyjazdem dorzuca nowy rozdział do *Samoobrony*.

Z tej podróży zachował się notatnik, pisany niemal dzień za dniem i skutkiem tego dający dokładny obraz stanu psychicznego. Wyjeżdżają jako podróżnicy III klasy dnia 3 sierpnia 1911 r. z Hamburga i zaraz na wstępie morze zaczyna od-

działać: „Morze to przedsięwzięcie do wieczności, a pełność morza-oceanu, to sama wieczność, przyobleczone w możliwie najbliższe kształty. Człowiek się czuje niczym na morzu i utożsamia się z nim, a mimo to czuje pewien lęk. I to jest to przeciwieństwo jednostki i powszechności. 4 VIII o 10 rano przed wjazdem do Kanału urządzają sobie pasażerowie promenadę po pokładzie przy odgłosie muzyki kapeli, a ja śledzę pary snujące się z filozoficznym spokojem, aż psy przewożone wyją z radości nastrojowej.

„Ludzie z natury są dobrzy, a nie dzicy. Dzikość jest kwalifikacją, nabytą tak w stanie natury, jak kultury. Aby się dzikości pozbyć, służy nie ostatecznie podróż morska, albowiem morze jest mistrzem żywiołowym, który człowieka z wielu wad przybranych wyleczyć może.

„Morze jest instrumentem bożym muzycznym, na którym potężną pieśń gra wiatr i światło.

„Morze jest symbolem człowieka szamocącego się ze samym sobą i gniewnego bezsilnie a jednak żywiołowo na siebie samego.”

W podróży towarzyszą mu jednak objawy zwykłe stanowi „rozłamania”, zatarcie się między jawą a snem. Ma więc pewne wrażenia na jawie z zakresu utajonego w podświadomości kompleksu erotycznego. A więc nawiedza go przeczucie, że Leokadia dla niego umarła, lecz ponieważ nie przyszła do niego we śnie, wnioskuje: „Zatem nie umarła, sosenka”, z tą, zapewne, podświadomą reminiscencją zakończenia *Ludzi bezdomnych* Żeromskiego. Ale poruszony kompleks zjawia się snem następnego dnia o 9 rano: „Śniło mi się, że gdzieś obok ciemnej skały spowiadam Leokadię, całą zwodniczości”. Z kolei wynurza się z podświadomości inna z kobiet. Gdy muzyka zagrała, posłyszał arię: *Still ruht der See* — i przypomniawszy mu się „Otylia tak żywo, że usiadła przy nim i rozmawiali”. Po chwili dopiero zreflektował się, że to niemożliwość, bo ona jest w klasztorze zakonnicy.

I znowu myśl, nawykła do rozwiązywania zagadnień naukowych, zatrudnia się dociekaniami błahych chociażby zagadek: „Widnokrąg na morzu jest podwójny: rzeczywisty jako skutek kulistości ziemi i optyczny jako złudzenie oka. Stąd optyczny pokrywa się z rzeczywistym en face, z boku i z tyłu zwięża się jako wymagalność kształtu oka.”

Czasem rozprawia ze współpasażerami bardzo uczenie, kończąc rozmowę opowiadaniem bajek, albo szuka zapomnienia w trunku. Morze wywiera jednak wpływ na myśli, bo 12 sierpnia zapisuje: „Jesteśmy na pełnym morzu. Stosunki ludzkie i sam człowiek są tak nikłe, czcze i prawie głupie wobec bezgraniczności, bez miłosierdzia złości i potężnego, majestatycznego bezwładu oceanu, że szkoda najmniejszego ruchu, gdyby nie istniała iskra życia samozachowawcza, która nawet tego potwora, morze samo, ujarzmiła i do służby ludzkiej zmusiła. Człowiek jest potworny w swej sile i geniuszu.

„Jest jednak różnica siły i geniuszu w różnych jednostkach. I tak niejeden nic nie wyczyta w tej księdze, jakim jest ocean; widzi tylko bałwany i słyszy ryk. Trzeba ująć nutę basową: żywioł wody, wieczność, na nim dopiero światło — cień kreśli litery, a wiatr czyta głosem olbrzymów stu w skali urozmaitości. Istnieją uszy i oczy, które czytać nauczą się wnet, a dusze i wkrótce wydobędą nowe pieśni. Bo to nie morze czyta i śpiewa, lecz człowiek-geniusz.”

Ale gdzieś w duszy tai się wyrzut sumienia, przemawiający we śnie. Bo oto śni mu się nader wyraźnie, że matka jego umarła, że na wieść o tym przyjechał po trzech dniach do domu i poszedł na świeży grób, a uklękawszy, pytał się, czy jego wyjazd był powodem śmierci. Sumienie w odpowiedzi zaprzeczyło. Cała parafia grzędzińska otaczała go i pocieszała, gdy się wtem obudził. Dodać trzeba, że matka o. Statecznego umarła dopiero z początkiem r. 1937.

Dłuższa jednak podróż poczyną nużyć i nudzić, bo oto 16 sierpnia pisze taką refleksję: „Ludzie dorośli, gdy się nudzą, są jak dzieci. Patrząc na okręt wiozący nas, powiedzieć można, że to po morzu jedzie klatka z wariatami nieszkodliwymi lub szkółka dzieci rozpętanych, zdziecinniałych — nie wiadomo skąd, dokąd, po co, jak? A jednak wszystko ma swój cel. Tak iskry rozprysnięte celów umiał złączyć w pozorną dysharmonię geniusz ludzki, który wynalazł pierwszą łódkę i na niej śmiał się puścić na ocean.” Ta refleksja kończy się nieświadomą, może, reminiscencją znanych słów Horacego: *fragilem truci commisit pelago ratem primus etc.*

Gdy 18 sierpnia przejeżdżali równik, pasażerowie urządzili uroczystość chrztu równikowego. Obaj Stateczni brali udział w zabawie III klasy, przy czym o. Euzebiusz był przebra-

ny za Neptuna z trójzębem, sporządzonym z parasola i wygłosił 15-minutową mowę o znaczeniu i historii tego ceremoniału. Wyrażono mu za nią uznanie i pito jego zdrowie.

Dnia 20 sierpnia zapiska: „Dziś niedziela. To już trzecia na morzu. Wszystko spokojnie. Polacy śpiewają godzinki i różaniec.”

Następnego dnia ukazał się łódź amerykański, a wschód słońca dał pobudkę Statecznemu do wrażenia, że „życie wschodzi. Istotnie — światło jest istotą życia. Kto grę i potęgę kolorów światła przy wschodzie i zachodzie słońca podziwiał, ten musiał przyjść do wniosku, że światło wywołało życie z materii, a materia jest zanikiem światła — życia = Tchnienie i ożywienie = palingeneza — zmartwychwstanie”.

Pod koniec podróży robi spostrzeżenia, jak np. że na morzu nikt się nie modli oprócz Polaków i że przysłowie niemieckie, odnoszące się do tej sprawy, jest błędne, lub znów: „Przed Bahia 2—3 godziny uderza morze o brzeg tak mocno, że piana pokrywa brzeg górski, iż na 10 metrów wysoko zdaje się śnieg leżeć. Złudzenie, złudzenie! To ni śnieg ni piana, to piaski.”

Zachwyty nad pięknością Rio de Janeiro dość pobieżnie pomijam, bawił tam tylko jeden dzień, gdyż już 26 sierpnia popłynęli do Santos, a 29 t. m. kolejną pojechali do wielkiego wodospadu Paranapanemy, Salto grande. Wnet jednak na ziemi parańskiej przyszło rozczarowanie i zaniechanie tajemnie wymarzonego planu. Brat nie miał najmniejszej ochoty zostać osadnikiem na drugiej półkuli i chciał powracać. Sam nie czuł się na siłach pozostać, nie miało to zresztą żadnego celu, toteż 4 września znaleźli się na pokładzie „Amiral Duperré”, należącego do Chargeurs réunis, a płynącego do Hawru. Na powrót pożyczili pieniędzy u benedyktynów w S. Paulo. Na okręcie było tylko 3 pasażerów, lecz samotność nie przerażała, jak widzieliśmy, Statecznego, zwłaszcza że znowu widział morze, do którego po dłuższym niewidzeniu tęsknił. Zapisze więc dnia 10 września: „Jednostajność morza, będąca po raz pierwszy przeraźliwą, znika. Pozostaje poczucie potrzeby takiego elementu jak ziemi, powietrza itd. Równocześnie się czuje, że gdy go zabraknie, to go istotnie zabraknie. Morze nie tylko podziwiać można, ale i lubić. Nie dziw. Wprzód ono było, potem glina; zatem człowieka matką jest glina, ojcem morze”, a kilkanaście wierszy dalej: „Okręt zdaje się pusty; tylko siła jakaś niewi-

dzialna porusza kolosem à la Allan Poë. Mam takie wrażenie, jakoby podróż morska, a zatem morze w swojej potędze i gwałtowności pochłaniało całkiem ruchy fizyczne i wegetatywne człowieka: człowiek zewnętrzny zamarł, ale za to człowiek wewnętrzny żyje podwójnie, a dusza tworzy nowe światy. — Przyjechawszy do ojczyzny, mam zamiar ułożyć książeczkę filozoficzną à la imitatio Jesu Christi Tomasza a Kempis, ale w duchu modernistycznym".

Podróż upływa monotennie i wygodnie, mają z sobą kilka książek polskich, z których wspomina „Kamień filozoficzny” Lemańskiego, czasem myślą o tym, co teraz porabia rodzina w domu, to znowu unosi się nad dobrocią niezepsutego przez Europejczyków Murzyna, który z nimi jechał, lub robi porównania charakterów polskiego, francuskiego, japońskiego i murzyńskiego. Japończyka charakteryzuje w ten sposób: „Japończyk praktyczny, zgrabny, delikatny, słowny, odważny i wytrzymały i pracowity, w zmyślności przewyższa wszystkich, ale obrany z idealizmu polskiego całkiem”.

Inna notatka, zdaje się, zaczerpnięta została z reminiscencji lektury: „Podobno Murzynki więcej się brzydzą białymi aniżeli biali Murzynkami. Pewnym zaś jest, że białe zwłaszcza Słowianki przepadają za Murzynami.”

Niepokój „rozłamania” wracał niekiedy, np. 17 września powstaje taki zapis: „Zapratywanie na faktor rel. zmieniam o tyle, że sądzę, iż on jednak może być bardzo bogaty w skutki. W S. Bento czułem, że ja i wierni czują się wolni od brudu ziemi na ciele i duszy. Nb. Bóg — to esse absolutum vivum pojęte w jedno życie rozprysknie w wszechświecie: twór człowieka. Bóg, rel., prawo, życie, byt etc. są własnością i twórczością człowieka — enigmy — ego”. Następnego już dnia zdaje sobie sprawę ze swego stanu, gdyż w najgorszym humorze „po raz pierwszy w życiu siebie samego przeklął”, a jako lekarstwo zastosował następnego wieczora upicie się, po czym rano kwaśny humor, wyrażający się trywialnym, wyjątkowym opisem.

Wnet „podróż zaczyna się przykrzyć, jakkolwiek morze jest interesujące. Bawię się stawianiem horoskopów.” Miare nudzenia daje notatka: „Przestawanie z ludźmi jest o tyle możliwe, o ile nas interesa materialne lub umysłowe z nimi łączą; jeżeli tego nie ma, to się towarzystwo nawet z krewnymi wnet wyczerpie. Erotyzm też.” Z nudów schodzi na dno okrę-

tu lub rozkoszuje się przewalaniem okrętu po falach, to znowu odczuwa wyrzuty sumienia, że wyjechali mimo zakazu rodziców, a zwłaszcza matki, to żałuje, że zapomina snów „charakterystycznych i tak drobiazgowo dokładnych i kolorowych, jak żadna rzeczywistość.”

Gdy pod koniec podróży powstała burza, myśli zwracają się w inną stronę: „Myśl ludzka przechodzi niepojęte tragedie i przeistoczenia na kanwie poczuć i wiązań logicznych. Wszelkie światopoglądy służą tylko na to, aby człowiekowi ulgę sprawić. I kto wie, czy to boskie *ego* wszędoobecne i zawsze obecne nie jest najodpowiedniejsze to, do którego się przez słodką rezygnację Chrystusa dochodzi. Burza rośnie...”

Gdy burza ustaje, znowu zmiana: „Myślę dla pokuty o przeszłości i przyszłości i o krewnych i znajomych. Przesuwają się twarze i serca seriami jasnymi i ciemnymi jak w kalejdoskopie.”

Dnia 30 września nieco historycznych i literackich refleksji: „Zbliżając się do Europy (C. S. Vincent), a potem krążąc wzdłuż Portugalii, zdaje się po lewej (od oceanu) okrętu ciążyć ołów, lęk, burza. Chmury grożą, słońce odpychane, okręt rzucany: trwoga tam mieszka i piekło i koniec świata. Nie dziw, że Herkules wzniosł w Gibraltarze kolumnę z napisem: *Hucusque et non amplius*. Dopiero Karol V za Kolumba odkryciem wzniosł tam drugą kolumnę z napisem: *Hucusque et — amplius*. Ja nie widziałem ani jednej ani drugiej.” Wzdycha za oceanem na równiku, który wydaje mu się bardziej ożywiony, gdy „tu nic tylko czarna groza, błękitna obojętność i jakaś tajemnicza złość i martwa i zimna potęga wieje odeń... Przez okręt walczy człowiek — geniusz. Fala, klaszcząc i świszcząc z radości, wtóruje głosem piorunów: Pogrzebmy tę bestię, która nam wydarła panowanie.”

Tak pisze 1 października, ale następnego dnia nieoczekiwana refleksja wśród potocznych uwag: „Tak zwane nawrócenie się uczonych jest jednym z najwspanialszych objawów psychologicznych i intelektualnych człowieka. To przebieg myśli, słów i uczynków a *summis ad ima*, ab *imis ad summa*: Pogłębienie najzupełniejsze wszystkich światopoglądów i etyk i zwycięstwo ducha, który już zboczyć nie może. Taki przykład dał św. Justyn, filozof”; a 3 października: „Zbliżając się tuż do lądu europ., mam uczucie, że się kończy trud i obejmuje mię pielesz

domowych ciepło. Tymczasem jest to takie złudzenie, jak tyśięce innych, bo człowiek rozumny powinien być wzniosły nad wszelką przestrzeń i czas, a jedynie czuć się sobą w źródle *toū esse*".

Wreszcie dnia 5 października 1911 r. o 8 rano zawinęli do portu w Hawrze, a stamtąd pojechali do domu rodzinnego. Notatnik na cały rok poszedł na spoczynek, z którego wydobył go autor prawdopodobnie w przelotnym nawrocie niepokoju, jak wskazuje notatka: „Dzień dobry! Dziś w sobotę 14 września 1912.” Nie usprawiedliwiam w tym miejscu obfitych przytoczeń z notatnika, których powód i cel zrozumie uważny czytelnik niniejszego zyciorysu. Obszerniej ich znaczenie wyjaśnię, omawiając rękopisemną spuściznę Statecznego, zwłaszcza zaś *Samoobronę*. Obecnie wystarczy zwrócić uwagę na formę przytoczonych notatek jako materiału surowego, a jednak tak literacko ukształtowanego³⁵).

Z domu rodzinnego, zapewne, odjechał do Osieczny, skąd od dnia 1 stycznia 1912 r. powołała go Kuria biskupia poznańska na kapelana i spowiednika zakładu „Dobrego Pasterza” na Winiarach pod Poznaniem.

Twórczynią zakładu była m. Maria Karłowska, pochodząca ze szlacheckiej rodziny wielkopolskiej, rówieśniczka o. Statecznego. Mając 28 lat życia, zajęła się ofiarami prostytucji i zaczęła swą działalność w domu publicznym w Poznaniu w r. 1892, przychodząc tam regularnie, aby mieszkanki tego przybytku rozpusty przez wspólną modlitwę, przestrogi i nauki katechizmowe naprowadzić na drogę cnoty. Odbywa z nimi przechadzki, byle pozyskać ich serca. Gdy po roku ten dom zwinięto, a sama m. Karłowska przekonała się, że ta forma pracy małe przynosi skutki, ją zaś samą naraża na przykrości, wynajmuje 3 izby przy ul. Szewskiej w Poznaniu w r. 1894 i skupiwszy w nich 20 dziewcząt, wśród głodu i udręki prowadzi dalej swoje dzieło.

Dopiero dnia 15 lipca 1895 r. przychodzi wydatna pomoc. Hr. Aniela Potulicka (ur. 1861 r. w Londynie, zm. 17 października 1932 r. w Potulicach), późniejsza dobrodziejka wielu zakładów dobroczynnych i twórczyni fundacji na rzecz Kościoła

³⁵) Przekład włoski notatnika włączył Stateczny jako rozdział osobny do włoskiego tłumaczenia *Samoobrony* podczas pisania *Samopotępienia*.

kiego uniwersytetu w Lublinie, oraz poznańskiego seminarium misji zagranicznych, ofiarowała m. Karłowskiej chatę na Winiarach i 40 mórg ziemi. Tu mogło się już pomieścić około 30 dziewcząt i kilka pomocnic kierowniczek. W dążeniu do nadania swemu dziełu lepszej formy, przywdziewa m. Karłowska z pomocnicami w r. 1896 szaty zakonne, buduje nowy dom, wykończony w r. 1900, a w dwa lata później składa pierwsze śluby zakonne w Zgromadzeniu SS. Pasterek. Zdobywa swoją pracą uznanie poza granicami Wielkopolski, gdyż w jej ręce oddała władza duchowna odebrany mariawitkom dom i pole na Wiktorynie w Lublinie, będące fundacją Kliniewskiej z Kluczkowic.

W r. 1912 zgromadzenie uzyskało prawo korporacji, a więc jako uznane urzędowo otrzymało swego spowiednika. Został nim o. Stateczny. O stosunku jego do przełożonej zgromadzenia mamy tylko jednostronne świadectwo jego własne, natomiast starania moje o wzajemne oświecenie sprawy przez m. Karłowską nie dały wyników³⁶⁾.

Można mieć poważne wątpliwości, czy skierowanie o. Statecznego do tego zakładu było dobre, nie ulega jednak wątpliwości, że się początkowo zapalił do dzieła, w którym miał współpracować i to bardzo wydatnie jako spowiednik. Nie brakło mu pod tym względem doświadczenia i to bogatego zwłaszcza z lat włoskich, nie brakło również dobrej chęci i gorliwości, ale wątpliwa mogła być wytrwałość i równowaga umysłu.

O gorliwości świadczy fakt, że 3 broszury poświęca temu zagadnieniu w ciągu lat 1912 i 1913. Najwcześniejszą jest rozprawa p. t. *Filantropia w szacie „Dobrego Pasterza”*, umieszczona na str. 133—136, t. VIII Miesięcznika Kościelnego (Unitas) z II półr. r. 1912. W niej zwraca się do duchowieństwa i inteligencji i przypomina pamięci Poznańczyków dom na Winiarach, powołując się na Sienkiewicza List z Londynu i na Lalkę Prusa jako świadectwa o podnoszeniu się kobiet upadłych. Kończy zapewnieniem, że gdyby prostytutka znikła, „wtedy nasi synowie wielkopolscy byłiby zdrowi, majątni, peł-

³⁶⁾ M. Karłowska doczekała się rozrostu swego Zgromadzenia w Polsce i zmarła jako przełożona generalna 26 kwietnia 1935 r. w Jabłonowie na Pomorzu. (P. nekrolog w „Polonii“ z dnia 11 V 1935 nr 3798, str. 7.)

ni mocy ducha i charakteru jak ich praojcowie, którzy się zakutych w żelazo rycerzy krzyżackich na żadnym polu nic a nic nie lękali".

Druga broszura p. t. „*Dobry Pasterz*” na Winiarach pod Poznaniem. Napisał ks. E. Stateczny, Spowiednik Zgromadzenia Sióstr Pasterek. Poznań, czcionkami drukarni Dziennika Poznańskiego 1913, str. 15 + 1 nlb in 8^o, powstała zapewne równocześnie lub wkrótce po pierwszej (otrzymała bowiem aprobatę duchowną dnia 19 oraz 22 sierpnia 1912 r.), a zawiera historię i opis zakładu na Winiarach. Z niej zaczerpnąłem materiał do początkowych ustępów niniejszego rozdziału.

Najwięcej nas interesuje trzecia broszura najpóźniejsza p. t. *Przewodnik do konferencji dla Sióstr Pasterek odnośnie do spowiedzi świętej dusz upadłych*. Napisał ks. E. Stateczny O. F. M. Spowiednik Zgromadzenia S. S. Pasterek. Przedruk wzbroniony. Poznań. Nakładem Zgromadzenia S. S. Pasterek. Czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha 1913, str. 34 + 2 nlb in 16^o. Otrzymała ona aprobatę kurii arcybiskupiej dnia 19 czerwca 1913 r. i powstała krótko przedtem jako rezultat spostrzeżeń i doświadczeń przeszło rocznych. Zawiera rozdziały: 1) Opis stanu fizycznego i moralnego grzesznicy, opis realistyczny („Od najsutelniejszej pychy i poezji erotycznej i niewiary zupełnej aż do najbezczelniejszego kłamstwa i świętokradztwa i srogości i najgrubszej zmysłowości i najwstrętniejszych orgii — wszystko w niej [w duszy kobiety upadłej] mieści i przewraca się w przeraźliwym kołowrocie chęci i chuci"); 2) Konferencje między Pasterką-mistrzynią i duszą upadłą, sposobiącą się do Sakramentów św.; 3) Kapłan spowiadający grzesznicę; 4) Grzesznica po spowiedzi; 5) Rachunek sumienia. — Dowiadujemy się, jaką organizację pracy wprowadzono w zakładzie, w czym można dopatrywać się wpływu autora broszury.

Świeżo przyjętą grzesznicą zajmuje się więc S. Pasterka-mistrzyni, aby ją przygotować do spowiedzi, przy czym głównym jej zadaniem jest „kształtowanie sumienia” tak, że „podda swoją owieczkę spowiednikowi już jako tako omytą i uporządkowaną, aby się ten bezcelowo nią mozolić i babrać nie potrzebował”. Spowiednikiem dusz upadłych jest zwykle inny kapłan, a nie kapłan Zgromadzenia, który grzesznicom udziela

innych przysług religijnych, a więc załatwia sprawy wyznania wiary itp., a spowiedzi słucha tylko przedśmiertnej.

Spowiednik grzesznicy jest „siewcą-gospodarzem, który w rolę już uprawioną (przez S. Pasterkę) duszy grzesznicy wsiewa ziarno nadprzyrodzone nawrócenia i łaski uświęcającej i synostwa Bożego przez rozgrzeszenie sakramentalne”. Charakterystyczne są ostrzeżenia dla spowiedników, że „nic niebezpieczniejszego nad rozprawę z duszą upadłą... niebezpieczną jest rzeczą rozbierać najtajniejsze i najdelikatniejsze rzeczy pod słońcem przez trzy, pięć godzin, przeżywając je na nowo. I w żyłach kapłana choćby starego i doświadczonego nie płynie biała jeno czerwona krew. A grzesznica pod obuchem tych pytań piorunujących, roztrząsań, wyznań mdleje z rozkoszy, grzeszy sama ze sobą i wprost do kłamstwa albo hiperwyznań gotowa się posunąć. Pasterka zaś jako niewiasta i dziewica wie jak lekarka lepiej, co się godzi i co jest zbawienniejsze.” Dlatego też ostrzega Pasterki, że „istnieją grzesznice myślowe i fantazyjne z umysłu przeceniające, a nawet rojące grzech, a istnieją także grzesznice zmaterializowane całkiem i obłudne, z umysłu umniejszające lub nawet tające grzech. A Pasterka to musi wytropić.”

Konfesjonał miał być zamknięty tak, żeby ani kapłan nie widział grzesznicy, ani ona jego; poza konfesjonałem spowiednik nie powinien wchodzić w jakąkolwiek styczność z pokutnicami. Albowiem upadłe dziewczęta po spowiedzi generalnej i komunii przechodziły do grona pokutnic pod opiekę innej Siostry Pasterki.

Poza pracą swoją kapelańską, której jeden fragment co dopiero przedstawiłem, pisał w tym czasie Stateczny dość wiele z zakresu teologii i publicystyki, na metodę zaś pracy i tryb życia rzuca światło takie wynurzenie na str. 170—1 *Listów o wymowie*: „Przechodząc się po polach Winiarskich pod Poznaniem, rozważałem pobieżnie i ja ten problem (koncepcji twórczej). Budowano tam wtedy wielką halę dla lotnictwa napowietrznego. Śledząc od początku przebieg i wzrost budowy, porównywałem z nią każdą inną konstrukcję myślową, którą potem artysta ma rzucić i uzmysłowić bądź w kamieniu, bądź na płótnie, bądź w tonach, bądź na papierze. Pomiędzy tymi i tamtą nie ma zgoła żadnej różnicy w wykonaniu — różnica tkwi tylko w technice, doborze i użyciu środków odpowie-

dnich rodzajów sztuki. W wykonaniu dzieła nie ma żadnej tajemnicy autora." Ustęp ten pochodzi z r. 1914 najpóźniej.

Półtora roku upłynęło Statecznemu na Winiarach w zupełnym spokoju, miał zajęcia, które go zadowalały, miał towarzystwo zwłaszcza m. Karłowskiej, którą bardzo cenił za jej talent konwersacyjny i patriotyzm, której stosunek do niego przypominał mu ze studiów stosunek św. Klary do św. Franciszka. Toczyli często długie rozmowy na różne tematy, zwłaszcza patriotyczne i mistyczne. Zgadzała się, że odrodzenie narodu polskiego jest w demokracji i czuli się tym zespoleni wobec panujących przekonań w sferach, od których po trosze zależeli. Zapewne, przewijały się w tych pogadankach i skargi na doznane klęski życiowe, na trudności napotymane w zamiarach i wszystko to, co może wzruszać czy interesować ludzi, oddanych wyłącznie jednej, monotonnej, choćby umiłowanej pracy, i mających za sobą już bezpowrotną młodość. A poza tym nie mógł nie oddziaływać ów światek zamknięty w sobie niewieści, łączący tak sprzeczne żywioły jak dziewicze Pasterki i pokutnicze lub gotujące się do pokuty Magdalenki. W tej atmosferze, w której z wonią ofiarności walczył wdzierający się ze świata zmysłowy zapach grzechu, zwalczany zwykle ze skutkiem, lecz odświeżający się z każdym nowym nabytkiem pokutniczym, trudno byłoby wytrzymać bez załamania się przez kilka lat nawet zdrowemu i silnemu mężczyźnie.

Ulega wpływowi tej atmosfery Stateczny i stłumiona przez półtora roku podejrzliwość rośnie, czeka na materiał, który zjawia się w postaci dwóch ataków duszności nocnych, wydających mu się prawie śmiercią. Przed śmiercią zaś czuł trwogę i mimo westchnień do niej pragnął żyć. Ataki te zdarzyły się 22 czerwca i 12 lipca 1913 r. i po nich odżyła dawna obawa, że są to zamachy, mające na celu „rehabilitację”, a więc posługujące się środkami sztucznymi, narkotykami, których domieszano mu do wieczery i napojów. Zbudził się z uśpienia „drugi” Stateczny i zbuntowawszy się przeciw biegowi swego życia silniej niż poprzednio, próbował już nie u socjalistów szukać pomocy, lecz sprawę wywlec przed forum publiczne, a mianowicie wywołać proces o fałszowanie środków spożywczych. W tym celu udał się do adwokata dra Adamczewskiego i chemika dra Hammera w Poznaniu. Zdaje się, że drowi Adamczewskiemu, który przedtem miał kancelarię w Katowicach i stamtąd był

znany Statecznemu, oddał jako materiał rękopis *Samoobrony* i posłał dodatkowo wzmiankowany już list autobiograficzny z dnia 30 września 1913 r. Obaj wybrani przez niego rzeczoznawcy poznali się na istocie rzeczy i zrobili wszystko, co mogli, aby go uspokoić i do równowagi przywrócić. Obrali każdy inną metodę. Adwokat wyraził gotowość do przeprowadzenia procesu, lecz zażądał orzeczenia chemika. Dr Hammer, zaprzysiężony znawca na Księstwo Poznańskie, zbadawszy, podobno powierzchownie, przyniesione mu przez klienta próbki potraw i płynów, kazał je wyrzucić i oświadczył, że sprawa byłaby kosztowna, rzecz „prawie niemożliwa do udowodnienia przez analizę najskrupulatniejszą, a w każdym razie skutek problematyczny dla sprawy, zabójczy dla księdza”. Wobec takiego orzeczenia trzeba było od zamiarów odstąpić, choć z żalem, który odnośnie do dra Hammera wyraził się uwagą: „Saksończyk zacny, ale filister” i przypuszczeniem, że się nie podjął „wielkiej i pięknej sprawy” z bojaźni. (Ustęp *Samoobrony* z lutego 1915 r.)

Samoobrona i list autobiograficzny wróciły do ich autora, który wnet się uspokoił, w zgodzie i w harmonii z m. Karłowską pełniąc nadal swoje obowiązki na Winiarach. Ostatnie chwile tej fazy niepokoju przypadają na październik 1913 r., z dnia bowiem 15 t. m. pochodzi mały dodatek do *Samoobrony*. Na stan psychiczny autora rzucają światło ostatnie ustępy listu autobiograficznego:

„Niechaj mi będzie wolno rozwinąć tu w dodatku widzenie, które mnie po zamachach na życie wyżej opowiedzianych ciągle prześladowuje jak obraz mistyczny, pod którego kształtami ujawnia mi się moje przyszłe życie po śmierci. Jest to fantazja.

„Po śmierci przemieni się moja osobista energia w postać ptaka samotnego, barwy niebieskiej, rodzaju morskiego jak rybitwa, który szując powietrze bez wytchnienia, wydobywa ze siebie ponury jednostajny głos czyli raczej śpiew albo też żałosne kwilenie. Przeszywa niezmierzoną przestrzeń zanurzoną w cień, przestrzeń jakby martwą i wyczerpaną z czasu i światła i ruchu, przestrzeń o skłonie rozwiewnym, o zarysach niepewnych, o pokrywie ołowianej, bez zimna, bez ciepła, o otchłani spowitej w napół ciemną wodę i ziemię i w sen. Fruwając tu i ówdzie, ale po większej części zataczając koła majestatyczne, wydaje ze siebie ów ptak mistyczny tułaczy te rozdzierające

jednostajne jęki i kwilenia przeciągłe, ciskając je w milczenie wieczne i sen powszechny.

„Tyle miałem jeszcze na sercu, aby powiedzieć.

„Jeżelibyś, mój Panie i łaskawy czytelniku, zechciał się przyłączyć do tego losu mojego przyszłego pośmiertnego pod postacią owego bajecznego ptaka samotnego, jęczącego, kwilącego, byłoby nas dwóch tułaczy zgłębiających i przesywających byt i wieczność...”

I w tej fantazji ujawnia się wpływ lektury świeckiej, podświadomie może wyłania się jakieś poczucie pokrewieństwa psychicznego, a kto wie, czy i w przeznaczeniach życia z hr. Henrykiem z *Nieboskiej Komedii*.

Nie będzie od rzeczy zrobić tu, a raczej ponowić zastrzeżenie, że i przebieg ostatniego buntu Statecznego i wnioski dalsze oparłem na wynurzeniach *Samoobrony*, które mogą mieć zupełnie realny podkład, ale mogą też być częściowo fantazją. Mimo wszelkiego rodzaju poszukiwań u różnych osób i instytucji, nie udało mi się dotrzeć do czegoś, co by można było przedstawić, jako obiektywny stan rzeczy. Albo nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, albo wiadomości podane mi były zbyt ogólne, żeby na ich podstawie dało się poprawić opowieść *Samoobrony*.

W każdym razie wybuch niepokoju w r. 1913 był silny i prawie ostatni, dawał się zaś uspokoić tylko zwolna i zaznaczał się jakby powrotnymi falami w pismach z drugiej połowy r. 1914, a mianowicie w drukowanym: *De primaria calamitate sociali* i w rękopisemnych: *Rozmyślaniach z r. 1914 i 1915*, a nawet w sprostowaniu *Samoobrony* czyli w *Samopotępieniu*. Trwała ta walka wewnętrzna, walka z szatanem, którego wcielenia dopatrywał się czasami w sobie, do lutego 1915 r. Zaszła wszakże w porównaniu z r. 1906—1907 znaczna przemiana w „drugim” Statecznym. Przedtem płonął w nim bunt czynny, prowadzący do ucieczek z klasztoru, do zapisania się w poczet socjalistów, do prób wystąpienia z Kościoła, teraz ogranicza się do zamiarów opublikowania swych wspomnień i myśli, do chęci stworzenia nowego Credo, w którym religię określi jako pia fraus, chociaż jest potrzebą serca (*corde creditur*). Dlatego ostatni rozdział *Samoobrony*, pisany na Winiarach (od 31 grudnia 1913 do lutego 1915 r.) ma właśnie tytuł: Credo, który w kilka miesięcy później powtórzy się w *Samopotępieniu*, zawierając w nim treść zupełnie odmienną.

Wybiegając nieco naprzód, aby oświetlić psychologię Statecznego w okresie „rozłamania” etapami chronologicznymi, przytoczę zakończenie *Samoobrony* i *Samopotępienia* w 4 różnych porach, jako t. zw. Dopisek wydawcy. W pierwszej redakcji z r. 1908 brzmiał on: „Koniec tego nieszczęśliwego człowieka i autora niniejszych kartek niewiadomy. Tylko poszlaki i domysły istnieją, że pojechał do Ameryki raz i drugi po najwyrafinowaną truciznę przeciw ukąszeniu węzów. Wrócił. W Osiecznie spokojnie się otruł. Leży pod tamtejszym kościołem klasztornym.” W r. 1911 prawdopodobnie przekreślił koniec od słów: po najwyrafinowaną truciznę i ołówkiem napisał: „i trzeci. Wrócił. Prawdopodobnie umarł w Osiecznie.” Do lutego 1915 należałoby odnieść przekreślenie tej poprawki i trzecią redakcję: „i trzeci, szukając, aby zniknąć lub umrzeć. Wrócił. Prawdopodobnie umarł w Osiecznie(?). Przedtem był przez szereg lat znakomitym spowiednikiem i kapłanem zakonnim pasterek („Dobry Pasterz”) na Winiarach pod Poznaniem w harmonii najdoskonalszej z założycielką, niewiastą panną chrześcijańską świętą, Matką Karłowską. Może jeszcze żyje. Może wiecznie żyć będzie...” Czwarta wreszcie redakcja z września lub października 1915 r. znalazła się jako Dopisek wydawcy w *Samopotępieniu*: „Rękopis autora wytłoczyłem sumiennie. Koniec tego człowieka i teraz jeszcze niewiadomy. Może być, że spełniły się podejrzenia, iż spocznie w Osiecznie w szeregu ojców zmarłych. W pierwszej części dopisać śmiałem niepotrzebnie kwalifikację „człowiek nieszczęśliwy”, podczas kiedy z drugiej części wynika, że to była najszczęśliwsza a co najmniej dziwna natura. Niechaj mu ziemia boża i ziemia polska będzie lekka. A grób jego — oby — się stał chwalebny w Panu!” Nie jest to jedyny łącznik poza zamiarem autora między *Samoobroną* a *Samopotępieniem*. Łączy je przede wszystkim wspólność powstania w okresach „okrutnego rozłamania”, chociaż pisane były w następstwie po sobie, a nie współcześnie. Jakkolwiek dążności obu tych części autobiografii są wręcz przeciwne, nie można łączyć *Samopotępienia* z tymi pismami Statecznego, które drukował w latach 1910—1915 bądź osobno, bądź w „Miesięczniku Kościelnym” i w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” z zakresu hagiografii, apologetyki itp... Tamte były owocem okresów zdrowia fizycznego i psychicznego, te wytworem okresów choroby. Okazuje się wszakże, że i pod-

czas owej przewagi nastrojów chorobliwych dochodziła do głosu anima naturaliter christiana i z biegiem czasu zaczęła przeważać nad buntem instynktów i wpływów lektury, wyzwolonym przez chorobę z obowiązku posłuszeństwa wobec powołania duchownego. *Samopotępienie* rzuca światło na początek walki między dwoma prawami (lex mentis — lex in membris, lex spiritus vitae — lex peccati et mortis, Ep. ad Rom. 7, 23; 8, 2); pierwszym nieśmiałym odruchem przeciw poprzednim ateistycznym zapędom było twierdzenie z r. 1911: Corde creditur, ale punktem wyjścia stało się zdanie z Credo *Samoobronny*, napisane 31 grudnia 1913 (według *Samopotępienia*): Deus est vita. Wprawdzie wówczas wyraziło się ono po polsku raczej stwierdzeniem jedności Życia — Boga, bo wówczas dla Statecznego: „Bóg jest życie; życie jest Bóg: taka jest teologia jedynie prawdziwa”. Od tego założenia o znaczeniu filozoficznym jedynie przeszedł z wolna do nadania mu znaczenia teologicznego, zgodnego z nauką Kościoła, a więc do sylogizmu: Deus est Vita, Christus est Vita, Christus est Deus. Nastąpiło to w r. 1915 i odtąd zaczyna się zgodność między Statecznym cierpiącym, a będącym w pełni władz umysłowych, zgodność okupiona kilkunastu latami wątpienia, rozłamania i utraty wiary przede wszystkim w siebie.

Zanim przystąpię do skreślenia przeżyć wewnętrznych Statecznego, idąc śladami *Samopotępienia*, spróbuję ustalić okoliczności zewnętrzne jego życia. Początek r. 1914 zastał go jeszcze jako kapelana na Winiarach, potem według *Samopotępienia* przebywał „przez 4 miesiące w Goruszkach, 3 miesiące w domu rodzicielskim, w końcu przez 6 miesięcy w Potulicach”. Ścisłość tych dat potwierdza w innym miejscu *Samopotępienia*, mówiąc, że w Potulicach pod Nakłem był kapłanem hr. Anieli Potulickiej od 3 sierpnia 1914 do 4 lutego 1915 r. W takim razie w Witosławicach przebywałby od maja do lipca 1914, a w Goruszkach od stycznia do kwietnia 1914 r. Z Potulic przyjeżdżał często do ks. infułata Stanisława Krzeszkiewicza, wówczas redaktora „Nowej Biblioteki Kaznodziejskiej” w Gnieźnie, aby porozmawiać z człowiekiem, znającym dobrze literaturę franciszkańską i posiadającym te same zamiłowania naukowe. Ks. Krzeszkiewicz znał go nie tylko z pism, lecz także z opinii, którą słyszał przed kilku laty w Rzymie od jakiegoś włoskiego reformata, że jest to człowiek wyjątkowej inteligencji.

cji. Poznanie osobiste potwierdziło zdanie cudzoziemca, ujawniło zaś wielką skromność o. Euzebiusza mimo wielkiej wiedzy, w której mile ks. Krzeszkiewicza uderzyła wielka znajomość Dantego. W liście do mnie tak określa ks. Krzeszkiewicz Statecznego: „Był to mąż bardzo pokorny, skromny, świątobliwy, małowówny, ale niezwykle inteligentny i filozoficznie bardzo wykształcony... Był jednym z tych rzadkich, w których towarzystwie człowiek staje się mądrym i dobrym.”

Mam przekonanie, że odsłaniając te strony życia Statecznego, o których mało wiedzieli współcześni jego znajomi, przyczynię się do utwierdzenia tego sądu ks. inf. Krzeszkiewicza, że ujawnienie drugiego oblicza pisarza górnośląskiego, podjęte w myśl: *Amicus Plato sed maior veritas*, nie tyle go poniży, ile raczej zbliży bardziej ku nam, jako podległego słabościom ludzkim, lecz wychodzącego z długiej z nimi walki w końcu zwycięsko.

W owym czasie pisał Stateczny wielkie dzieło na temat eschatologiczny, które pokazywał ks. Krzeszkiewiczowi; nie ma jednak pewności, czy była nim rozprawa: *Człowiek w raju, na ziemi i w niebie*, którą w r. 1915 złożył do cenzury duchownej w Konsystorzu gnieźnieńskim, jest atoli wielkie prawdopodobieństwo.

Dorywczych rozpraw było w tym czasie więcej, przechowały się one bądź samodzielnie, bądź wcielone jedno w drugie, a przede wszystkim w *Samopotępienie*. Przede wszystkim jest nią w 3 językach (polskim, łacińskim i niemieckim) napisany list otwarty o fałszowaniu środków spożywczych (*De primaria calamitate sociali*), który znalazł się i w *Rozmyślaniach* i w *Samopotępieniu* i wyszedł oddzielnie w Raciborzu 1915, a którego czas powstania jest trudny do określenia. Ciekawszy jeszcze jest inny ustęp w *Samopotępieniu*, który powstał w związku z przeobrażaniem się „drugiego” Statecznego, a zatytułowany był: *Najnowszy kształt diabła w konfesjonale*, chociaż traktował o różnych przejawach „diabelstwa” w praktyce kościelnej. Sam Stateczny wiąże w *Samopotępieniu* ten traktat ze swoim „nawróceniem ducha” w ciągu jednego roku, jako dokument drugiej fazy tego procesu, którego pierwszym objawem był ów punkt zaczepienia: *Deus est Vita* z dnia 31 grudnia 1913, punkt dla niego równie ważny jak dla Kartezjusza: *Cogito ergo sum*.

Drugim etapem były wrażenia ze spowiedzi, których słuchał w Goruszkach w kwietniu 1914 r.

Rzecz sama nie była wszakże tak prosta, jak wydawało się Statecznemu i wydawać się może dziś nawet komuś, pojmującemu tę sprawę w sposób uproszczony. Trzeba zastanowić się dobrze nad całym procesem psychicznym, który przeżywał Stateczny od lat kilkunastu. Gdyby w ciągu nich nie był opublikował kilku dzieł znacznej wartości i kilkudziesięciu kazań oraz rozpraw religijnych niewątpliwie prawowierności, moglibyśmy mówić razem z nim o jego nawróceniu się i o wyzwoleniu się z pęt niewiary, moglibyśmy nawet, jak to on sam czynił w *Samobronie*, uważać pisma religijne za objaw pewnej perwersji moralnej i faryzeuszostwa, ale to rozumowanie słuszne byłoby tylko wtedy, gdyby ta strona jego działalności łącznie z czynnościami duszpasterskimi stanowiła mniejszą część jego ówczesnego życia, a więc na tle ogólnego zamętu psychicznego t. zw. *lucida intervalla*. Tymczasem mówić należy raczej o *turbida*, *maligna intervalla* na tle przeważającego życia religijnego o charakterze częścią kontemplacyjnym, częścią czynnym. W tej diagnozie stanu Statecznego nie ma sprzeczności z poprzednim opowiadaniem, które nie bez zastrzeżeń oparłem głównie o *Samobronę*, tutaj zaś uważam za stosowne tym zastrzeżeniom dodać więcej wagi, nie roszcząc sobie prawa do ostatecznego rozstrzygnięcia, któremu zawsze braknie takiego lub innego dowodu. Niemniej trzeba i taką ewentualność rozważyć.

Jeżeli więc zgodnie z naszym założeniem przyjmiemy w okresie „okrutnego rozłamania” niejako współlistnienie dwóch Statecznych: wzorowego w przeważnej ilości czasu zakonnika i duchownego obok zbuntowanego syna wieku w niektórych momentach, to nawracał się tylko ów zbuntowany syn wieku, a raczej znikało owo rozdwojenie, znikało „okrutne rozłamanie”. Nie nawracał się, bo nie miał z czego nawracać się Stateczny-zakonnik. Istniał więc jak gdyby brakiem woli, osłabionej chorobą, wyzwolony sobowtór, który na przekór pełniącemu zakon ducha zakonnikowi pełnił zakon ciała, zakon grzechu i śmierci, istniała typowa pokusa, odżywiająca w ciągu lat kilkunastu z różną siłą. Moc jej zależała od tego, jak silne w danym momencie były składniki jej podłoża, z których jako najważniejsze wyróżniliśmy trzy: nieosiągalny ideał zakonnika, stojącego na

poziomie kultury swego wieku, chorobę i posiadanie wbrew regule osobistego majątku. Wszystkie trzy składniki z natury rzeczy etycznie obojętne, a nawet w innych warunkach pożyteczne, stawały się w tym wypadku szkodliwe. Czym innym bowiem było znać kulturę swego wieku w rozmiarach odpowiednich stanowi zakonnemu, czym innym zaś uganiać się za jej poznaniem przez przeżycie jej objawów, sprzecznych z tym stanem. Podobnie posiadanie majątku osobistego wpływało z chęci zabezpieczenia się na wszelki wypadek, z żądzy zaspokojenia owych popędów poznawczych w zakresie kultury wieku. Choroba wreszcie nie była czymś niezawinionym przez Statecznego, niejako dopustem Bożym, lecz wynikiem jego nie-zrównoważonego i nieogłédnego trybu życia w okresie pełnego zdrowia. O tyle więc można mówić o winie, zapewne niemałej Statecznego, ale w okresie „rozłamania się” mówić trzeba raczej o karze, wyrażającej się czymś, co najlepiej dałoby się określić jako sporadyczne opętanie. Stateczny nie był daleki od tej myśli. Na wstępie *Samopotępienia* mówi: „Nie mogę się obronić podejrzeniu, że byłem diabłem. Nie przypadkiem diabłem w przenośni lub upostaciowaniem ludzkim niektórych właściwości szatańskich, lecz samym wcielonym szatanem, jako kamień zgorszenia dla całego świata. Bóg bowiem pozwala od czasu do czasu na takie rozwielenienie się zła, że to zrodzi się i przyjmie w całej pełni postać ludzką i rozporządzając całym zasobem środków przyrody, sztuki i umiejętności, podniesie bunt przeciwko Dobru. Nieraz ciskał mną i podjudzał, szepcąc: »Bądź czarnym duchem z puszczy libyjskich. Powstań jako Ariusz!«... Diabeł, mniemając, że większą dlań korzyścią będzie wyruszyć z armiami żelaznymi wojsk milionowych na place bojów śmiertelnych, jał mnie opuszczać.” Nie wchodzę tu w zagadnienie, czy i w tym wyznaniu nie tkwi jeszcze reszta opętania, podkreślam tylko dwie cenne wskazówki: świadomość pokusy dochodzącej do opętania i oznaczenie wybuchu wojny światowej jako daty ustępowania diabła. Wojna światowa bowiem musiała nadwerężyć, jeżeli nie zgruchotać podstawową część ideału Statecznego: kulturę swego wieku. Kultura ta w ostatecznym wyniku okazywała się złą i niegodną dotychczasowego kultu. Można było z niej wyłączać to lub owo jako cenną zdobycz ludzkości, lecz nie można już było w nią wierzyć. Ten brak wiary zaznacza się również w *Rozmyślaniach* i w *De*

primaria calamitate sociali. Natomiast wzmagą się i oddziaływa na wyzwolonego sobowtóra inna wiara, od której poczynają się często nawrócenia, wiara w szatana. „Drugi” Stateczny poznał w okresie cierpień nędzę jako jedyny łącznik ludzkości, stąd niedaleko było do uznania zła we wszechświecie, a w końcu do jego zindywidualizowania. Indywidualne zaś zło, czyli szatan prędzej czy później doprowadzić musiał do uznania Boga. Tę drogę przebył również i „drugi” Stateczny. Szatan objawił mu się przez wrażenia spowiedzi, których słuchał w Goruszkach w kwietniu 1914 r. Stan jego fizyczny i psychiczny nie był wówczas najlepszy, a oznaką tego była wzmożona wrażliwość narządów węchu. Węchem niejako wyczuł szatana, zastawiającego zasadzki na kapłanów w kościele i oddziaływającego na nich (ściśle biorąc tylko na Statecznego) przez zmysł powonienia. Pod wpływem tych wrażeń napisał po polsku i po łacinie memoriał o różnych postaciach diabła przy pracy i podobno posłał go papieżowi Piusowi X, a następnie samowolnie jeszcze Kongregacji Zakonów. Nie udało się sprawdzić, czy ta wysyłka nastąpiła w rzeczywistości, czy tylko w urojeniu. Sam memoriał stanowi jeden z rozdziałów *Samopotępienia*. Inny rozdział, będący zapewne początkowo samodzielnym utworem, stanowi: Mariologia, dalszy zaś: Światopogląd chrześcijański, Celibat, O nadczłowieku itd. W ogóle *Samopotępienie* zawiera mniej materiału narracyjnego, więcej zaś refleksyjnego.

Pisał zaś je z początkiem jesieni r. 1915, gdy rozłamanie się kończyło, a zaczynał się okres jedności psychicznej. List włoski do wydawcy nosi datę: Osieczna, 20 października 1915 r. Honorarium za tę pracę przeznaczał na rodziny poległych na wojnie. Wynikło to z chęci życia odtąd w doskonałym ubóstwie. Jak doszło do tego, że „drugi” Stateczny wyrzekł się dalszej pokusy, a zarazem przyczyny po trosze swego stanu, możemy tylko w przybliżeniu wyjaśnić. Owe ucieczki z klasztoru, trzykrotna podróż do Brazylii i inne pomniejsze wycieczki wyczerpały nagromadzone zasoby. Nowe prace nie przynosiły żadnych niemal dochodów. Z listu śp. ks. prał. Hozakowskiego do mnie przytaczam następujące świadectwo: „Niejedne szczegóły są mi znane z wydania św. Franciszka, o które dwukrotnie autor zabiegał nadaremnie, że w końcu przez trzecią osobę udało mu się rzecz przy bardzo niskim honorarium.”

Poniewolnie poniekąd wyzwolił się Stateczny z jarzma pieniędzy, coraz wyraziściej występowała w widzeniach jego Pani Bieda, jako mistyczna małżonka do końca życia, ona ułatwiła mu „poznanie Boga w odpuszczeniu grzechów”. Pani Bieda odgrywać poczyną coraz większą rolę w jego życiu, jej przypisuje natchnienie do wysłania listu na ręce Kapituły Generalnej w Rzymie na Zielone Świąta 1915 r., aby przypomnieć „uchybień, których się dziś Zakon i świat dopuszcza w zakresie ubóstwa”. Towarzyszyła ona Statecznemu w tułaczce r. 1915. Z Winiar wyjechał na Śląsk, około Wielkiejnocy bawił we Wrocławiu, gdzie podczas W. Tygodnia leżał chory w klasztorze św. Idziego, potem przebywał w Witosławicach w domu rodzicielskim do 27 maja 1915, w którym go opuścił, prawdopodobnie na zawsze, gdyż taki przynajmniej miał zamiar. Zdaje się, że w czasie tego pobytu pojechał do Pawłowiczek i tam obok innych papierów oddał na przechowanie adwokatowi z wyznania bratu morawskiemu (Herrnhuterowi) rękopisy *Samobrony*. Ułatwiło to „drugiemu” Statecznemu nawrócenie się, które dokonało się ostatecznie według *Samopotępienia* w nocy dnia 26 maja. Odtąd małżeństwo mistyczne z Panią Biedą staje się coraz ściślejsze, uwieńczone w widzeniu przed Zielonymi Świątami 1915 r. błogosławieństwem papieskim. („Byłem właśnie zajęty pisanem, a ona siedziała naprzeciw. Wtem znie-nacka zjawiała się w środku izby biała postać starca, ubranego w jasne szaty kościelne. Rozpoznałem czcigodne rysy Papieża Benedykta XV. Runęliśmy oboje do jego stóp. A on zdjawszy z ramion stulę papieską, zarzucił ją na moje ramiona ze słowami: Pomóż, synu! Ciężka jest, bardzo ciężka. — Znikł. Niebo zatwierdziło moje pisanie i moje małżeństwo.”) Pod koniec czerwca 1915 r. bawił Stateczny w Jarosławiu podczas nalotu eskadry rosyjskiej, bombardującej miasto i klasztor reformacki, w którym mieszkał.

Pod wpływem tej wewnętrznej przemiany zaczął usilnie starać się o wyleczenie ze swej choroby. Leczy się w klinice we Wrocławiu we wrześniu 1915 promieniami Roentgena, zdaje się z doraźnym skutkiem, gdyż zbliżenie się myślowe „drugiego” Statecznego do pierwszego staje się coraz większe i może tylko częste wizje świadczą o działaniu szczątkowym dawnego procesu psychicznego. Te wizje jednak zmieniają również swą treść, stawały się coraz prawowierniejsze. Wreszcie zdobywa

się na powtórzenie Credo, które w pierwszych zdaniach jest powtórzeniem Składu Apostolskiego, potem rozwija jego myśli samodzielnie, dorzucając nieco ze swoich ziemskich umiłowañ: „Wierzę, że dusza ludzka rozwija swoje uczynki anorganicznie przez rozum i wolną wolę i sumienie, wspierając się jednak na życiu zmysłowym swojego towarzysza ciała, które dobiegłszy kresu, ginie przez śmierć, a dusza wyzwolona z ciała i pielgrzymki doczesnej przenosi się do życia wiecznego, aby z rąk Boga za dobre i złe otrzymać nagrodę lub karę wieczną w niebie lub piekle lub czyśćcu... Wierzę, że... doskonalenie się rodzaju ludzkiego odbywa się pod współdziałaniem przyczyny pierwszej czyli Boga odwiecznego i wszechobecnego i przez współdziałanie wszystkich przyczyn drugorzędnych, stworzonych w zakresie przyrody i nauk ścisłych i sztuk pięknych i wiary i nadziei i miłości i religii i — że w końcu po lat miliardach, po niesłychanych zdobyczach i wahaniach i cofaniach i kołowaniach i krzyżowaniach i zanikach i spustoszeniach i odrodzeniach sfinksowych jeszcze liczniejszych na helisie spiralnej do postępu w górę dokona się wyczerpanie tajemnic przyrodzonych i utworzenie na ziemi jednej jedynej, spoistej rodziny chrześcijańskiej czyli Kościoła Bożego i ludzkość stanie w gotowości śmierci powszechnej, aby po zburzeniu i odnowieniu światów zbudzić się przez zmartwychwstanie powszechne ciał u stóp Boga, który jest życiem, w Chrystusie, Jego synu, pośredniku między ziemią i niebem, pomiędzy człowiekiem i Bogiem, sam będąc Bogiem-Człowiekiem, środowiskiem historii, objawieniem Bóstwa: »Jam jest droga, prawda i życie!«

Wierzę, że zbawienie Polski polega na wierności Stolicy Piotrowej, zogniskowanej w Papieżu rzymskim. Wierzę wiarą doczesną, że Polska z biegiem czasu i pod wpływem heroizmu poświęcenia i rozmaitych konstelacji dojdzie do samorządu i do niezawisłości politycznej i że w zespole z innymi ludami świata owładniętą zostanie ideą najwyższej doskonałości w zakresie dyscypliny społecznej: »Będzie jedna owczarnia i jeden pasterz!«

Wierzę mocno, że będę zbawiony; ale też wierzę, że to zbawienie ze drżeniem sprawować muszę. Amen."

Tym Credo zamyka się działalność pisarska „drugiego” Statecznego, o ile sądzić można na podstawie dotychczasowego materiału.

VII. Z PANIĄ BIEDĄ KU SIOSTRZE ŚMIERCI (1915—1921)

Zdanie, że ludzie szczęśliwi nie mają historii, zdawałoby się sprawdzać na ostatnich latach Statecznego. Brak dokładnych wiadomości o nim w poprzednim czasie, częściowo tylko zastąpiony wynurzeniami *Samooobrony* i *Samopotępienia*, przechodzi dla okresu 1916—1918 w brak niemal całkowity. Schematyzmy duchowieństwa archid. poznańsko-gnieźnieńskiej rzadko go wymieniały już poprzednio, od r. 1916 nie znają go zupełnie. W aktach Kurii Arcybiskupiej nie znaleziono mimo starannych poszukiwań bliższych wiadomości o jego pobycie³⁷⁾ w tej archidiecezji. O. Antoni Galikowski przypomina sobie, że prawdopodobnie Stateczny od r. 1915 nie miał miejsca stałego zamieszkania, że przebywał z przerwami w Goruszkach w tamtejszym klasztorze reformackim, że wyjeżdżał często na Śląsk i że tam do końca wojny przebywał. Potwierdzenia atoli tej wiadomości nie uzyskałem od szeregu księży śląskich, których o Statecznego wypytywałem. Podobnie nie zdołałem uzyskać skądinąd potwierdzenia pobytu Statecznego w kwietniu i wrześniu 1915 r. we Wrocławiu.

Z drugiej strony dr Walenty Stateczny, który wprowadzie w czasie wojny przebywał poza Śląskiem i z bratem się nie komunikował, podaje Włocławek jako miejsce pobytu o. Euzebiusza podczas wojny. Jest to możliwe wobec usunięcia się władz rosyjskich, objęcia rządów przez generał-gubernatora pruskiego w Warszawie i utworzenia Rady Regencyjnej. Światała bowiem nadzieja wskrzeszenia dawnej prowincji zakonnej, której ośrodkiem stawał się ocalały klasztor reformacki we Włocławku. Potwierdzenie atoli niezbite pobytu Statecznego we Włocławku odnosi się dopiero do r. 1919. Mętna wreszcie wieść napomyka o uwięzieniu Statecznego przez Prusaków w czasie wielkiej wojny.

Jedno tylko jest pewne. Już od r. 1906 przebywając w Wielkopolsce w klasztorach reformackich, Stateczny w tym okresie więcej przestawał z reformatami niż z bernardynami, choć do prowincji bernardyńskiej nie przestawał należeć. Od r. 1911 bowiem na mocy dekretu papieża Piusa X z 28 kwietnia t. r. *Sanctissimus Dominus* prowincja galicyjska Braci

³⁷⁾ Pismo Kurii Arcybiskupiej w Poznaniu z dnia 27 listopada 1934, l. 13179/34.

Mniejszych rozdzieliła się znowu na 2: bernardyńską Niepok. Poczęcia M. B. i reformacką pod wezwaniem M. B. Anielskiej. Stateczny pozostaje w ściślejszych związkach z reformatami, jest z ich ramienia dyrektorem III Zakonu w Poznaniu, u nich wydaje w r. 1916 *Kobieta-tercjarka św. Franciszka z Asyżu*, od prowincjała reformatów o. Zygmunta Janickiego otrzymał zezwolenie na zamieszkanie w klasztorze we Włocławku, o czym donosił w r. 1919 generałowi Zakonu o. Serafinowi Cimina.

Do generała Zakonu wysłał też z Koła dnia 1 lutego 1920 łaciński memoriał w sprawie przyszłego podziału klasztorów Braci Mniejszych w Polsce na prowincje. Nie odróżnia on prowincyj reformackich od bernardyńskich wbrew dokonanemu już rozdziałowi, dzięki któremu musiał przenieść się z Włocławka do Koła i proponuje utworzenie 6 prowincji wspólnych, a mianowicie: 1) św. Jadwigi na Górnym Śląsku, 2) św. Wojciecha w Wielkopolsce i na Pomorzu, 3) N. P. M. Anielskiej w zachodniej Małopolsce, 4) N. P. M. Bolesnej na Mazowszu i Kujawach, 5) Niepokalanego Poczęcia N. P. M. we wschodniej Małopolsce i na Wołyniu, 6) św. Kazimierza na północno-wschodnich kresach.

Projektował nadto utworzenie t. zw. Collegia Seraphica dla przygotowania młodzieży do życia zakonnego oraz wspólnych studiów filozoficznych i teologicznych dla wszystkich prowincji. Memoriałowi nadał tytuł: *Futura Polonia Seraphica*. Charakterystyczna jest wiara Statecznego w przynależność G. Śląska do Polski, której da wyraz także w liście do rodziców z grudnia 1920.

Projekt Statecznego nie wpłynął na rzeczywisty późniejszy podział polskich klasztorów Braci Mniejszych. Przybyła bowiem do 2 poprzednich prowincji tylko trzecia (reformacka), Wniebowzięcia M. B., obejmująca 2 konwenty górnośląskie, 4 poznańskie i 2 na obszarze b. Kongresówki.

Pewne daty są także listu otwartego do Józefa Biniszkiewicza, redaktora „Gazety Robotniczej” w Katowicach, z Piotrunek pod Chodzieżą w dniu 6 stycznia 1919 i druk 2 artykułów w r. 1919 w gazetach włocławskich t. j. w „Słowie Kujawskim” i „Gazecie Kujawskiej”. O. Stanisław Stoch, gwardian reformatów w Krakowie, pamięta, że Stateczny przybył do Włocławka w r. 1919, przebywał tam kilka miesięcy i był spo-

wiednikiem kleryków w Seminarium Duchownym, a potem po objęciu klasztoru w Kole przez bernardynów, przeniósł się tam z końcem r. 1919. Potwierdza to list Statecznego do rodziny z r. 1920, według którego osiadł tam w grudniu 1919 i zajmował się prócz pisania *Kroniki miasta i klasztoru w Kole* udzielaniem lekcji języka niemieckiego i łacińskiego w 2 tamtejszych gimnazjach. Na wakacje puścił się znowu w podróż tym razem po Polsce i w czasie pobytu w Sandomierzu nabył się dyzenterii, na którą przeleżał dwa miesiące w szpitalu, miesiąc zaś w klasztorze. Do Koła wrócił dopiero w październiku 1920 r. i jako rekonwalescent nie oddał się już żadnemu zajęciu.

Wiadomości tych zaczerpnąłem z listu do rodziców, napisanego w grudniu 1920 r. po dłuższej przerwie z Koła. Ze względu na pewne cechy charakterystyczne, przytaczam go w całości:

„Mili Rodzice!

„Już Wam dawno obiecałem, że napiszę list. A tymczasem schodził tydzień za tygodniem. Aż wreszcie wysłałem go.

Ponieważ się zbliżają święta Bożego Narodzenia, więc Wam na Dzieciątko winszuję wszystkiego dobrego, przede wszystkim zdrowia i szczęśliwości i abyśmy się po śmierci w niebie oglądać mogli. Tam nie będzie żadnych udręczeń, które nas na tej smutnej ziemi zewsząd otaczają.

To ta choroba, która mię w drodze daleko od wszystkich znajomych napadła w Sandomierzu, szczęśliwie minęła. Ale mnie tak zniszczyła, że byłem do cienia podobny; bo sobie przedstawcie: leżeć w szpitalu dwa a w klasztorze jeden miesiąc, a tu dzień i noc co chwilę, co nieomal dziesięć minut z człowieka się leje krew i gnój. To była taka strugówka, jakiej świat ani ten stary tatulek z chałupki na Piszczalowcu nie widzieli. Nieraz ani wstać nie mogłem; toż wszystko szło pod siebie w łóżko. A przy tym doktorzy i służba mię bezmiłosiernie głodzili, twierdząc, że to na krwawą dyzenterię jest jedyne lekarstwo. I gdyby to jeszcze miesiąc było potrawało, byłbym z pewnością już na tamtym świecie. Ale mi Pan Bóg dał żelazne zdrowie a w końcu M. B. Kalwaryjska, której obrazek wam tu załączam, przyczyniła się, iżem przetrzymał i wyzdrowiał. Nawet liszaje zniknęły. Ale cóż? Kiedy się znowu zaczynają teraz objawiać i to szpetne jak końskie. I o ile dawniej była biegunka,

o tyle teraz zaś zatwardzenie zaczyna mię męczyć. Przy tym jestem zaziębiony i głowa mię boli i słabizny. Toż zawsze coś jest, abyśmy nie myśleli, że jesteśmy w raju, jeno na chmurnej ziemi, gdzie jest płacz i ucisk i uciążliwa pielgrzymka. Ale dosyć już o tym.

W Kole jestem od dwóch miesięcy. Byłem tu już całą przeszłą zimę, przyjechawszy na początku grudnia. Z klasztoru dochodziłem do dwóch gimnazjów męskiego i żeńskiego, gdzie jako profesor udzielałem łaciny i niemieckiego języka, otrzymując 1200 m. wynagrodzenia miesięcznie. Ale w tym roku nie uczę, choć mię prosili; bo wiek ma swoje prawa. Zresztą po śmierci ks. Goleni odbiegła mię chęć do wszystkiego. Ani mi się już pisać nie chce i ręce drżą. Mimo to wydrukowałem w tym roku książkę »Listy o wymowie«, za którą mi zapłacono tysiąc m. i którą wam przy sposobności pošlę. A za rękopis — wiecie ten, coście się dziwili, skąd to mam, gdy wam rozdziały zacząłem wymieniać — »Człowiek w raju, na ziemi i w niebie« — ofiaruje mi drukarnia jedna 9000 m. Toż klasztor będzie miał zysk.

Napiszcie mi też, na co ks. Golenia umarł; bo o wszystkim piszecie, a nie o tym, o co mi chodzi. I czy zdrowi jesteście albo jeszcze się ruszacie jak te dwa krzaczki zeschnięte. Tak to na starość; ja tak długo żyć nie będę, choć za miłosierdziem Bożym jeszcze 20 lat mógłbym.

To Koło leży na północ³⁸⁾ za Warszawą daleko i jest miasteczkiem powiatowym jak Koźle, dosyć przyjemne, zewsząd dokoła wodami Warty otoczone, ale dużo Żydów. Klasztor piękny z wielkim wspaniałym kościołem, ale kapłanów klasztornych jest nas tylko dwóch, bo trzeci przeszedł na księdza świeckiego. O tyle mi się tu mniej podoba, że to jest bardzo daleko od Śląska. Więc może na lato poproszę, aby mnie do południowo-zachodniej Polski przesadzono; choć ostatecznie jużbym wolał siedzieć na jednym miejscu. Cóż radzicie? Tam by było bliżej Śląska a tu się czuję jak na obczyźnie i z nikim nie mam znajomości, tylko w klasztorze siedzę; bo się już wątpić nie chce.

Sam klasztor jest obszerny jak cztery stodoły Makoszowe, ale pusty; bo starzy zakonnicy powymierali a młodszych

³⁸⁾ Pomyłka, gdyż Koło leży na zachód od Warszawy.

mało. U nas się zaczyna prawdziwa zima. Śniegu jeszcze wiele nie ma, trochę poproszyło; za to mocne mrozy wzięły i ścięły rzekę Wartę. A tu węgla nie ma; tylko się torfem w piecach pali. Ale i to dobrze, choć się smędzi.

Choć-eście mnie zapraszali do domu, to jednak teraz nie mógłbym przyjechać. Teraz jazda koleją jest jazdą na życie i śmierć. O każde miejsce trzeba w banie³⁹⁾ walkę na pięści staczać. Gdy w Krakowie siadałem na pociąg do Warszawy, to mię tak poturbowano jeszcze chorobą osłabionego, że niemal ducha nie puścił, a w wagonach, to jak harenki⁴⁰⁾ w beczce. Przy tym w zimie jak łatwo się zaziębić, bo z Koła przez Warszawę i Częstochowę aż na Śląsk to w obecnych warunkach przynajmniej tydzień jechać trzeba a przez Poznań jeszcze dłużej. Toż już zaczekamy aż w lecie. To wtedy zamierzam w Witosławicach kurować się przez cały miesiąc. Ale już szpaków z tatulkim na stawach gonić i straszyć nie będziemy ani z Józefem i Anną malin w lesie szukać i zbierać nie będziemy, bo mię cała jedna ta lewa słabizna bardzo boli. Toż skakać już nie można.

Czy tam u Was też taka drożyzna? Niedawno temu kazałem się w mieście ostrzyć i ogolić. Taksa: 20 marek polskich. Gdzież te czasy, kiedy się za to płaciło 20 fenygów. Za flaszkę $\frac{3}{4}$ litrową gorzałki 50% trzeba płacić 100 marek, tam gdzie stryk Ignac — niech im P. Bóg da niebo — ani jednej marki nie byliby płacili. Toć nie dziw, że lud cierpi; ale cierpi chętnie; bo wie, że w Polsce ma przynajmniej wiarę katolicką i że woli biedę aniżeli rządy masońsko-wanielickie w Prusach lub bolszewicko-bezbożne w Rosji. To teraz tak, że u nas rząd za robotę około fabrykacji jednej marki papierowej musi płacić robotnikowi 5 m. Za to czernidło, którym piszę, zapłaciłem małą flaszeczkę 10 m. Toż już wszyscy wzdychamy za lepszymi czasami, a przede wszystkim za tym, aby Śląsk należał do Polski. Nosilem się z zamiarem jechać do Witosławic na plebiscyt w styczniu, aby głos swój oddać; ale się boję jazdy i zimy. Bóg i beze mnie sprawi, że się Śląsk opowie przy Polsce.

³⁹⁾ Narzeczowe: kolej.

⁴⁰⁾ Narzeczowe: śledzie.

Załączam tu list dla Ferdynanda⁴¹⁾ z prośbą, aby odebrał z Pawłowiczek moje rzeczy i schował; bo się aż wstydzę, żem z Niemcem wanielikiem⁴²⁾ wchodził w interesa i rzeczy u niego schował, choć to adwokat. Dlatego bądźcie łaskawi dać Ferdynandowi jeszcze to drugie pismo moje u was schowane, o którym mówiłem, że zawiera pokwitowanie pieniężne. Cała rzecz już jest przestarzała i nie przedstawia wiele wartości. Chciałem Was jeno o tę przysługę prosić, ale Was w starości nie chcę trudzić jazdą w zimie do Pawłowiczek. Ale nim ten drugi list mój Ferdynandowi doręczycie, wprzód go otwórzcie i tak otwarty mu go dajcie. Ferdynand zaraz ma jechać do Pawłowiczek, aby jeszcze przed świętami rzecz zakończyć.

Koniec. Ponawiam życzenia na święta i na nowy rok 1921, dla Was, mili rodzice, i dla całej rodziny i piszę się Waszym wiernym synem E. F. Stateczny. Koło, klasztor."

Jak daleki jest duch i styl tego listu nie tylko od *Samoobrony*, lecz nawet od zacytowanego poprzednio listu z Wronek z r. 1910. Nie ma w nim żadnych narzekañ i porównywań się z Jobem, choćby tu były więcej uzasadnione, jest natomiast nie rezygnacja, lecz pokorne zdanie się na wolę Boską. Jest jednakże coś więcej, co mógłby ktoś uważać za objaw zniedołężniałej starości i wyczerpania umysłowego, niesłusznie, gdyż Stateczny miał dopiero 56 lat życia. Z większą słuszością dopatrzyć się można w tym tęsknoty do „kraju lat dzieciennych”, przychodzącej zwykle podobno przed śmiercią. Wyraża się ona nie tylko wielu szczegółowymi wspomnieniami i użyciem narzeczowych form i wyrażań, przedtem rzadkich u Statecznego, lecz także żywym zainteresowaniem się ludźmi z rodzinnej miejscowości, choćby poprzednio z nimi mało sympatyzował, jak np. z ks. Golenią.

Poza tym uderza prostota stylu i swobodne, prawie humorem zaprawione opisy swych dolegliwości. To wszystko razem wzięte pozwala nam określić psychikę autora listu jako zwyczajstwo chłopca górnośląskiego nad dwoma innymi obliczami duchowymi Statecznego, chociaż o nich nie zapomniał. Zakonnik odzywa się w opisie klasztoru i stosunków w nim, syn wieku w poleceniach dla szwagra.

⁴¹⁾ Szwagier.

⁴²⁾ Ewangelikiem.

Zdrowie jednak, choć pozorne, wracało, wracała i dawna ochota do podróży, skoro wbrew listowi, wybrał się o. Euzebiusz Stateczny pod koniec lutego 1921 r. na plebiscyt na Śląsk. Z listu o. Innocentego, gwardiana klasztoru w Leżajsku, do mnie czerpię wiadomości o tej ostatniej podróży. Wybrał się z Koła drogą okrężną na Leżajsk, gdyż chciał odwiedzić prowincjała Zakonu, przebywającego w tym klasztorze, może w celu omówienia swego przeniesienia się w okolice bliższe Śląska. Wobec widocznego osłabienia i dość jeszcze dalekiego terminu plebiscytu wybadano go, że jest rekonwalescentem i zatrzymano na kilkodniowy wypoczynek, lecz już w czwartym dniu zachorował, przy czym ogarnęła go taka śpiączka, że zaledwie na jeden dzień odzyskał przytomność i przyjął Ostatnie Sakramenta, a po dwu dniach nieprzytomności umarł dnia 6 marca 1921 r. Pochowano go na cmentarzu klasztornym w Leżajsku.

Nie w Osiecznie więc spoczął w grobie błędny rycerz nie-dościgłego ideału, który pościg za nim przypłacił rozdarcie duszy przez lat kilkanaście. Nie jest rzeczą biografa świeckiego wyrokować, czy grób ten stał się chwalebnym w Panu, co najwyżej mógłby tylko przywrócić temu życzeniu udręczonego wędrówką doczesną dziecięcia wieku!

VIII. PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ Z LAT 1902—1920

Ponieważ w poprzednich rozdziałach dorywczo tylko była mowa o twórczości literackiej Statecznego, z której głównie zajmowałem się *Samoobroną* jako materiałem biograficznym, dokonamy teraz przeglądu całego drukowanego i rękopisemnego dorobku Statecznego z lat 1902—1920, dzieląc go dla przejrzystości na pokrewne treściowo grupy.

Pierwszą z nich stanowią większe rozprawy, należące do literatury franciszkańskiej. Najdłużej, gdyż 7 lat według *Samoobrony*, a według recenzji w „Kurjerze Poznańskim” nr 6 z dnia 9 I 1913 lat 10 pracował nad *Żywotem św. Franciszka z Asyżu*. Datę rozpoczęcia pracy można ustalić na rok 1896, gdy w „Gazecie Opolskiej” drukował w nrze 95 i 96 z t. r. artykuł p. t. *Z Asyżu*. Przed rokiem 1900 musiało być gotowych przynajmniej 7 rozdziałów w zasadniczym kształcie, skoro w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900 na str. 226 i 255—257 pojawia się rozdział VII książkowego wydania wprawdzie bez uwag i adnotacji p. t.

Św. Franciszek z Asyżu. Przed r. 1904 było całe dzieło gotowe wraz z uwagami, jak to stwierdza wydrukowany w tej samej „Gazecie Kościelnej” z r. 1904 na str. 61—62, 78—80, 109—110 i 160—162 późniejszy książkowy rozdział XXIX p. t. *Dramat miłości na górze Alwernii* (1224). Wprawdzie rozdział ten uzupełnił potem Stateczny paru obszerniejszymi uwagami i poczynił kilka poprawek stylistycznych, lecz o gruntownej przeróbce nie ma mowy. Początkowe rozdziały, co można stwierdzić na rozdziale VII, uległy większym poprawkom. Ten sam rozdział XXIX ukazał się po raz drugi w „Przeglądzie Kościelnym” t. X z 1907 r., str. 241—262, w którym poprzednio w t. VI z r. 1904, str. 140—153 drukowano rozdz. XVIII p. t. *Odpust Porcyunkuli*, a w t. X z r. 1906, str. 133—144 rozdział XXVI p. t. *Założenie Trzeci go Zakonu św. Franciszka z Asyżu*, mający w książkowym wydaniu nowy tytuł: *Nowy ruch religijny i społeczny czyli Założenie Trzeciego Zakonu*. Całość przejrzana, stylistycznie tu i ówdzie poprawiona, a w uwagach uzupełniona literaturą franciszkańską nowszą aż po rok 1911, wyszła pod tyt. *Żywot św. Franciszka z Asyżu*, opracował na podstawie źródłowych materiałów O. Euzebiusz Stateczny Br. Mn., Poznań, Nakładem i drukiem Księgarni św. Wojciecha 1912, str. 715 + 5 nlb. Drugie wydanie bez uwag ukazało się w tym samym nakładzie w r. 1926. Aprobatę kościelną otrzymało dzieło w dniach 7 wzgl. 8 stycznia 1912 r.

Dopełnieniem *Żywotu* jest drugie dzieło p. t. *Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka z Asyżu i literatury franciszkańskiej*, napisał ks. Euzebiusz Stateczny O. F. M. Nakładem i czcionkami Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu 1913, str. 587 + 1 nlb. Czas powstania tej książki trudno jest oznaczyć dokładnie, zwłaszcza że 2 rozdziały jej należą raczej do żywotu św. Franciszka i to te właśnie, na podstawie których można by poniekąd daty ustalać. W *Samoobronie* nie ma o tej książce wzmianki; przypuszczać więc należy, że surowy materiał do niej zbierał autor bodaj że od chwili rozpoczęcia pracy nad literaturą franciszkańską, a kontynuował opracowywanie go niemal do ostatniej chwili, w każdym razie zaś do końca r. 1912. Jeżeli przyjmujemy, że wspomniane poprzednio 2 rozdziały nie należały pierwotnie do *Żywotu św. Franciszka*, lecz zostały opracowane dla *Rozbioru krytycznego*, to należałoby zaczęcie pracy nad tym dziełem naznaczyć co najmniej na rok 1906, al-

bowiem w t. XI Przeglądu Kościelnego z I półr. 1907 r. na str. 81—96 i 175—187 znajdujemy rozdział I książkowego wyd.: *Pisma św. Franciszka z Asyżu*; w r. zaś 1910 w IV t. Miesięcznika Kościelnego na str. 166—167, 265—276 i 379—386 rozdział XXVIII wydania książkowego: *Św. Franciszek na tle swojego wieku i społeczeństwa*, w latach zaś 1912 i 1913 w tym samym czasopiśmie w t. VIII str. 388—390, t. IX str. 469—471 i t. X str. 72—74 części końcowe rozdz. XXVII, *Z bibliografii rozumowanej literatury franciszkańskiej*, jako recenzje odnośnych dzieł z tego zakresu, wydanych w tym czasie. Aprobata kościelna całości pochodzi z dnia 22 lipca i 30 sierpnia 1913 r. Jeżeli te daty mają być miarodajne, to przeważna część pracy nad tym dziełem przypadałaby na lata 1906—1910.

Jaśniejsza jest geneza innych dzieł pokrewnej treści, które powstały bądź pomiędzy obu dziełami o św. Franciszku, bądź po nich. Wartością naukową zbliża się do nich żywot św. Bonawentury. Opracowany został podczas trzymiesięcznego pobytu w Quaracchi na przełomie r. 1901—1902, w języku łacińskim, a ukazał się na str. 1—73 tomu X „*Doctoris Seraphici S. Bonaventurae S. R. E. Episcopi Cardinalis Opera omnia iussu et auctoritate Rmi P. David Fleming Totius Ordinis Minorum S. P. Francisci Vicarii generalis edita studio et cura P. P. Collegii a S. Bonaventura ad plurimos codices M. SS. emendata anecdotis aucta prolegomenis scholiis notisque illustrata. Ad Claras Aquas (Quaracchi) prope Florentiam. Ex typographia Collegii S. Bonaventurae 1902.*” Autorstwo wyłączne Statecznego odnosi się tylko do rozprawy II *De vita Seraphici Doctoris* na str. 39—73 t. X wspomnianego wydania pism św. Bonawentury, natomiast rozp. I *De scriptis Seraphici Doctoris* (str. 1—39 t. X tegoż wydania) jest tylko w części dziełem Statecznego, o czym zresztą świadczy jej szata stylistyczna łacińska. Współtwórcą był tu o. Ignacy Jeiler, co przyznaje sam Stateczny na str. 147 polskiego wydania słowami: „Redakcję niniejszej części o pismach prowadził P. Ignatius Jeiler”, a w uwadze na str. 231 nazywa swój udział w tej części współpracownictwem.

Obie części przełożył na język polski w latach 1913 i 1914, przy czym zmienił ich porządek, dodał 2 ustępy w przedmowie i podzielił rzecz na więcej rozdziałów niż ich było w łacińskim opracowaniu (9 zam. 5 w życiorysie).

Przekład zaczął od części o pismach, która pod tyt.: *Pisma Doktora Serafickiego św. Bonawentury* ukazała się w. t. X Miesięcznika Kościelnego r. 1913 str. 163—172, 263—279 i 335—354, a do wydania polskiego całości weszła jako cz. II. Całość otrzymała kościelne imprimatur dnia 13 października 1914 r., wyszła zaś jako: *Żywot i pisma Doktora Serafickiego św. Bonawentury* napisał ks. Euzebiusz Stateczny O. F. M. Poznań 1915, str. 231 + 5 nlb.

Mniej samodzielne są dwie inne prace. Pierwsza z nich to *Żywot św. Antoniego z Padwy* napisał ks. Euzebiusz Stateczny Zakonu Braci Mniejszych. Bytom G.-S. Czcionkami »Katolika« spółki wyd. z ogr. odp. 1909, str. 212 + 2 nlb., który otrzymał aprobatę kościelną w dniach 13 czerwca wzgl. 13 i 14 lipca 1909 r. i powstał zapewne w tym roku. Dodatek do tego żywota p. t. *Źródła do żywota św. Antoniego z Padwy* ukazał się nieco wcześniej w „Unitas” miesięczniku kościelnym t. I str. 287—302⁴³). Książka jest wzorowana na żywocie św. Antoniego, napisanym przez franciszkanina włoskiego o. Mikołaja Dal Gal.⁴⁴)

Druga książka nosi tytuł: *Kobieta Tercyarką św. Franciszka z Asyżu w odrodzeniu społeczeństwa*, napisał ks. Euzebiusz Stateczny O. F. M. Lwów 1916. Nakładem Braci Mniejszych (O. O. Reformatorów). Drukarnia Udziałowa, Lwów, ul. Kopernika 1. 20, str. 154 + 2 nlb jako tomik XXIX Biblioteki Franciszkańskiej. Jest ona zapewne częścią rękopisu o tercjarstwie, o którym wspomina Stateczny w *Żywocie św. Bonawentury* na str. 231, a oparta jest o francuskie dziełko: *La femme, Tertiaire de St. François d'Assise. Lille... St. Augustin 1901*⁴⁵). Aprobatę zakonną otrzymała ona dnia 27 marca 1916 r., Konsystorza zaś krakowskiego dnia 13 kwietnia 1916, gdyż drukowana data: 1915 jest zapewne błędem drukarskim.

Druga grupa pism Statecznego z tego okresu obejmuje retorykę. Zaliczam do niej: kazania, przemowy, konferencje, oraz teorię wymowy, a uwzględniam przy niej jeszcze jedno zagadkowe nieco dzieło. Kazania i przemowy nie zostały zebrane w je-

⁴³) Czasopismo to od t. III wychodzi jako „Miesięcznik Kościelny (Unitas)“.

⁴⁴) *Żywot św. Bonawentury*, str. 230—231.

⁴⁵) *Kobieta tercjarką*, str. ostatnia.

dną całość, pojawiały się zaś w latach od 1910—1920 w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” gnieźnieńskiej. Powstawały one prawdopodobnie w czasie zbliżonym do daty druku; nie mogąc jednak ustalić dokładniej czasu powstania, wymieniam kazania porządkiem roku kościelnego, cyfry rzymskie w nawiasie podają tom „Nowej Biblioteki Kaznodziejskiej”. Kazań jest 28, a mianowicie: na niedzielę IV adwentu (XV str. 35—47), na niedzielę starozapustną (XXVII 89—96), mięsopustną (XXV 108—115), III postu (XXV 145—153), Wielkanocną (XXVII 185—192), I po Wielkanocy (XXV 240—247), II po Wielkanocy (XXIII 210—217), III po Wielkanocy (XXV 262—269), 2 na niedzielę IV po Wielkanocy (XXV 269—277 i XXVII 221—234), na V po Wielkanocy (XXIII 229—236), po Wniebowstąpieniu (XXVI 1—8), na II po Świątkach (XX 5—19), III po Świątkach (XXII 174—185), V po Świątkach (XXII 65—78), VI po Świątkach (XXII 78—89), X po Świątkach (XXXII 121—132), XI po Świątkach (XXII 132—142), XV po Świątkach (XXII 174—185), 2 na XIX po Świątkach (XIV 294—306 i XXII 217—226), na XXIII po Świątkach (XXII 273—282), na uroczystość M. B. Różańcowej (XIV 397—409), na św. Jadwigę (XIV 409—419), na św. Franciszka z Asyżu (XIV 420—430), na Wszystkich Świętych (XIV 453—465), na Dzień Zaduszny (VIII 421—430) i przemowa na zakończenie starego roku (XV 69—75). Przemowy okolicznościowe w liczbie 8 są następujące: do pątników wybierających się na miejsce cudowne (XIV 502—506), do pątników przybyłych na miejsce cudowne (XIX 248—251), do pątników opuszczających miejsce cudowne (XIX 343—347), na poświęcenie sztandaru robotniczego (XIV 331—335), na poświęcenie dzwonów (XIV 335—339), na poświęcenie cmentarza (XIV 340—344), na poświęcenie wieży kościelnej (XIV 440—445) i na poświęcenie organów (XIV, 507—512).

Pokrewnym gatunkiem literackim są *Konferencje o rzeczach ostatecznych*, które ukazują się w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” od grudnia 1916 do listopada 1920 (t. XXI, str. 93—96, 139—145, 278—280, 334—336; XXII 58—64, 119—120, 162—166, 214—216, 258—264, 302—304; XXIII 62—64, 100—104, 279—289; XXIV 36—40, 76—80, 111—112, 145—148, 176—179, 215—219; XXV 85—88, 126—128, 247—256, 286—288; XXVI 43—48, 70—72, 100—104, 131—136, 162—168, 195—200; XXVII 41—47, 83—88, 216—220, 267—268; XXVIII

58—64, 126—128, 178—192). Powstanie tych konferencji można odnieść przypuszczalnie do roku 1915 lub 1916.

Tematem zbliżało się do nich inne dzieło niedrukowane, a mianowicie: *Człowiek w raju, na ziemi i w niebie*. Rękopis tej pracy, gotowy do druku w kilku grubych zeszytach, widział pod koniec r. 1914 ks. infułat Krzeszkiewicz, który na moją prośbę raczył sprawdzić w konsystorzu gnieźnieńskim, że autor przedłożył ją do cenzury duchownej w r. 1915 i otrzymał z powrotem. Jak wiemy z listu do rodziców, w r. 1920 ułożył się z Księgarnią św. Wojciecha w Poznaniu o druk tego dzieła, które, widocznie, musiało mieć aprobatę duchowną; lecz z powodu rychłej śmierci o. Statecznego wydawnictwa nie podjęto. W biurze księgarni przeleżał rękopis do dnia 5 listopada 1927 r., w którym na życzenie wydany został o. Grzegorzowi Moczygębie z Zak. Br. Mn., dziś gwardianowi w Rybniku. Ani ja, ani proszony o to przeze mnie ks. prałat dr Szramek nie zdołaliśmy się dowiedzieć czegoś pewnego o losach rękopisu, a tym mniej otrzymać go do wglądu.

Do teorii wymowy odnoszą się listy o wymowie. Pierwszy z nich powstał jeszcze we Lwowie i był drukowany w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900, a więc powstał około tego czasu. Do tej pracy powrócił Stateczny na Winiarach w r. 1913 i 1914 i drukował wszystkie już listy w liczbie 5, w czym I wygładzony, w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” z tych lat (t. XIV 88—100, 173—180, 258—268, 349—356, 446—452, 516—532; XV 93—104, 195—200, 304—308, 434—436, 523—524, 618—620; XVI 96—100, 171—172, 280—284, 390—396, 492—496, 592—601). Wydanie książkowe, z aprobatą kościelną z 27 wzgl. 29 września 1919, wyszło pt. ks. Euzebiusz Stateczny O. F. M.: *Listy o wymowie*. Nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań-Warszawa 1920, str. VIII 173 + 11 nlb.

Grupa trzecia pism obejmuje utwory beletrystyczno-ludowe czyli *Obrazki ze Śląska Polskiego*. Powstawały one w okresie od r. 1897—1902, a może i 1903. Pierwszym z obrazków był *Kopciuszek Śląski*, o którym już mówiłem. O dalszych, prócz 5, trudno coś pewnego powiedzieć, gdyż autor zarówno w *Samoobronie* jak w notatce bibliograficznej dla o. Czesława Bogdańskiego najwidoczniej bałamuci. Píše więc, że miał je drukować pod pseudonimem: Staropolanin, co jest słuszne tylko w odniesieniu do *Kopciuszka Śląskiego* i 5 obrazków, wydanych

książkowo, inne natomiast ukazywały się w „Górnoślazaku” z r. 1902 i 1903 bezimiennie. Tymczasem Stateczny stale twierdzi, że drukował je w „Górnoślazaku” w latach 1900—1902, co jest niemożliwe choćby z tego względu, że pismo to poczęło wychodzić dopiero od dnia 15 grudnia 1901. W I półroczu 1904 r. nie znalazłem w „Górnoślazaku” już nic Statecznego. Również druga notatka w wykazie bibliograficznym, jakoby *Nowele* drukował w r. 1898 w dodatku do „Gazety Opolskiej”, uchyla się spod kontroli. Miałem w rękę egzemplarz „Gazety Opolskiej”, będący w przechowaniu rodziny redaktora tego czasopisma, w którym były od czasu do czasu dodatki, lecz nowel tych nie zauważyłem.

Tak samo nie mogę rozstrzygnąć, ile Stateczny napisał i wydrukował obrazków. Parokrotnie twierdzi w *Samoobronie*, że było ich 30 i że wszystkie były drukowane w „Górnoślazaku”, lecz znowu w tych 2 rocznikach czasopisma, które miałem w ręku dzięki uprzejmości p. dyr. Tomasza Kowalczyka, znalazłem tylko połowę tej liczby. Ponieważ nie ma w tym egzemplarzu dodatku do „Górnoślazaka”, wychodzącego od czerwca 1902 r. p. t. „Rodzina Chrześcijańska”, trudno mi powiedzieć, czy dalsze obrazki nie były w nim drukowane. Są jednakże pewne wskazówki, pozwalające nam ocenić, czy wiadomość Statecznego jest ścisła.

Zanim o nich powiem, podaję wykaz tych obrazków, które znalazłem w I i II roczniku „Górnoślazaka”. Są to: 1) *Dzielny gospodarz z Siołkowic* w nr. 204—207 z dnia 3—6 września 1902, 2) *Ksiądz Jan* w nr. 208—212 między 7—12 września 1902 r., 3) *Nowe pokolenie* w nrze 213—215, 217—221 z dni 13—23 września 1902 r., 4) *Walka kulturalna* (przeróbka *Kopciuszka Śląskiego*) w nrze 222—225 z dni 24—27 września 1902 r., 5) *Na łące śląskiej* w nrze 228—230 z dnia 1—3 października 1902 r., 6) *Spór* w nr. 233—235, 240, 242—243 i 245 z dni 7—21 października 1902 r., 7) *Opowiadanie dziadka* w nr. 248 do 249, 251—254 z dnia 24—31 października 1902 r., 8) *Widok* w nrach 255, 257—258, 260 między 1—8 listopada 1902 r., 9) *Przedstawienie teatralne* w nr. 262—265 z dni 12—14 listopada 1902 r., 10) *Gromada w Rzeczycach* w nr. 272—276, 282—283 z dni 23—28 listopada i 5—6 grudnia 1902 r., 11) *Wigilia górnika* w dodatku do nr. 298 z 25 grudnia 1902 r., której autorstwo można uważać za niepewne, 12) *Wśród dymu*

i ciemności w nr. 23—34, 36—51 między 11 lutego a 4 marca 1903 r., 13) *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa* w nr. 98—101 z dni 2—5 maja 1903 r., 14) *Zdrajca* w nr. 102—107 z dn. 6—12 maja 1903 r., 15) *Mężna niewiasta* w nr. 108—111 i 113—115 między 13—21 maja 1903 r., 16) *Spuścizna* w nr. 116, 118, 120—122, 124, 126—129, 134 między 21 maja a 16 czerwca 1903 r., 17) *Pielgrzymka górnośląska* w nr. 201—206, 208 do 211, 213—215 i 217 między 5 a 24 września 1903 r. Inne utwory tego rodzaju w „Górnoślązaku” nie mogą, moim zdaniem, uchodzić na pewno za opowieści Statecznego.

Z wymienionych tu obrazków 5 wyszło w wydaniu książkowym p. t. *Obrazki ze Śląska Polskiego* napisał Staropolański. Tom I. Katowice 1903. Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«. Paginacja jest odrębna dla każdego z tych 5 utworów, a mianowicie: *Dzielny gospodarz z Siołkowic*, str. 28, *Ksiądz Jan*, str. 31, *Nowe pokolenie*, str. 50, *Na łące śląskiej*, str. 17 i *Spór*, str. 49. *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa* przedrukowane zostało w jakimś kalendarzu lwowskim na rok 1904 z podpisem E. St.

Na okładce *Żywota św. Antoniego z Padwy* w r. 1909 zapowiedział autor wydanie dalszych tomików t. j. II—IV *Obrazków ze Śląska Polskiego* i to pozwala nam w przybliżeniu określić, czy wymienione poprzednio obrazki w liczbie 16 wzgl. 17 wystarczałyby na wypełnienie 4 tomików wielkości pierwszego. Tomik I wypełnia 5 obrazków, które w „Górnoślązaku” zajęły 27 odcinków, pozostaje 11 wzgl. 12 obrazków, jeżeli doliczymy także wątpliwą *Wigilję Górnika*, które zajęły 90 wzgl. 94 odcinków. Widzimy stąd, że wystarczało ich na 3 tomiki wielkości pierwszego t. j. objętości 175—200 stron. Jeżeli więc zapowiedź z r. 1909 uważać będziemy za ścisłą, a objętość trzech dalszych tomików *Obrazków* za przybliżoną do objętości t. I, to dojdziemy do wniosku, że drukowanych w „Górnoślązaku” obrazków więcej nie było, a liczba 30, jeżeli nie jest dowolnością autora, odnosiłaby się może jeszcze do niedrukowanych, których nie znalazłem w spuściźnie rękopisemnej, chociaż są w niej urywki paru *Obrazków*.

Do grupy beletrystycznej zaliczyłbym także mimo wszystko rękopisemną *Samoobronę*, która powstawała za kilku nawrotami przeważnie w r. 1907, uzupełniona zaś została ostatecznie w lutym 1915 r. Pisał ją „drugi” Stateczny w chwilach „okru-

tnego rozłamania" i tym tłumaczy się także niezdecydowany jej rodzaj literacki, pośredni między pamiętnikiem a apologią, uwydatniający się także w wahaniach tytułowych. Pierwotnie brzmiał on: *Wnoszę skargę! Ciekawa Autoapologia w wieku największego rozkwitu chrystianizmu, Wyjątki z pamiętników starego księdza*, potem uległ sensacyjniejszemu przejakskawieniu. *Wnoszę skargę, Heroiczna i skandaliczna Samoobrona, Wypisy z pamiętnika starego księdza* napisał *St a t e c z n y - K o r c z e w s k i*. Ten tytuł wskazuje na pierwotne wzory: Platonową *Apologię Sokratesa* i Zoli *J'accuse*. Ciekawe jest także dla psychicznego nastroju autora, że nie zadowolił się napisaniem tych osobistych wynurzeń w jednym tylko języku, t. j. polskim, lecz przekładał je niemal równocześnie z oryginałem na język niemiecki i włoski. Tytuł włoski jest tłumaczeniem drugiego tytułu polskiego. Treściowo łączy się z *Samoobroną Samopotępieniem*, napisane w miesiącach letnich i wczesną jesienią 1915 r. (w każdym razie przed 20 października) i przełożone równocześnie na język włoski, a może także na niemiecki. Według zamiarów autora miało być ono częścią drugą poprzedniego dzieła i pierwotnie nosiło tytuł: »*Wnoszę Skargę*« *Ciekawa i skandaliczna Samoobrona Część druga. Wyjątki z pamiętnika starego Księdza* napisał *St a t e c z n y - K o r c z e w s k i*, potem zmieniło go na: *Samoobrona i Samopotępienie. Wyjątki z pamiętników starego Księdza* napisał *St a t e c z n y - K o r c z e w s k i*, *Część druga: Samopotępienie*. Pozostało również w rękopisie.

Czwartą grupę stanowią artykuły o charakterze publicystycznym, które należą do różnych działów tej gałęzi piśmiennictwa. Najobszerniejszym z drukowanych jest artykuł impresjonistyczny, który ukazał się na str. 348—362 w t. XI „Przeglądu Kościelnego” z r. 1907 p. t. *Z Wieży Liebicha* z opuszczeniem atoli najgorętszych patriotycznych ustępów. W parę lat później starał się autor o umieszczenie go w całości w „Miesięczniku Kościelnym”, lecz bezskutecznie. Z rękopisu wydrukował go w „Zaraniu Śląskim”, 1934, str. 10—19 i 76—81. Tendencję patriotyczną mają także dwa artykuły o Guarapuavie, a mianowicie: *Guarapuava* w dodatkach do nr. 246, 254 i 263 „Dziennika Poznańskiego” z r. 1909 i *Obrona Guarapuavy* w dodatkach do nr. 78, 80 i 84 tego samego dziennika z r. 1910. Z patriotycznych pobudek wpływały również drobne artykuły umieszczane bez podpisu w drukowanych jako manuskrypt dla

użytku pism katolickich „Wiadomościach Apologetycznych”, które wydawał ks. dr Taczak w Gnieźnie. Autorstwo 3 z nich stwierdził Stateczny własnoręcznym dopiskiem atramentowym; są to: *Brak charakterów* w nr. 14 oraz *Wobec znaków czasu i Kształcenie charakterów* w nr. 16 z r. 1913. Na podstawie wskazówek p. dr Walentego Statecznego przypisać możemy mu również artykuł, podpisany pseudonimem Książd p. t. *Walka o duszę ludu polskiego*, przedrukowany w nr. 135 „Nowin Raciborskich” z r. 1911 z „Górnoślązaka”. Więcej aktualne wydają się nieznane mi: *Kwestia starozakonna w Nowej Polsce* w „Słowie Kujawskim” z r. 1919 i *Co robić z cerkwią na Nowym rynku?* w „Gazecie Kujawskiej” z r. 1919. Największym, lecz nieskończonym wynurzeniem publicystycznym są pozostające dotąd w rękopisie *Rozmyślenia z r. 1914 i 1915*, zaczęte w Potulicach w sierpniu 1914, a urywające się na wypadkach z października 1914, spisane zaś na 44 stronicach arkuszowych. Autor nie drukował ich nigdzie, powodem była może późniejsza refleksja, wyrażająca się dopiskiem: „Poczucia heretyckiego nastroju!!!” i „Sensationes haereticæ pravitatîs — e converso!!!”

Inny dział artykułów zajmuje się zagadnieniami religijnymi i kościelnymi, często doraźnie aktualnymi; są to: nastrojowe *Godło Krzyża* w t. II „Unitas” (1909) str. 246—251, *Hiszpania i Watykan* w t. IV „Miesięcznika Kościeln.” str. 245—251, *Z powodu encykliki papieskiej o św. Karolu Boromeuszu* tamże t. IV (1910), str. 351—357, *Tragedia jasnogórska*, tamże, t. V (1911), str. 12—19, *Protest zbiorowy Ojców Jezuitów wygnanych z Portugalii przez rewolucję r. 1910*, tamże t. V (1911), str. 161—168 i *Początki kongresów eucharystycznych*, tamże t. VIII (1912), str. 133—135.

Zagadnieniom społecznym poświęca Stateczny szereg rozpraw, z których najwcześniejszą i odrębną od reszty swoim tonem jest zachowany ułamkowo w rękopisie *Katechizm socjalistyczny* z czerwca 1906. Do tego zagadnienia wraca Stateczny w dwu rozprawach późniejszych, zbliżonych poniekąd do *Katechizmu* formą, lecz odmiennych tendencją, a mianowicie: *Hasła socjalistyczne a podstawowe prawdy chrześcijańskie* w Mies. Kośc. VII (1912), str. 356—371 i 442—451, oraz niedokończona *Idea państwa w systemie socjalistycznym* tamże t. XII, str. 153—163. Do innego ruchu społecznego, francuskiego, odnoszą się 2 rozprawy: »Sillon« *we Francji* w t. IV Mies. Kośc. (1910),

str. 433—443 i *Demokracja chrześcijańska w systemie społecznym sillonistów francuskich* tamże, t. VI (1911), str. 249—257. Z nimi łączy się *Przysięga antymodernistyczna a wiedza teologiczna*, tamże t. VI (1911), str. 1—9, której kontynuacją w innym kierunku jest *Modernizm literacki* w III roczniku „Filarety” poznańskiego i w osobnej odbitce, Poznań 1913, str. 20.

Rozprawy, odnoszące się do „Dobrego Pasterza”, wymieniłem już poprzednio, tak samo wspomniałem już o liście otwartym do Józefa Biniszkiwicza, umieszczonym w nrze 4 „Gazety Robotniczej” z dnia 18 stycznia 1919 r.

Wreszcie wspomnieć należy o recenzjach wielu dzieł i broszur w „Miesięczniku Kościelnym” z r. 1912 i 1913, a mianowicie w t. VIII na str. 388—9, VIII str. 470—473, IX str. 67—71, 386—9, 469—474, X str. 72—74, 149—151, 228—230, oraz t. VIII 474—478, IX str. 75—76, 154—157, 233—237, X str. 151—159, 230—232.

Osobno potraktować należy broszurę p. t. P. Eusebius Stateczny, *De primaria calamitate sociali: Falsificatio esculentorum et poculentorum*. Polonice-Germanice-Latine. 1915. Drukarnia „Nowin Raciborskich” w Raciborzu, str. 20, chociaż treściowo łączy się z niektórymi ustępami *Samoobrony i Rozmyślań z r. 1914 i 1915*. Wątpliwości nastroczają się tutaj zarówno co do ilości wydań jak daty powstania. W *Rozmyślniach* twierdzi Stateczny, przytoczywszy tekst polski tej broszury: „Takie uwagi poczyniłem w maju b. r. w liście otwartym wydrukowanym w czerwcu w Bytomiu. Niestety, wybuch wojny przeszkodził rozsyłce listu tego do kół miarodajnych świata. Inter arma musae silent!” Jakkolwiek przytoczony ustęp treścią swoją nasuwał dość powodów, aby mu nie wierzyć, próbowałem dowiedzieć się, czy nie było rzeczywiście takiego wydania. Wynik badań, jak można było przewidywać, zaprzeczył temu. W wydaniu raciborskim, czyli jedynym istniejącym, tekst polski ma datę: Witosławice p. Wronin G.-Śl. dn. 1 grudnia 1915 (niewątpliwie mylną zamiast 1914), niemiecki: Goruszki p. Görchen, Prov. Posen am 1. I. 1915, łaciński jest bez daty. Brulion tekstu polskiego ma kilka dat, z której dwie pisane atramentem: Goruszki p. Görchen, Prov. Posen, 1. Oct. 1914 (nie wyrażnie) i Witosławice G.-Śl. p. Wronin 1 lipca 1914, przekreślił autor ołówkiem chemicznym, zmieniając je na: Winiary pod Poznaniem, dn. 1 kwietnia 1914, a następnie na: Witosła-

wice p. Wronin G.-Śl. dnia 15 lipca 1914. Tekst niemiecki w rękopisie ma dwie kolejne daty atramentem pisane: Goruszki p. Görchen, Prov. Posen am 1. Januar 1915, 1. August 1914 i ołówkiem 15. i 1. August zamiast pierwotnego: Ju... Tekst łaciński w rękopisie kończył się datą: Witosławice p. Wronin, Silesia Alta 1. Octobris 1914, którą ołówkiem chemicznym poprawił autor na 15. Julii 1914.

Te same twierdzenia napotykamy w *Samopotępieniu*, w którym również powtarza całą broszurę o fałszowaniu środków spożywczych, łącząc ją w związek przyczynowy z listem do papieża Piusa X o najnowszym kształcie diabła. Ale jak gdyby zapominając, że ten list napisał w kwietniu 1914, mówi, że broszurę napisał w marcu 1914, chociaż parę wierszy przedtem zakończył ją datą: Witosławice, dnia 1 czerwca 1914 r., niby jako datą rozsyłki. I tutaj więc wyraźna chęć zatarcia rzeczywistej daty.

Jakiż stąd wniosek? Niewątpliwie, prawdziwe jest oznaczenie czasu pierwsze w tekście polskim i łacińskim, zwłaszcza że atrament przeważnej części tekstu polskiego jest ten sam, co i tej daty, t. j. 1 października 1914. Miejscem powstania broszury są najprawdopodobniej Potulice, które autor stara się zataić, może z obawy przed rewizjami pruskimi, które zresztą się odbyły; dlatego podaje od początku inne miejscowości, a w następstwie tej mistyfikacji zmienia także datyienne, a nawet posuwa ją o tyle, że tekst wciela w *Rozmyślenia* jakoby napisany o kilka miesięcy wcześniej, przy czym jedna tylko z tylu dat na brulionach (1 kwietnia 1914) zbliża się do twierdzenia *Rozmyślań*, wszystkie zaś inne wskazują na czas późniejszy.

IX. PISMA ŁACIŃSKIE

Z pism łacińskich Statecznego ukazała się najwcześniej w druku mowa, wygłoszona 5 października 1895 na otwarciu r. szk. w kolegium św. Antoniego w Rzymie na temat: *De consolatione scientiae*. Nie tylko tytułem i tematem, lecz także nieukrywaną zależnością myśli zbliża się do głośnego dzieła Boecjusza *De consolatione philosophiae*, czerpiąc zarówno z niego jak z Pisma św., z św. Augustyna, św. Bonawentury i innych cytaty dla nadania wagi uwieleniu dla nauki i wiedzy. Mimo zasadniczego hołdu do nowożytnej kultury widzi autor niebez-

pieczeństwa współczesności, zagrażające nauce, a zwłaszcza powierzchowność, wynikającą z nadmiaru książek encyklopedycznych i dzienników, które siłą rzeczy odwodzą umysł od głębszych studiów, kierując go ku aktualnościom tylko. Nie zaprzecza, że postęp wiedzy mógł się przyczynić do obecnego stanu niewiary, sceptycyzmu i klęsk społecznych, lecz sądzi, że zło nie tkwi w naturze samej wiedzy, ale w złej woli ludzi nią się posługujących. Dlatego słuchaczom poleca jako wzór św. Franciszka. Myśli wyraża językiem łacińskim, używanym w klasztorach włoskich, co świadczyłoby o słabym wpływie nauki tego języka z gimnazjum raciborskiego. Język to daleki od poprawności klasycznej, często są to tylko słowa łacińskie. Próbkę i to nie najjaskrawszą tego języka daje następujący ustęp: „Non est negandum scientias hodie cum febris excoli; si vero motiva cur colantur inspiciamus attentius, prae rubore deijcere in terram oculos tenemur. Vere! res in saeculo male procedit. Scientiae luctuosis temporibus nostris factae sunt scenicae metriculae. Coluntur, ut iis ambitiones alantur; ut gradus sociales, honores, divitiae, dignitates, favores, fama adquirantur. Eheu! consolationi cynicae et ignobili praebent occasionem, quae sunt reginae et filiae spiritus! Consolatio indigna christiano, inconveniens viro hauritur ex fructu comparato sudore generationum integrarum. Scientia vera et consolans a vobis longinqua est. Academiae vestrae, vestrae Universitates impletae sunt sapientibus, destitutae sunt sapientia; resonat in eis vox vestra vacua; scientiae nervus arescit; scepticismus triumphum agit laetum” (str. 19).

Podobną łaciną napisał również *Compendium Historiae Philosophiae*, o którym nie bez próżności powiada, że obok Sienkiewiczowskiego *Quo vadis* było jedyną książką polskiego pisarza widoczną wówczas w oknach wystawowych księgarni włoskich⁴⁶⁾. Obszerny ten podręcznik uwzględnia najszerzej filozofię chrześcijańską aż pod koniec wieków średnich, poświęcając jej przeszło 1/3 dzieła, podczas gdy na czasy nowożytne wypada nieco mniej, starożytność zajmuje przeszło 1/4. Dla Polaków interesujące jest, że filozofii polskiej XIX w. poświęca 4

⁴⁶⁾ Z Sienkiewiczem jako pisarz wystąpił razem, ale zupełnie przypadkowo jeszcze raz w tym samym roku, a mianowicie w kalendarzu na rok 1898 „Opolanin“, gdzie umieszczono opowiadanie Sienkiewicza: *Icek Papyceł kupuje las i Kopciuszka Śląskiego Statecznego* (Staropolanina).

stronice (632—636 i kilka wierszy na str. 638). Wspomniawszy trójkę wieszczów, zajmuje się szczegółowiej Trentowskim, Libelem, Kremerem, Cieszkowskim i Gołuchowskim, których zalicza do idealistów, natomiast o Hoene-Wrońskim mówi, że posługiwał się również metodą idealistyczną i był bardzo wybitnym matematykiem. Do pozytywistów zalicza Józefa Supińskiego, którego obszerniej omawia, podkreślając jego pierwszeństwo w sformułowaniu walki o byt przed Darwinem, Krupińskiego, Ochorowicza, Kozłowskiego, Potockiego, Mahrburga i Bol. Prusa.

Obszerną recenzję tej książki dał ks. prof. dr Fr. Gabryl w t. LX „Przeglądu Powszechnego” z r. 1898 na str. 112—120. Wytyka w niej jako wady: rzadkie powoływanie się na źródła, zbyt liczne rozdziały jak np. o religii Greków, błędy przy filozofii jońskiej i sofistach, oddzielne omawianie filozofii rzymskiej zamiast łącznie z grecką, błędne daty zwłaszcza zdobycia Konstantynopola i odkrycia Ameryki (ten zarzut niesłuszny, gdyż na str. 422 jest właściwa data), pomieszanie historii filozofii i Kościoła, pobieżne traktowanie niektórych ważnych filozofów. Osobną uwagę poświęca błędom językowym, a zwłaszcza w użyciu *consecutio temporum*. Usprawiedliwia jednak usterki ponieważ pracą nad książką w Rzymie, gdzie trudno o wszystkie źródła, a kończy twierdzeniem, że książka ma „wiele zalet, które nie pozwalają na ostry sąd.”

Z *Samoobrony* dowiadujemy się, że autor wykończył *Compendium* jeszcze w Wenecji, że jednakże w cenzurze przeleżała 3 lata, a nawet uchodziła za zaginioną i dopiero dzięki poparciu o. Fleminga została wydrukowana w roku 1898 kosztem przyjaciela Statecznego, Wincentego Genua, redaktora gazety „il Tempo”, późniejszego „il Giornale di Roma”.

Żywot św. Bonawentury powstał pierwotnie w języku łacińskim, podobnym, lecz poprawniejszym od innych dzieł Statecznego; może wpłynął na to przedmiot, może pomoc o. Jeilera, którego rękę jako redaktora znać zwłaszcza na części: *de scriptis Doctoris Seraphici*. Właściwie, należałoby to dzieło omówić w tym miejscu, lecz wydaje mi się bardziej celowe zająć się nim przy sposobności rozważania wartości dzieł o św. Franciszku.

Natomiast tekst łaciński *De primaria calamitate sociali: Falsificatio esculentorum et poculentorum* wykazuje cechy sty-

listyczne te same, które pojawiły się już w *De consolatione scientiae*. Autor nie tyle tłumaczy tekst polski na łacinę, ile przekłada niemal słowo za słowem, zatracając w śmiałości właściwą językowi łacińskiemu konkretność wyrażań.

Nie można powiedzieć, żeby pisma łacińskie o. Statecznego przyczyniały się naprawdę do pomnożenia jego sławy jako pisarza; co więcej, prócz żywotu św. Bonawentury nie dają podstawy do należytej oceny jego zdolności umysłowych. Język łaciński był mu czymś obcym, w co wczuć się i wżyć nie mógł mimo czytania w tylu autorach, piszących tym językiem.

X. NOWELE HAGIOGRAFICZNE

Z pism polskich, pomijając na razie artykuły w dziennikach, omówię najpierw *Pierwowzory*. Pod tym tytułem zamierzał w r. 1909 wydać o. Stateczny swoje obrazki hagiograficzne z pierwszych wieków chrześcijaństwa; siedem z nich drukował w r. 1899 i 1900 w lwowskiej „Gazecie Kościelnej”, ósmy prawdopodobnie kryje się w kazaniu *Św. Marcin*, który drukujemy z rękopisu w dodatku. Jest on dla celów kaznodziejskich przerobiony, lecz składniki pierwotnego opracowania występują jeszcze dość wyraźnie.

Pierwowzory były próbą na polu hagiografii, idącą zresztą równoległe z większym zamiarem monografii o św. Franciszku. W obu przedsięwzięciach widzimy zasadniczą tę samą chęć dania nowoczesnego ujęcia życiorysu świętego. Pomiędzy dwiema metodami opracowywania takiego żywotu, t. j. między naiwnym chociażby usystematyzowanym powtórzeniem legendy i nauko-wo-krytycznym przedstawieniem ustalonych i bezspornych szczegółów Stateczny nie zrobił właściwie wyboru, nie jest też bynajmniej kontaminatorem obu metod, chociaż naukową umie się sprawnie posługiwać, jak to okazał w *Żywocie św. Bonawentury*. Zdąża on do innego celu, chcąc nowoczesnemu czytelnikowi uprzystępnąć nie tylko życie świętego, ale i atmosferę, w której do lektury takiego żywotu trzeba przystąpić. Odpowiada to jego nastrojowi pisarskiemu, w którym uczony i beletrysta zmierzają do wypowiedzenia się swobodnego. Z zamiarem więc czy bez niego Stateczny dochodzi do tego samego stanowiska, które zajmują dzisiejsi twórcy t. zw. *vie romancée*, tworzy więc powieści lub nowele hagiograficzne, przy czym to określenie odnosi się do formy, lecz nie do treści. Uczony nie

traci wszakże głosu, wypowiadając się w przypisach. To forma pozwala czytelnikowi, mniej zamięłowanemu w uczoności, rozkoszować się opowiadaniem, któremu może zaufać, że nie zawiera zmyślenia, uczonemu zaś nie daje powodu do gniewu, gdyż przypisy uzasadniają treść opowiadania. Poza tym zauważyć należy, że Stateczny używa z powodzeniem metody postulatu logicznego, a więc wyciągnięcia ze szczupłych danych źródłowych wniosku, który wprawdzie nie jest dokumentarnie stwierdzony, lecz konieczny potrzebny dla zrozumienia lub połączenia luźnych pozornie faktów.

Pierwszy z *Pierwowzorów*, drukowany w „Gazecie Kościelnej”, to *Św. Ignacy z Antiochii*. Pobudką do napisania i podstawą opowieści jest list św. Ignacego do Rzymian, z którego zaczerpnięte 2 wyrażenia: „Zmielony pod zębami lwów na czysty Chrystusa chleb” i „Chrześcijaństwo jest nie tylko dziełem milczenia, lecz także dziełem wielkości i blasku” — stanowią motywy zasadnicze opowiadania. Zaczyna się ono obrazem okrętu dopływającego pod wieczór do przystani smyrneńskiej; płyną na nim 3 chrześcijanie: Ignacy, Zozym i Rufus pod eskortą 10 żołnierzy do Rzymu, gdzie Ignacy ma zginąć za 11 miesięcy na igrzyskach. Wobec tak odległego terminu pozwolono mu zatrzymywać się po miastach w drodze i teraz właśnie ma wstąpić do Smyrny, której biskupem jest św. Polikarp. Przygotowaniem do spotkania się obu świętych i zarazem charakterystyką pośrednią św. Ignacego jest jego rozmowa z obu towarzyszami podróży, rozmowa zbudowana w znacznej części z wyimków listu do Rzymian. Do okrętu przybija na łódce św. Polikarp, pragnący swymi wpływami uratować patriarchę aleksandryjskiego od śmierci, lecz ten odmawia zgody, używając znowu jako argumentów przeważnie wyjątków z owego listu, pisanego właśnie podczas postoju w Smyrnie, a wyrażającego we wspólnych słowach gotowość na męczeństwo. Taka jest treść I najdłuższego rozdziału. W drugim dla skrócenia opisu (wyrażenie samego Statecznego w uwadze) autor łączy w jedną całość wcześniejszą o 2 dni śmierć Zozyma i Rufusa ze zgonem św. Ignacego (20 grudnia 107 r.). Męczennik wyzywa opieszale dzikie zwierzęta, aż wreszcie lew rzuca się na niego. Króciutki, lecz kompozycyjnie zbędny rozdział III opowiada o losach relikwii.

Opowiadanie to odzwierciedla nam jedną metodę konstrukcyjną Statecznego, której celem jest artystyczne zużycie materiału źródłowego, występujące tu jako przemiana listu na rozmowę.

Następny pierwowzór *Św. Polikarp* przedstawia śmierć znanego nam z poprzedniego opowiadania biskupa smyrneńskiego w dniu 23 lutego 155 r. w Tralles. Punktami kulminacyjnymi opowiadania są namowy do odstępstwa i męczeństwo młodego Germanicusa i sędziwego Polikarpa, lecz punktem zaczepienia dla autora jest okrzyk pogan przeciw chrześcijanom: Precz z bezbożnikami! i źródło literackie: *Epistula ecclesiae Smyrnensis*. Na tym tle występuje jako istotny składnik opowieści modlitwa przedśmiertna św. Polikarpa, prototyp modłów liturgicznych.

Bardzo znane źródło posłużyło do krótkiego obrazka *Św. Szczepan*, a mianowicie *Dzieje Apostolskie*. To też autor zwraca raczej uwagę na malowidło tła, a więc na opis zachodu słońca, który się często w *Pierwowzorach* i *Obrazkach z Polskiego Śląska* jako motyw powtarza, przeciwstawienie namiętności naigrawającego się tłumu i spokoju młodego męczennika, a wreszcie uwydatnia ideę westchnienia: „Panie, nie poczytaj im tego grzechu!” Charakterystyczne jest zmniejszenie udziału św. Pawła, którego wspomina tylko w końcowym zdaniu: „A Szawel patrzył z radością na to widowisko. On jednak później dopiero dał świadectwo prawdzie.” Podobnie w przypisach mówi Stateczny tylko jednym zdaniem o roli Pawła po nawróceniu.⁴⁷⁾

Bogatą kopalnią opowieści z pierwszych wieków chrześcijaństwa jest Kronika Euzebiusza z Cezarei. Ona i data męczeństwa, ustalona przez Statecznego na 28 lutego 107, dały materiał opowieści p. t. *Św. Symeon*, której bohaterem jest 120-letni starzec, biskup jerozolimski od kilkunastu lat po św. Jakubie Mniejszym. Autor łączy z reskryptem Trajana do Pliniusza chrześcijańską legendę, iż Trajan chciał wytępić ród Dawida, który wedle przepowiedni miał wydać pogromcę imperium

⁴⁷⁾ Opowiadanie to z pominięciem przypisków włączył Stateczny do kazania III w zbiorze „Chrystus Jezus“, str. 36—38, gdzie stanowi punkt 1 b nauki „Na Świętego Szczepana“. Jest to obok kazania na św. Marcina drugi przykład obszernego zużytkowania opowiadania w twórczości kaznodziejskiej Statecznego, który poza tym zna wartość pierwiastka narracyjnego w krasomówstwie, lecz go nie nadużywa.

rzymskiego. Symeon pochodzi właśnie z tego rodu, lecz pochodzi z niego również jego oskarżyciele, których w nocy po ukrzyżowaniu św. Symeona uwięziono i stracono z rozkazu byłego konsula Tib. Claudiusa Atticusa. W zakończeniu wspomniany rokosz żydowski za Hadriana, zburzenie Jerozolimy i rozproszenie żydów.

Do Euzebiusza także obok innych autorów jak Suetonius, św. Hieronim itd. sięga autor po materiał do *Grobowca Flawiuszów*. Kompozycyjnie jest to najluźniejsza opowieść; zawiera opis grobowca Flawiuszów za bramą św. Sebastiana przy drodze ardeatyńskiej jako wstęp, następnie wspomina o pochodzeniu tej rodziny z Helwecji, podaje krótką jej genealogię, aby szczegółowiej zająć się gałęzią chrześcijańską rodu, t. j. rodziną T. Flaviusa Clemensa i stosunkiem do tego męża Domicyjana. Po śmierci Klemensa następuje wygnanie jego żony Flavii Domitilli na Pandatarię, z której wraca za Nerwy. Następnie wzmianki o Plautilli i Petronilli, po których szersza opowieść o wygnaniu siostrzenicy Klemensa Domitilli na Poncję i o jej towarzyszach Nereusie i Achillesie oraz wdowie Pauli. Ponosi ta trójka śmierć męczeńską w Terracinie w r. 112 już za Trajana, a spoczęła za staraniem Auspiciusa w grobowcu Flawiuszów. Już ze streszczenia widać, że odbiega to opowiadanie od zwykłej formy noweli hagiograficznej, zbliżając się raczej do szkicu historycznego.

Najsilniej uwydatnia się pierwiastek narracyjny w obrazku p. t. *Św. Piotr i Paweł*, w którym Stateczny z pełną świadomością podejmuje temat, opracowany w *Quo vadis* Sienkiewicza. Przecistawienie świata chrześcijańskiego i rzymskiego, siłą faktu ścieśnione tu do jednego rozdziału, rozwija autor w rozmowie, którą toczą przybyli razem do Rzymu Piotr i Paweł z jakimś zaciekawionym przechodniem rzymskim. Rozmowa ta oświecla zarówno osoby obu apostołów, jak głoszoną przez nich naukę. Rzymianin, wysłuchawszy ich, odsyła ich do Judei. Następne rozdziały przedstawiają śmierć obu apostołów podobnie, a przecież inaczej niż Sienkiewicz nie tylko z powodu obszerniejszego opisu zgonu św. Pawła, lecz także wskutek większego realizmu tak w opisie zdarzeń, jak nadchodzącego wieczora.

Aby uwydatnić doraźnie zarówno podobieństwa, wynikłe z tego samego tradycyjnego materiału źródłowego, jak też róż-

żnice w jego ujęciu, spowodowane przez odmienne zamiary i metodę opowiadania obu autorów, przytaczam opis zgonu św. Piotra w następujących wyjątkach:

Sienkiewicz:

„Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostji i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go rozebrać.

„Lecz on modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić i nastała cisza niezmacona.

„On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci: *Urbi et orbi!*

Stateczny:

„Wzgórze janikulskie tonęło jeszcze w świetle. Połowa tarczy słonecznej była się już ukryła za bramą aureliańską, ale druga połowa siała jeszcze czerwone promienie na Arx, której wydłużony cień sięgał aż do Tybru...

Przy dole, w którym zasunąć miano drzewo, leżał krzyż zwrócony swym krótszym końcem ku wydrążonemu zagłębieniu. Zdarłszy z Piotra ubranie i pozostawiwszy mu tylko przepaskę około bioder, położono go na krzyżu. Gwoździe pograżały się w jego rękach i nogach. On zaś oczy zwrócił do czystego błękitu niebios, potem je zamknął i tylko usta poruszały się. Zapewne powtarzały te słowa, kiedyś do mistrza boskiego wymówione: Choćby mi też z Tobą przyszło umrzeć, nie zaprę się Ciebie; albo może się modlił za tę rzeszę chrześcijańską i pogańską, aby jej Chrystus godnego namiestnika wzbudził. Po chwili drgnął; krew serca uderzyła mu do głowy, a drugi strumień sączący się z rąk i nóg oblał jego ciało; gdyż oprawcy byli podnieśli krzyż i głowę zwróconą do ziemi a stopami przebiegniętemi skierowanymi do niebios zasunęli go do dołu i poczęli ziemią zasypywać, a potem nogami udeptywać...

Wtem, w ciemnościach, które już dawno były okryte wzgórze janikulskie, zaroilo się coś około męczennika na krzyżu. Czarne postacie jęły odkopywać krzyż i spuszczać go na ziemię, potem zdjęły ciało Piotra, obwinęły w zawijacze i poniosły ciało i krzyż w kierunku drogi septymiankiej.

Poprzednie *Pierwowzory* podpisane były w „Gazecie Kościelnej” bądź pełnym nazwiskiem, bądź inicjałami Statecznego. Brak natomiast wszelkiego podpisu przy obrazku p. t. *Św. Klemens, Papież*, który jednak zarówno w stylu jak w kompozycji wykazuje cechy właściwe poprzednim obrazkom. Źródłem jest znowu Euzebiusz z Cezarei i nieautentyczne „Acta martyrii Clementis”, pióra prawdopodobnie Symeona Metaphrastes. Nadto autor korzysta z Allarda: *Histoire de persécutions*. Wbrew Tertulianowi, a zgodnie z większością Ojców Kościoła i mszałem rzymskim przyjmuje autor, że św. Klemens był trzecim papieżem po św. Piotrze. Opowieść zaczyna się od tego, że Mamertyn prefekt Rzymu, nagłony przez lud, postanawia na podstawie przesłuchania niepewnych świadków zasądzić Klemensa za obrazę bogów. Scena przesłuchania ujęta w dialog dramatyczny. Karę wymierzyć może tylko Cezar. Skoro Klemens odmawia złożenia czci bogom, musi według wyroku Trajana iść na wygnanie. Mamertyn, spełniając rozkaz, woła: „Bóg, którego czcisz szczerze, niech cię wspiera na wygnaniu!” W rozdziale drugim przenosimy się na Krym (Chersones Taurydzki), gdzie papież pracuje z 2000 chrześcijan-skazańców w kamieniołomach, nawraca pogan, aż wreszcie po ogłoszeniu edyktu przeciw chrześcijanom Aufidienus skazuje go na śmierć przez utopienie z żelazną kotwicą u szyi. Po wiekach zwłoki odnaleźli Cyryl i Metody. Kończy się opowieść *pointe’ą*: „Na to obrócił Bóg heroiczne wygnanie i śmierć świętego Klemensa”. W przypisach nie tai autor, że męczeństwa nie poświadczają Ojcowie Kościoła, że oparł się w tym względzie na nieautentycznych aktach i potwierdzeniu tej wiadomości przez Rufina i papieża Zosimusa. Metoda tu odmienna od św. Ignacego o tyle, że autor nie korzysta ani z autentycznych ani apokryficznych pism Klemensa.

Do *Pierwowzorów* zaliczam także *Św. Marcina*, przerobionego na kazanie, w którym wszakże nie dała się zatrzeć bogata treść narracyjna pierwotnego opracowania. Wprawdzie Stateczny, zgodnie ze swymi poglądami teoretycznymi, chętnie posługuje się w kazaniach opowiadaniem, ale w tych rozmiarach nie używa go nigdzie.

Charakterystyczne cechy opowiadań hagiograficznych Statecznego wyróżniają je spośród spotykanych najczęściej typów tego gatunku literackiego. Nie ulega on wpływowi ani utartego już zwyczaju pisarzy duchownych, ani ucierającego się co-

raz więcej typu literackiej, sztucznej naiwności, która w *Legendzie złotej* Jakuba de Voragine znalazła pożądaną, lecz nadużywany niesmacznie często wzór. *Pierwowzory* Statecznego nie przynoszą czytelnikowi żadnych dreszczyków sztucznej pobożności, nie tworzą nawet tam, gdzie przedmiot o to prosi, atmosfery cudowności, lecz chcą przybliżyć nam czasy i ludzi w drodze raczej rozumowej niż uczuciowej, chcą budzić uczucia, wynikające z przekonania. Dlatego wartości literackie tych opowieści nie występują doraźnie, nie są efektowne, ale też i nie tanie. Daleki od pospolitości jak od niezwykłości, Stateczny nie lekceważy nowoczesnych sposobów literackiego opracowania i umie z nich na ogół skorzystać należycie. Szkoda, że do zbiorowego wydania *Pierwowzorów* nie doszło przed ćwierć wiekiem, lecz sądzę, że jeszcze dziś nie jest za późno i że wypełniłyby one lukę w naszej literaturze.

XI. KAZNODZIEJA I TEORETYK WYMOWY

Działalność krasomówcza w ogóle podlega dwojakiej, często niewspółmiernej ocenie swojej wartości; dwie niejako strony tej wartości można by nazwać żywą i martwą, gdyby nie fakt, że w takim nazwaniu tkwi pewna względność. Jeżeli bowiem twór krasomówczy w chwili wypowiedzania go przez dobrego mówcę tętni życiem, mieni się barwami wymowy, wytryska mimiką twarzy i ruchami całej postaci, a zwłaszcza rąk, — to życie to ustaje z chwilą, gdy mówca schodzi z mównicy. Może film dźwiękowy przekaże potomności dzisiejsze i przyszłe plody sztuki krasomówczej, przeżywającej obecnie bądź co bądź okres zastoju, ale będą one żyć życiem w każdym razie sztucznym, co najwyżej wtórnym. Przeciwnie mowa, utrwalona na piśmie, wydaje się martwą, a przecież posiada jedną cenną właściwość, to jest trwałość i nienaruszalność swoich wartości, działających na czytelnika raczej pośrednio; jeśli obudzą one w jego duszy oddźwięk, to jest wielkie pytanie, czy wtedy utwór nie żyje najpiękniejszym i najwszechstronniejszym życiem. Zdaje mi się, że najpatetyczniejsze ustępy *Kazań sejmowych* Skargi brzmiały w duszy niektórych czytelników polskich XIX w. taką pełnią życia, jakiej nie miały w chwili swego wygłoszenia, jeżeli w tej formie były kiedykolwiek wygłoszone. Jeszcze jednym życiem żyją kazania spisane, a mianowicie

wtórna reprodukcją przez następców, którzy sami nie wazą się na samodzielne występy.

Tych kilka uwag ogólnych posłużyć ma dla uprzedzenia czytelnika, że w następujących wywodach mieścić się będzie ocena kazań i przemów o. Statecznego, utrwalonych na piśmie, a więc literackiej ich wartości tylko, a nie krasomówczej. O tej ostatniej ci, którzy je pamiętają, wyrażają się z uznaniem, lecz nie umieją jej sprecyzować⁴⁸⁾; wynikałoby z tych wypowiedzi się, że wzorem w wygłaszaniu kazań był o. Statecznemu współbrat zakonny o. Agostino da Montefeltro, którego charakterystykę jako kaznodziei przytoczyliśmy w skróceniu za *Listami o wymowie*. To też na tym musimy poprzestać, aby zająć się inną kwestią, a mianowicie, czy obecny kształt kazań Statecznego, znany nam z drukowanego tekstu, odpowiada tekstowi wygłoszonemu przez niego pierwotnie. Rozporządzam w tym względzie szczupłym materiałem porównawczym, gdyż tylko dla jednego kazania. W przechowaniu bowiem rodziny pozostał czystopis kazania, które wygłosił w jednym z kościołów śląskich, a w zmienionej postaci ogłosił drukiem w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” t. XIV, str. 397—409. W rękopisie ma to kazanie liczbę porządkową III, w druku tytuł: *Na uroczystość Matki Boskiej Różańcowej*.

Między tekstem pisanym a drukowanym są dość znaczne różnice. Przede wszystkim jest różnica ilościowa; gdy bowiem tekst pisany mieści się na 8 stronicach ćwiartkowych, to drukowany ma ich 12, a więc około półtora razu jest dłuższy. Zdaje się, że większość kazań Statecznego była krótsza w chwili wygłaszania ich niż ogłaszania drukiem.

Są jednakże różnice jakościowe. Przeważnie autor zaciera cechy lokalne. I tak wspomniane już kazanie wygłoszone było w którymś z kościołów śląskich w sąsiedztwie Grzędzina. W świątyni tej w ołtarzu wielkim był obraz, przedstawiający N. P. M., wręczającą różaniec św. Dominikowi. Na ten obraz zwrócił żywym słowem kaznodzieja uwagę pobożnego ludu, nie

⁴⁸⁾ Najwięcej jeszcze szczegółów zawiera następujący ustęp z listu o. Antoniego Galikowskiego do mnie: „Jako kaznodzieja był lubiany; nie miał wprawdzie kaznodziejskiego głosu, miał bowiem głos słaby; nie zauważyłem też, czy posługiwał się jakimi gestami. Ponieważ mówił jednak zajmująco i pięknie, podobał się przede wszystkim ludziom wykształconym”. Przeczy to świadectwo poniekąd wzorowaniu się Statecznego na Augustynie da Montefeltro.

zaniedbując wspomnień historycznych polskich: „przypomni nam chwalebne czyny naszych przodków i naszego narodu, boć wam niezawodnie wiadomo, jak rycerze polscy, idący do krwawej walki i zaciętego boju z poganem, opasywali się mieczem i różańcem, a w pokoju idąc za pługiem odmawiali różaniec, wiadomo wam też, że matki polskie, kiedy się mężowie walką trudnili, żarliwie ziarnka różańca liczyły i przesuwwały między palcami.” To wszystko znikło w tekście drukowanym, który zaczyna się o wiele obszerniejszą wizją M. B. na tronie wśród chmur i modlącego się przed nim św. Dominika, oraz tłumów pobożnych wielbicieli różańca. W druku znika również i nuta osobista, bardzo silna w zakończeniu omawianego kazania: „Roda-cy moi! Wy mnie zapewne wszyscy znacie, boć nieraz w mojej młodości byłem obecny tu w tej świątyni Pańskiej, tu w tej cerkwi katolickiej. Nieraz mię prowadziła matka za rękę na Wasze sławne odpusty, nieraz też sam biegałem z Witosławic do Waszego pięknego kościoła, aby tu ducha krzepić i na przyszłość sposobić. A chociaż się dziś zmieniły czasy, bo dziś wyrósłem na męża opowiadającego słowo Boże i na niegodnego jego sługę, to się jednak nie zmieniło serce, ani się też nie zmieniła miłość moja do Was. Owszem z latami i z rosnącą samowiedzą rosła też miłość i tym większym miłości płomieniem do Was pałam. A bez wątpienia powiększy się moja miłość do Was, jeżeli będę mógł być przekonany o Waszej dobroci, o Waszej miłości Boga, Najsw. Panny i bliźniego. Ja Was wkrótce opuszczę, a jeżeli na moją drogę daleką będę mógł wziąć ze sobą to przekonanie, że gdzieś daleko ode mnie w moich stronach rodzinnych, biją serca tkliwe, serca cnotliwe, serca żarliwie modlące się, wierzcie mi, to będzie pokrzepieniem mego ducha, moją osłoda;... Żegnam wszystkich znajomych i nieznanomych, często będę Was wspominał, będąc daleko od Was, i modlić się za Was wszystkich będę. A jeżeli mi Pan Bóg pozwoli znowu powrócić, odwiedzę i Was. Amen.” To zakończenie tak osobiste, a zarazem pozwalające określić czas wygłoszenia kazania na rok 1911, w tekście drukowanym znikło bez śladu, zamiast niego występuje kilkowierszowa obietnica nagrody z rąk N. P. M. dla pobożnych i czystych wielbicieli różańca.

Lecz także sam trzon kazania uległ przeróbkom zarówno stylistycznym, jak istotnym. Ton raczej gawędziarski i uczuciowy pierwszego opracowania przeobraża się w ściśle rozumowa-

nie, w szczegółowe wywody, jak gdyby autor chciał korzystającym z jego pracy dać możliwość opuszczenia tego, co im się wyda w danych okolicznościach zbędne, a na odwrót roznucia innych szczegółów według własnego uznania.

Omówilem umyślnie naprzód kazanie z późniejszego okresu, przy którym miałem materiał dowodowy, aby wyjaśnić, że np. pierwsze drukowane kazania o. Statecznego p. t. *Chrystus Jezus* nie odpowiadają ściśle rzeczywiście wygłaszanym, lecz są wynikiem dłuższego namysłu i przeróbek. Zaznacza to zresztą on sam w przedmowie: „Uderzy następnie czytelnika nadmierna długość kazań, która dzisiaj nie jest na porządku dziennym. Chodziło mi w każdym kazaniu nie o czas, tylko o całkowite wyczerpanie przedmiotu. Stąd powstała długość, którą światły kaznodzieja łatwo skrócić lub jedno podzielić będzie mógł na kilka kazań. Zresztą sam napomknąłem podziały względny znakami.” Rzeczywiście kazania są długie, gdyż mają od 12 do 20 stron większych druku, z przewagą kazań 18 do 20-stronicowych. Czy jednakże tylko „całkowite wyczerpanie przedmiotu” i chęć dania światłemu kaznodziei dostatecznego materiału powodowała autorem? Zdaje mi się, że przyświecała mu także zawodna nadzieja: „Mniemam też, że i świeccy ludzie wykształceni z pożytkiem duchownym przeczytają tę książkę, której wyłącznym celem jest coraz dokładniejsze urzeczywistnienie ideału i nauki Chrystusa w społeczeństwie ludzkim wogóle, a w szczególności w naszym.” Z tego zamiaru wyniknęły pewne konsekwencje, które odebrały wiele pierwotnej bezpośredniości opracowaniu drukowanemu. Część zmian wypłynęła także z ujęcia 30 umieszczonych tu kazań w cykl, którego treścią miał być zasadniczo Chrystus, a raczej główne zasady wiary chrześcijańskiej. Mimo starania o złączenie tematowe z tym zasadniczym motywem wyodrębniają się jako mniejsza całość kazania ku czci N. P. Maryi w liczbie 5, oraz kazania na dzień zaduszny i 4 niedziele adwentowe, traktujące o rzeczach ostatecznych, czyli będące pierwszym zarysem późniejszych konferencji.

Przez zatarcie pierwotnego charakteru retorycznego punkt ciężkości przeniósł się na wypracowanie szczegółów w kierunku logicznego powiązania wywodów, siły przekonania, oraz umotywowania cytataми z Pisma św. i autorów. Stateczny posługuje się także od czasu do czasu cytataми z poetów, a zwłaszcza

z poezji kościelnej. Najlepiej widać tę literacką okrasę w kazaniu XXVIII z kolei na trzecią niedzielę adwentu, w którym Wergili, Dante, Słowacki i Krasiński odgrywają poczesną rolę w zagajeniu tematu o piekle, ustępując następnie miejsca Piśmu św., ojcom kościoła i aktom męczeńskim. W poprzednim kazaniu posługiwał się jako motywem nastrojowym pieśnią kościelną, mówiąc o sądzie ostatecznym; nawiązanie zaś ze słuchaczami, a raczej czytelnikami kontaktu zaczęło się od przypomnienia fresków Michelangela z kaplicy sykstyńskiej.

Te najważniejsze cechy charakterystyczne zbioru zauważył także jego recenzent ks. W. P. w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900, str. 92—93. „Trzy zalety podnieść nam się godzi: powagę słowa iście apostołską, logikę na stronicy każdej niezwykioną i przedmiotu omawianego jasną przejrzystość. Styl tych »Kazań« powagą swoją najcelniejszych nam wieku naszego przypomina pisarzy, jak: Kajsiwicza, Jełowickiego, Goliana.” (Następują przykłady tego stylu ze str. 532, 120—121 i 10.) Recenzent nie podniósł jednak zależności od dawniejszych kaznodziejów polskich jak Skargi, Birkowskiego i o. Franciszka Rychłowskiego, współbrata zakonnego. O rozczytywaniu się w kaznodziejstwie staropolskim świadczy np. kazanie na rozpoczęcie roku, w którym zużywa niesmaczny nieco koncept ks. Mijakowskiego z osławionej *Kokoszy na kolendę danej*, przystosowawszy go wszakże do smaku nowożytnego. Na podarek więc noworoczny przynosi słuchaczom Chrystusa jako pokój, szczęśliwość i miłość. Rozsnucie tych składników podarku — oto treść kazania, które zaczyna się wykazaniem, że ani bogactwa, ani zaszczyty, ani nauka, ani nawet wskrzeszenie Ojczyzny doczesnej nie dająby pokoju, szczęśliwości i miłości. Próba wywodów niech będzie ten urywek: „Gdybym wam nawet jakimś sposobem cudownym mógł podarować doczesną ojczyznę odbudowaną, jeszcze bym serca waszego w zupełności nie zadowolił, bo obawa utracenia jej na nowo przeżyłaby pokój; doczesność jej wykluczyłaby prawdziwą szczęśliwość. Ojczyzna jako pojęcie oderwane miłość, jeżeli się tak mówić godzi, bezcielesną zrodzi, miłości prawdziwej nie zrodzi” (str. 1).

Nie będąc teologiem, poprzestanę na przytoczeniu zdania ks. W. P.: „Dla księży młodszych będą one (kazania) wzorem, jak słowo Boże głosić należy, dla starszych zaś lekturą miłą bardzo i pożyteczną”.

Ten zbiór pierwszy kazań Statecznego służył mu potem często jako materiał obszerniejszy, z którego wybierał składniki do krótszych opracowań. Wspomniane już kazanie na Dzień Zaduszny skrócił w dziesięć lat później i w tym kształcie (10 stron zamiast 18) o połowę krótszym wydrukował w „N. Bibliotece Kaznodziejskiej” t. VIII, str. 421—430. Podobnie wykorzystowuje niektóre kazania z cyklu *Chrystus Jezus* w późniejszym cyklu p. t. *Konferencje o rzeczach ostatecznych* w „N. Bibl. Kazn.” t. XXI—XXVIII, gdy omawia w nich te same tematy. Niektóre ustępy z pierwotnego opracowania pozostają bez zmian, częściej jednak mamy do czynienia z przeróbkami stylistycznymi, idącymi nawet dość daleko, z opuszczaniem obszerniejszych ustępów, z ich skracaniem, modyfikowaniem treściowym, tak że można to nowe opracowanie uznać za podjęcie powtórne tematu raczej niż za jego powtórzenie. Przechodząc do szczegółów, zaznaczam, że kazanie na Poniedziałek Wielkanocny: O zmartwychwstaniu ciała (*Chr. Jezus*, str. 151 i nast., a zwłaszcza str. 158—170) jest w ten sposób zużytkowane w konferencji IV Zmartwychwstanie powszechne ciał („N. Bibl. Kazn.” t. XXII i XXIII), kazanie Na uroczystość Trójcy św.: O Bogu w Trójcy jedynym (*Chrystus Jezus*, str. 249—262) w konferencji VIII Bóg w Trójcy („Now. Bibl. Kazn.” t. XXV i XXVI), kazanie Na urocz. Wszystkich Świętych: O obcowaniu Świętych (*Chr. Jezus*, str. 384—400) w konferencji XIII Świętych obcowanie („N. Bibl. Kazn. t. XXVII i XXVIII), a wreszcie kazanie Na Pierwszą Niedzielę Adwentu: O śmierci i sądzie poszczególnym (*Chr. Jezus*, str. 443—450) w konferencji III: Sąd poszczególny („N. Bibl. Kazn.” t. XXII).

Słabsze pokrewieństwo odnaleźć można między kazaniem wzgl. przemową na zakończenie starego roku (*Chrystus Jezus*, str. 519 i nast., oraz „Nowa Bibl. Kazn.”, XV, 69—75). Kiedy indziej mimo zbieżności tematu i uroczystości opracowanie jest zupełnie odmienne jak na niedzielę IV adwentu. Kazanie na Wszystkich Świętych w Bibl. Kazn., t. XIV, str. 453—465 jest przeróbką kazania kaznodziei włoskiego o. Segneri'ego. Stosunku Statecznego do kaznodziejów włoskich, a zwłaszcza tych, których słyszał, jak do o. Zocchiego i Agostina da Montefeltro, nie będę roztrząsał, pozostawiając tę pracę bardziej powołanym; sądzę jednakże, że podpatrywał, podziwiał i naśladował raczej ich mimikę i wymowę niż stronę literacką i treściową ich

kazań. Zależność pod tym względem od o. da Montefeltro poza drobnymi szczegółami zacieśnia się do zużytkowania tytułu jego konferencji wielkopostnych: *Jezus Chrystus i prawda chrześcijańska*, który z pewną zmianą nadał pierwszemu swemu zbiorowi. Różnica zachodzi jednak ta, że gdy o. da Montefeltro cykl swój rozsnuwa w przeciągu 40 dni w. postu, Stateczny rozkłada go na cały rok.

Skłonności Statecznego do cykliów nie można łączyć z wpływem kaznodziejstwa włoskiego, widzimy ją bowiem także u naszych mówców kościelnych, a przede wszystkim u kaznodziejów wczesnochrześcijańskich, których znawcą był nasz autor, umiając z nich zaczerpnąć czy to cytatów, czy myśli i podniet. Dwa cykle Statecznego są nam znane w całości, t. j. *Chrystus Jezus i Konferencje o rzeczach ostatecznych*, z dwóch drugich znamy tylko część, nie wiadomo zaś, czy o ich pełnym wykończeniu myślał, względnie czy z nich jakieś człony nie zaginęły. Jednym z nich byłyby kazania na niedziele i święta, odróżniające się od poprzednich cykliów tonem egzegetycznym i mniejszą skłonnością do filozofowania, większym natomiast zamiłowaniem do wykładania przypowieści, drugi jeszcze bardziej szcątkowy cykl stanowiłyby przemowy okolicznościowe. Oba te cykle znamy tylko z „Nowej Biblioteki Kaznodziejskiej”. Nie zaszkodzi powtórzyć tu spostrzeżenie, że zbliżają się one więcej do rzeczywiście wypowiedzianych przemówień zwłaszcza krótsze z nich, a więc przemowy okolicznościowe przede wszystkim.

Dla poznania bliższego tych konferencji i kazań wystarcza analiza kilku z nich. Przykładowo omówimy 2 z konferencji o rzeczach ostatecznych i 2 z kazań niedzielnych. Konferencja I o śmierci rozsnuwa myśli zasadnicze, że śmierć nie jest unicestwieniem ciała, lecz tylko jego przemianą lub rozkładem. „Śmierć jest kresem jednostki.” Dla zrozumienia wszakże tej myśli trzeba przytoczyć określenie jednostki: „Jednostka to quantum materii lub ciała ludzkiego, które przez poczęcie od potencji przeszło do aktualnej i wciąż się zmieniającej, a jednak jednej i jedynej i jednakowej ilości materii aż do jej zaniku przez zużycie i przez rozkład śmiercią.” Dodatkowo w zakończeniu porusza zagadnienie bólu, jako związanego zwykle ze śmiercią. W następnej konferencji p. t. Człowiek w śmierci tematem zasadniczym jest „Mors ianua vitae, Deus est vita”.

Szeroko rozsnuty dowód ogniskuje się w dwu zasadniczych tezach: „Bóg nie może czynu swego stwórczego, z istoty swojej nieskończonego obrócić w nicość, nie chcąc siebie samego unicestwić, a zatem przestać być Bogiem” i „Wszechświat jest życiem w materii przez ciągłą śmierć”. Oczywiście konferencji nie wypełnia tylko pierwiastek rozumowy wyłącznie, pozostaje jeszcze dość miejsca na narrację, obrazowanie, wizję itp. środki oratorskie.

W kazaniu na niedzielę II po Świątkach tematem jest wykład przypowieści o wieczerzy wielkiej jako o uczcie sprawiedliwych w Królestwie Chrystusowym. Jest tu obfitsze niż zazwyczaj u Statecznego posługiwanie się tekstem ewangelicznym, poprzedzone podmalowaniem historycznym tła, aby następnie przejść do powołania i przeznaczenia ludów, a w końcu do najnędniejszych, do wyrzutków społeczeństwa, których do uczty Chrystusowej zapraszają tacy nadzwyczajni posłowie Boży jak św. Franciszek z Asyżu lub brat Albert. Ożywienie pewne daje temu kazaniu użycie wyrażeń niezwykłych jak „studnica znaczeń”, „piana społeczeństw”, „pazur rozpacz i nędzy i bólu”.

W następnym kazaniu na niedzielę III po Świątkach znowu wykład przypowieści o owieczce zbłąkanej i o drachmie utraconej jako symbolach powrotu grzesznika do królestwa Chrystusowego. Tutaj wiele miejsca poświęca autor ramom miejsca i czasu, w które są obie opowieści ujęte. Stąd obszerniejsza opowieść i charakterystyka celników i faryzeuszów, opowiadanie o życiu pasterzy palestyńskich na tle krajobrazu tamtejszego, opis chaty w Perei i zwyczajów wschodnich, przez co słuchacz zaciekawia się i łatwiej dochodzi do zrozumienia krótkiej zresztą wykładni przypowieści.

Nie zdziwią nas u Statecznego te częste urozmaicenia kazań pierwiastkami, dalekimi często od nauczania w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więc narracją, przytaczaniem opisów przyrody, odwoływaniami się do dzieł sztuki, rozsnuwaniem cytatów poetyckich itd. Nie zdziwi nas także użycie prawdopodobnie tylko fikcji literackiej, jak np. w kazaniu na uroczystość św. Franciszka z Asyżu („N. Bibl. Kazn.”, XIV, str. 422) motywu wizji sennej, podobnej zresztą do historycznego snu br. Leona, towarzysza św. Franciszka.

Ta właściwość kazań Statecznego wskazuje na jego teoretyczne zajęcie się zagadnieniem wymowy; potwierdzenie zaś tego faktu znajdujemy w jego *Listach o wymowie*. Być może, że do wykończenia zaczętych jeszcze we Lwowie rozważań nad istotą wymowy, a w każdym razie do ich ogłoszenia drukiem w „Nowej Bibl. Kazn.”, skłoniły go drukowane w t. XII tego miesięcznika *Studia homiletyczne* ks. Stanisława Krzeszkiewicza ściśle, pełne przykładów, lecz nieco oschłe w wykładzie. Odmienne od nich są *Listy o wymowie*, zwłaszcza 4 ostatnie. Pierwszy z nich najmniej udatny, powstały kilkanaście lat przedtem we Lwowie, nużyłby raczej czytelnika, zwłaszcza swoją nieco dziwaczną terminologią lingwistyczną, gdyby nie częste wspomnienia osobiste jak o o. Augustynie da Montefeltro, o ks. Golianie, jak pochwała wymowy polskiej itd. Dalsze są swobodniejsze, zgodnie z nadaną wykładowi formą listów do młodego przyjaciela, omawiają zaś wybrane partie z teorii krasomówstwa i pokrewnych dziedzin, dając pewną zaokrągloną całość, którą w spisie rzeczy autor, może nieco rzecz upraszczając, ujął jako zalety mówcy podmiotowe zewnętrzne i wewnętrzne, dalej przedmiotowe zewnętrzne, uzupełniające i nadprzyrodzone, kończąc wywodem o kompozycji. Stateczny zdaje sobie sprawę z tego, że rozprawa jego nie jest przedmiotowa, lecz podmiotowa, dlatego też obrał odpowiednią formę tak dla własnej swobody, jak dla stępienia ostrza krytyki (str. V książkowego wydania). Autor korzysta obficie ze swego odczytania w kaznodziejach i mówcach świeckich, powołuje się często na słyszanych przez siebie przedstawicieli wymowy, cytuje filozofów polskich i obcych, zdumiewa nieraz oryginalnością sądów. Nie zaprzeczając znaczenia ćwiczenia i nauki w wymowie, kładzie jednak większy nacisk na talent wrodzony, widząc w prawdziwym mówcy ten sam pierwiastek twórczy co w poecie. Jeżeli na ogół korzysta ze współczesnych teorii, to jednak uznaje zdobycze przeszłości, o których charakterystycznie powiada: „Ostatnimi czasy pisano wiele o koncepcji twórczej. Nawet ankiety porozysłano do wybitniejszych pisarzy Europy. Ich odpowiedzi nie zawierają absolutnie nic nowego, czego by już nasi ojcowie zwłaszcza z okresu romantyzmu, nie byli gruntownie roztrząsali” (str. 170). Nic dziwnego, że o sobie odezwie się w ten sposób: „sam twórcą będąc, nie umiem też wnikać w jej (koncepcji twórczej) tajne urodziny. Zresztą mniemam,

że geneza pierwszej idei twórczej nigdy nie będzie w zupełności wyczerpana. Jeżeli więcej o tym chcesz wiedzieć, czytaj »Listy z Krakowa« Józefa Kremera, stanowiące istne objawienie" (str. 173). Ten kult i wpływ Kremera widoczny jest zresztą w całej działalności pisarskiej Statecznego.

Listy o wymowie omawiano w kilku czasopismach dla duchowieństwa, o czym poinformowała mnie Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu („Wiadomości Archidiecezjalne" XI—XII z r. 1920, „Miesięcznik Katechetyczny i Wychowawczy" z. 4—5 z r. 1920, „Miesięcznik pasterski diec. kieleckiej" nr. 3—4 z 1920, „Kronika diec. sandomierskiej" nr 6 z 1921, „Spójnia" nr 2 z 1921 r.).

Główne jednak recenzje, którymi wypada się zająć jako wyrazami dwu przeciwnych sobie sądów, umieściły krakowski „Przegląd Powszechny" t. CXLVII—VIII, str. 177—8 z r. 1920 i lwowska „Gazeta Kościelna" r. XXVII z 1920, str. 108—109 i 264. Recenzent w „Gazecie Kościelnej" X. A. P.(technik) przyznaje, że książka jest niezwykła i dziwnie odbija od podręczników sztuki krasomówczej, że jest hymnem entuzjastycznym i górnołotnym na cześć wymowy, mało zaś dba o cele praktyczne, że są w niej rzeczy trafne i sympatyczne, ale trzeba niejednego zarzut zrobić. Chwaląc więc Statecznego za zachęcanie mowców do pisania mów, za przestrzeganie przed nadmiarem ozdób i improwizacją, za żądanie prostoty, podejmuje recenzent zasadniczą polemikę z poglądem, że prawdziwy mówca musi być twórcą, poetą, że w wymowie konieczna jest poezja. Niewątpliwie jest nieco słuszności w polemice co do mowców, tchnących sielankowością i co do wprowadzenia tragiczności do krasomówstwa. Ogółem uważa, że „element poetyczny może wchodzić w mowę jako składnik, ale tylko składnik podrzędny i słuszenie pouczają wszystkie podręczniki wymowy młodych jej adeptów, żeby zawsze mieli na oku jakiś cel konkretny; praktyczny, a nie podobali sobie w kwiatkach i frazesach poetycznych." Dlatego recenzent uważa za niebezpieczną zachętę do twórczości oryginalnej, gdyż „ogół mowców, a zwłaszcza kaznodziejów trzeba raczej przestrzegać przed sadzeniem się na oryginalność". Zachodzi tu nieporozumienie ze strony ks. A. P., gdyż Stateczny daleki był od zachęcania ogółu do oryginalności, zwracał się do tych młodych „przyjaciół", którym nie odpowiadał szablon, a ostatecznie ta zachęta nie może zaszkodzić i tym

kaznodziejom, którzy bezkrytycznie powtarzają cudze wypracowania bez względu na audytorium. X. A. P. uważa w końcu i tę książkę za godną czytania na równi z poprzednimi dziełami Statecznego.

Inne stanowisko zajął ks. A. Żukowicz w „Przeglądzie Powszechnym”, uważając *Listy o wymowie* nie tylko za próbę zachęty, ale za prawdziwą zachętę, a nawet coś więcej. Stateczny „roztacza wyrazisty obraz mówcy, skreślony ręką doświadczonego kaznodziei, wytrawnego szermierza słowa”. Najwięcej podoba się ks. Żukowiczowi List V jako najsilniejszy i pełen werwy; „jest on owocem serdecznego rozmyślenia i szczerego przejęcia się szczytnym powołaniem mówcy”. Za wady poczytuje zbytnią śmiałość w poglądach oraz za małą prostotę stylu i brak praktyczniejszych wskazówek, chociaż autor wobec swego rozległego odczytania mógł podać przykłady z wybitniejszych mówców.

Wobec tej recenzji wrócił X. A. P. w artykule pt. Z prasy periodycznej raz jeszcze do sprawy *Listów o wymowie*, zastrzegając poprzedni swój sąd i wyszukując istotne i mniemane sprzeczności w wywodach Statecznego. Idzie obecnie tak daleko, że widzi w *Listach o wymowie*: „twierdzenia, wypowiedziane z wielką pewnością siebie, które muszą się wydać bardzo dziwnymi znawcom homiletyki i które mogą tylko zbałamucić niejednego młodego adepta sztuki krasomówczej, a zwłaszcza kaznodziejskiej.”

Jeżeli idzie o słusność w tej całej polemice, to niewątpliwie szczegóły ostrej krytyki ks. Pechnika są słuszne zwłaszcza tam, gdzie omawia nie zawsze szczęśliwe przykłady na pewne tezy Statecznego, ale zasadniczy spór, czy orator fit, czy nascitur wskazuje raczej na pewien utarty przesąd, podzielany przez ks. Pechnika. Zależy wszystko od tego, kogo uważamy za oratora prawdziwego, a nie pierwszego lepszego z brzegu. Stateczny mówił o ideale mówcy i mówił słusznie, chociaż, zdaniem moim, sam był raczej orator factus niż orator natus.

XII. DZIEŁA O ŚW. FRANCISZKU I POKREWNE

Z osobą św. Franciszka i ruchem franciszkańskim łączy się 5 prac osobno wydanych o Statecznego. Najwcześniejszą z nich według *Samobrony* i pewnych innych wskazówek byłby *Żywot św. Franciszka*, lecz niewątpliwie najwcześniej wykonany

w całokształcie był *Żywoł św. Bonawentury*, napisany pierwotnie w języku łacińskim. Zgodnie z przeznaczeniem swoim do wydania pomnikowego dzieł Doktora Serafickiego praca ta powstała jako ściśle naukowa tak dalece, że autor zrezygnował prawie całkowicie z dążności literackich. Tę właściwość zachował także w przekładzie polskim, w którym (str. 5) tak swoją pracę charakteryzuje: „wcale nie mam na myśli obszernie i artystycznie pisać i przedstawić *żywoł* w prawdziwym słowa znaczeniu, lecz raczej na sposób roczników dać krótki treściwy krytyczny pogląd na życie i pisma Świętego”. Pozostawia więc miłośnikom świętego namalowanie obrazu psychologicznego św. Bonawentury.

Dzieło rozpada się na dwie części, z których pierwsza, tj. *żywoł*, jest wyłącznym utworem Statecznego, druga, tj. pisma zawdzięcza mu tylko częściowo swoje powstanie, gdyż jej redaktorem był o. Jeiler. Oparłszy się zarówno o źródła średniowieczne wszelkiego rodzaju, jak o opracowania nowoczesne, ustala Stateczny w 5 rozdziałach opracowania łacińskiego, podzielonych na 9 w przekładzie polskim, szczegóły z życia św. Bonawentury. Aparat dowodowy jest obficie i sumiennie przytoczony, kombinowanie i wyzyskanie źródeł doprowadzone do ostatecznych konsekwencji, które widać np. na str. 24 wyd. polskiego w tablicy chronologicznej. Psychologia Świętego mimo zastrzeżenia w przedmowie uwydatnia się w ustępach natury apologetycznej, a więc w ustępach, które starają się wyjaśnić stosunek Doktora Serafickiego do św. Franciszka, do sporu między Eliaszem z Kortony i zwolennikami zupełnego ubóstwa, do Jana z Parmy, jako zwolennika Joachima da Fiore itd. Literacką okrasą są jedynie obszerne cytaty ze źródeł średniowiecznych, zwłaszcza zaś z *Kroniki 24 Generałów* i *Fra Salimbene*.

Część II omawia krótko zarówno autentyczne dzieła św. Bonawentury (5 rozdziałów) jak wątpliwej autentyczności (2 rozdziały), po których w trzech rozdziałach kolejnych (VIII—X) wyłuszcza znamiona nauki św. Bonawentury, poglądy innych pisarzy na jego twórczość i niektóre dzieła z bibliografii bonawenturiańskiej XIX w.

Z recenzji polskiego wydania znana mi jest tylko niedługa ocena X. A. w „Gazecie Kościelnej” z r. 1916, str. 167 i w „Miesięczniku katech. i wychow.” z kwietnia 1916 r. równobrzmiąca.

Recenzent uznaje mozolną pracę i gruntowność autora, wytyka tylko pewne błędy wysłowienia i zbyt obszerny czasami aparat krytyczny. Zdaje się, że X. A. nie przeczytał uważnie przedmowy i dlatego nie uwzględnił dostatecznie charakteru książki, przypuszczając widocznie, że będzie to rzecz podobna do *Żywotów św. Franciszka i Antoniego*.

Żywot św. Antoniego z Padwy różni się od poprzedniej książki swoim na ogół popularnym charakterem. Nie jest on oryginalnym utworem Statecznego, który wzorował się w nim na analogicznej pracy franciszkanina włoskiego o. Mikołaja Da l G a l. Strona stylistyczna i artystyczna mimo dążeń popularyzatorskiej przypomina najlepsze utwory Statecznego, znać na niej, że pisze zamiłowany w przedmiocie literat, dopuszczając uczonemu do głosu dopiero w dodatku p. t. *Źródła do żywota św. Antoniego*. Sam charakteryzuje swoje dzieło następująco: „Żywot św. Antoniego przeze mnie napisany unika wszelkiej krytyki literackiej. Wypuszcza wszelkie zdarzenia, których pewność historyczna nie jest wszechstronnie zbadana; a wszystkie w nim zawarte są wynikiem krytyki nowożytnej, choć książka ich śladów na sobie nie nosi... W osnowie zewnętrznej poszedłem za Azzevedo i Dal-Gal, w wewnętrznej za biografami pierwotnymi. We wszystkim przyświecała mi słodka postać św. Antoniczka z Dzieciątkiem Jezus na ręku, jak go sztuki piękne przedstawiają a lud nasz wielbi i czci.” Wobec takiego stanowiska autora nie zdziwi nikogo staranność opracowania rozdz. XIV i XV, w którym — rzecz rzadka w hagiograficznych utworach Statecznego — pobrzmiewa także ton osobisty.

Recenzję, a raczej zapiskę bibliograficzną o tej książce znam tylko jedną, a mianowicie w t. CVI „Przeglądu Powszechnego” z r. 1910, str. 377, gdzie przypisuje się autorowi po części tylko słusznie opieranie się na źródłach historycznych przeważnie z XIII w.

Nadmienić wypada, że na jubileusz 700-letni śmierci św. Antoniego wydał drugi Górnolazak ks. dr Karol Wilk pracę krytyczną p. t. *Św. Antoni z Padwy, jego życie, twórczość i chwała pośmiertna*, rzecz oparta na źródłach, Lwów 1931, str. XVI + 200, w której jednakże nie wspomina o pracy swego krajana wcześniejszej o lat 22, chociaż powołuje się na 2 jego dzieła t. j. *Żywot św. Franciszka z Asyżu* i *Listy o wymowie* i dość starannie zebrał materiał bibliograficzny polski,

a więc wymienia *Żywot św. Antoniego* przez o. Norberta Golichowskiego, Kraków 1903 jako „pisany z wysoką erudycją”, o. A. Kubita: *Prace misyjne polskich synów św. Franciszka*, a nawet artykuł St. Siemińskiej w „Gościu Niedzielnym” 1929 r. i list z Padwy w *Moich listach* K. Makuszyńskiego. Trudno przypuścić, że nie znał pracy Statecznego, prawdopodobnie więc uważał wymienianie jej za zbędne, skoro przytoczył już A z z e v e d ę, którego *Żywot św. Antoniego* uznaje za najlepszą biografię z wieku XVIII (str. XIII) i o. Mikołaja da l G a l, przypisując jego dziełu „założenie retoryczne”.

Porównanie obu biografów śląskich św. Antoniego po poprzednich wywodach jest zbyteczne; jeżeli jednak idzie o biografię dla szerokich warstw, to wartość pracy Statecznego, a zwłaszcza jej strona stylistyczna i umiejętność przemawiania nie tylko do rozumu, lecz także do uczucia, nie ucierpiała wiele przez dzieło ks. dra Wilka.

Naczelne miejsce w tej dziedzinie twórczości Statecznego zajmuje *Żywot św. Franciszka z Asyżu*, w który włożył najwięcej czasu, pracy i miłości, wracając ustawicznie do postaci św. Biedaczka z Asyżu, jak stale go nazywa. Nie można jednak zapominać, że zasadniczy zrąb kompozycyjny książki został obmyślony od początku już nader starannie i tylko wypełnianie go i wygładzanie stylistyczne stanowią odtąd główną troskę autora. Na tę staranność rzucają pęk światła rozdziały drukowane w pierwszym kształcie w czasopismach. Najwcześniej z nich ukazał się rozdz. VII książkowego wydania t. j. *Franciszek z Asyżu i Inocenty III* w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900. Brak przede wszystkim w tym zarysie uwag, które w książkowym wydaniu zajmują 6 stron, oraz jednego kilkunastowerszowego ustępu opowiadania; podział na ustępy i ich porządek jest często inny, sporo też jest przeróbek i poprawek stylistycznych. W tym samym czasopiśmie z r. 1904 ukazał się r. XXIX p. t. *Dramat miłości na górze Alwernii*. Z porównania z wydaniem książkowym widać, że zwłaszcza uwagi uległy wydatniejszym przeróbkom i dodatkom, przybyły np. w wydaniu książkowym obszerne uwagi 6 i 19. W tekście opowiadania charakterystyczne są poprawki stylistyczne, jak np. pierwotne wyrażenia: „posuwali się bardzo powoli” i „ze ścian kotliny, którym była nasiąknęła” — przekształcają się w: „posuwali się z nogi na nogę”

i „ze ścian kotliny chłonej przez cały dzień ogień słońca”. Ten sam rozdział w kształcie niemal identycznym z wydaniem książkowym ukazał się w t. XI „Przeglądu Kościelnego” z r. 1907. Na innym przykładzie rozdz. XVIII („Przegląd Kośc.”, t. VI, str. 140—153) widzimy, że z pierwotnego opowiadania wydzielił autor niektóre ustępy do uwag.

Punktem wyjścia dla Statecznego były prace uczonego protestanta francuskiego Paul Sabatier'a, a mianowicie jego wydanie *Speculum perfectionis* i *Vie de S. François d'Assise*, którego zasługi dla literatury franciszkańskiej wielce ceni, lecz nie zgadza się z jego tendencją przedstawienia św. Franciszka jako opozycjonisty wobec Kościoła i poprzednika niemal reformacji. Starając się więc w swoim *Żywocie św. Franciszka* o zachowanie zalet, jakie cechowały dzieło Sabatiera, a więc wartości stylistycznych i artystycznych oraz tchnienia poetyckiego, zwalcza jego tendencję, dając obraz zgodny ze stanowiskiem Kościoła i wyjaśniając w sposób przeważnie przekonywający mniemaną opozycję św. Franciszka wobec oficjalnych czynników kościelnych, zwłaszcza zaś jego stosunek do kard. Hugolina i biskupa Gwidona z Asyżu.

Rodzi się więc książka ze współzawodnictwa z Sabatierem, w którym stapiają się podziw i krytyka. Stateczny, nie wyrzekając się korzystania i wyzyskiwania zdobyczy najnowszej wiedzy, idzie jednak za pobudką artystyczną i pisze pod natchnieniem, czy raczej tchnieniem średniowiecznych źródeł, w szczególności zaś legendy 3 towarzyszy św. Franciszka. Nie wyzuwa się w zupełności z cech i umysłowości człowieka nowoczesnego, lecz rozumie doskonale, że właściwy sens historyczny i właściwą barwę da tylko wżycie się i wczucie w atmosferę wieku i miejsca, w której działał bohater jego opowieści. Jest to metoda, którą posługiwał się już w *Pierwowzorach*, a którą stosował także *mutatis mutandis* w swoich pracach historycznych Ludwik Kubala. Podpatrzył ją wszakże Stateczny nie tyle u Kubali, ile u wspólnego obu wzoru i mistrza, u Karola Szajnochy. Nie da się także pominąć pewnej zależności od Sienkiewicza, którego dzieła Stateczny znał doskonale, cytując często dłuższe ustępy z pamięci.

Jakkolwiek więc Stateczny dba o ścisłość historyczną i przestrzega na ogół porządku chronologicznego, ogólne wrażenie książki jest, że mamy do czynienia nie tyle z opowieścią hi-

storyczną, ile raczej z powieścią hagiograficzną; artysta wziął górę nad uczonym w tekście opowieści, stosunek natomiast odwrotny widzimy w uwagach, opuszczonych w II wydaniu, a wypełniających przeszło 1/4 pierwszego wydania.

Praca artysty jest przeważnie mozaikowa, składa on całość według powziętego z góry planu ze składników, zaczerpniętych ze źródeł średniowiecznych, opisów przyrody i wnikliwych obrazków obyczajowych, elementem zaś spajającym jest wiedza. Lubuje się w dialogicznym przedstawianiu myśli i pojęć osób występujących w opowieści, ożywiającym ją zazwyczaj udatnie, i w refleksjach, czasami osłabiających tok opowiadania. Mimo charakteru powieściowego całości ścisłość niemal dokumentu zachowana jest dzięki oparciu się o źródła, których opanowanie do najdrobniejszych szczegółów pozwala na niejedną zdumiewającą kombinację, a które albo wplata w tekst, nie odróżniając ich niczym od niego, jeżeli są to drobne urywki, albo wyróżnia je drukiem petitowym. Jak zaś umie się nimi posługiwać, niech stwierdzi kilka przykładów. Czytając na str. 667, I wyd. takie zdanie: „Patrząc na te kosteczki powleczone tylko cienką osłoną skóry przeźroczystej, tu i ówdzie podziurawionej, dziwili się bracia i lekarze, jak ów człowiek może jeszcze oddychać”, — któżby pomyślał, gdyby nie odnośnik, że jest to tylko transpozycja stylistyczna wyjątku z I legendy Tomasza da Celano: „*Stupebant medici, mirabantur fratres, quomodo spiritus vivere posset in carne sic mortua, cum consumptis carnibus sola cutis ossibus adhaereret*”. W podobny sposób zużytkowuje *Speculum perfectionis* w opowiadaniu o sporze braci uczonych ze św. Franciszkiem i nieudany rozjemstwie kard. Hugolina na str. 428 do 429. Inny typ przedstawia wplecenie kantyku o siostrze śmierci w opowieść o przedzgonnych chwilach św. Biedaczka na str. 668—9, lub cały rozdział o stygmatyzacji na górze Alwernii, w którym legendy franciszkańskie, *Fioretti di S. Francesco*, a zwłaszcza kartka br. Leona kojarzą się w niezwykłą całość na tle osobistych wrażeń Statecznego z tej miejscowości. Próbkę tej sztuki narratorskiej wypada tu przytoczyć: „Wtem jęła się spoza pierścienia gór wschodnich wytaczać świetlista tarcza słońca. Gdy się przemieniła w ogromną kulicę, ziejącą na wszystkie strony ogniem, zdawało się, iż jakieś dziwne przybiera na się kształty. Najpierw poruszyła się gwałtownym ruchem, sunąc lekko w kierunku wiszaru, na którym spoczywał

Franciszek. Lecz tocząc się po rannych falach powietrznych, poczęła powierzchnia kuli pękać i zaginać się w cztery warkocze świetlane, tworzące wyraźnie kształty krzyża. Na krzyżu zaś zawiązywało się światło i układało w postać i rysy człowieka, podczas gdy w poruszeniach tego dziwnego zjawiska niewątpliwie dawał się słyszeć szum skrzydeł, jakby anioł przecinał szybę powietrza" (str. 607—608).

Książka Statecznego posiada niewątpliwie polot nie tylko literacki, lecz także poetyczny, ale nie wynikał on jedynie z zamiaru autora, narzuciła mu go przede wszystkim synteza sprzeczności między młodością, a dalszymi kolejami życia świętego bohatera. Ujmuje ją Stateczny następująco: „Tą wspólną kanwą jednego i tego samego człowieka w dwóch różnych epokach jest rycerska poezja właściwa średniowiekom, a jej konkretnym wyrazem jest prawda i miłość" (str. 6—7). Lecz i sam autor uległ nie tylko poezji, lecz także miłości przedmiotu, tak żywo przemawiającego do niego również osobistą analogią. Zdania takie jak: „W młodym Franciszku widzimy jednego z siebie samych" (str. 5), lub „Któż z nas nie zaznał podobnych podnieć do celów wyższych! Kiedy pedantyzm na ławach szkolnych w gnuśność i zanik wprawiał ducha, a materializm życia prywatnego groził upadkiem skromności zaszczipionej w objęciach matki, wtedy byle lotniejsze słowo: poezja, wolność, ojczyzna, ludzkość! podnosiły naszego ducha, strącając pył, zabezpieczając wrodzoną szlachetność" (str. 11) — nabierają dla nas, znających życie Statecznego, treści i wyrazistości. Tym tłumaczy się niewątpliwie ton osobisty, podzwaniający w całym dziele i prowadzący autora do żywego niemal współudziału w walce gorliwych towarzyszy przeciw Eliaszowi z Kortony i do zapomnienia o upływie czasu i zmianach stosunków życiowych. Autor żyje często życiem swego bohatera lub ożywia przeszłość własnym życiem. Niełatwo jest wyjaśnić powód, dla którego Stateczny dwa rozdziały, należące raczej do tego dzieła, umieścił jako pierwszy i ostatni w następnej książce p. t. *Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka* nawet, jeżeli przyjmiemy, że jest to właściwie jedno dzieło w dwóch częściach, jak to przyznaje sam autor w uwadze na str. 574 *Rozbioru*. Jeżeli rozdział o pismach św. Franciszka ze względu na sposób opracowania odróżnia się od *Żywotu*, a zbliża do *Rozbioru*, to brak tego powodu przy rozdziale o św. Franciszku na tle swego wieku i spo-

łączeństwa, który zarówno pod względem treści jak stylu należy do *Żywotu*. Nie było przeszkody chronologicznej, gdyż powstał on przed r. 1910, a więc pozostaje tylko przypuszczenie, że może wzgląd na objętość książki spowodował przesunięcie rozdziału z jednego do drugiego dzieła.

Żywot św. Franciszka z Asyżu jest najbardziej znanym dziełem Statecznego, świadczą o tym nie tylko dwa jego wydania, lecz także wynurzenia różnych osób, z którymi o tym autorze górnośląskim rozmawiałem. Tej popularności książki odpowiada także ilość recenzji i wzmianek. Mamy je więc w „Miesięczniku Kościelnym”, t. IX z r. 1913, str. 303—304, w „Homiletyce” z r. 1913, str. 96, w nrze 6 „Kuriera Poznańskiego” z r. 1913, w „Kronice diecezji sandomierskiej” nr. 3 z r. 1913, w nrze 30 „Gazety Kościelnej” z r. 1913, w nrze 1 „Dziennika Poznańskiego” z r. 1913, w „Sodalis Marianus” z r. 1913, str. 126, w „Wiadomościach Kościelnych” z r. 1912, nr. 22, w „Ateneum Kapłańskim” z r. 1913, str. 270—272, w „Dwutygodniku Diecezjalnym” z r. 1912, nr. 21.

Są to recenzje pochlebne, zgodnie podkreślają rzeczowość i gruntowność opracowania, pobożność i prostotę obok poetycznej formy opowiadania. W „Kurierze Poznańskim” zestawiono dzieło Statecznego z pracami dawniejszymi polskimi o *Prokopa kapucyna* i prof. *Porębowicza* z tym wynikiem, że zapełnia ono lukę w polskiej literaturze hagiograficznej, a równe jest najlepszym zagranicznym.

Szerzej o tym mówi ks. St. Okoniewski w „Ateneum Kapłańskim”, w którym omawia książkę Statecznego razem z przekładem pracy *Joergensena*. Recenzent zachwycą się artyzmem autora i umiejętnym użyciem legendy. „Z zapyłonych starych dokumentów powstaje pod tchnieniem autora nowe życie. Poszczególne fakty, powiązane logicznie, układają się w obraz zachwycający barwą i rozmachem.” Nie przesłania mu ten zachwyt wszakże oczu wobec omawianego równocześnie dzieła *Joergensena*, któremu przypisuje więcej zalet literackich, Statecznemu zaś większą wartość historyczną.

Tak samo uznaje ścisłość historyczną H. (ks. Hozakowski) w „Miesięczniku Kościelnym”, chociaż zastrzega się, że nie wszystko w książce omawianej odpowiada ścisłej metodzie krytycznej, o którą autorowi zapewne mniej szło, skoro chciał dać całokształt wiarogodny ze stanowiska współczesnego św. Fran-

ciszskowi. Czytelnik zyskuje na tym, gdyż ma w dziele więcej życia i sposobności przejęcia się duchem św. Franciszka. Ks. Hozakowski pierwszy zauważył, że książkę czyta się jak powieść, ale głęboko pouczającą, nie wyciągnął atoli wniosku, że jest to rzeczywiście powieść hagiograficzna. W sprawie umieszczenia przypisków różni się ks. Hozakowski od ks. Okoniewskiego, który ten sposób pochwalał.

Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka z Asyżu i do literatury franciszkańskiej różni się już z natury rzeczy od „*Żywota*”. Autor zmuszony do ścisłości badacza, ustalającego genezę i wzajemne związki źródeł zwłaszcza średniowiecznych i uzasadniającego swoje krytyczne stanowisko wobec opracowań nowszych, nie rozwija zalet literackich tak swobodnie, jak w poprzednim dziele, lecz nie staje się suchym tylko registratorzem zjawisk. Dochodzą do głosu jego upodobania i predylekcja do pewnych źródeł, z którymi często tak dalece sympatyzuje, że dzieli ich przekonania jakby był współczesnym im człowiekiem. Zmiana wszakże postawy autora wobec materiału wyraziła się w wyglądzie książki. Przypisków nie wydzielono tutaj poza tekst opowieści w odrębne całości po każdym rozdziale, lecz umieszczono je pod tekstem.

Zaczyna autor od rozbioru pism św. Franciszka, po czym omawia kolejno legendy o nim, a więc obie Tomasza a Celano, wierszowaną prawdopodobnie Henryka z Pizy, br. Juliana ze Spiry, Jana z Ceperano, przypuszczalną Bartłomieja z Trydentu, *Speculum perfectionis*, legendę Trzech Towarzyszy, św. Bonawentury i br. Bernarda z Bessy, dalej kroniki: br. Jordana a Jano, Tomasza d'Eccleston, bezimienną, Fra Salimbene, Franciszka Venimbene, Angela Clarenco, Hubertyna a Casali, Alvarusa Pelegiusa, *Fioretti*, *Kronikę XXIV Generałów*, Mikołaja Glassbergera, br. Marka z Lizbony itd. Nie zapomina także o kronikach i materiałach polskich, jak o kronice Jana z Komorowa, jakkolwiek o początkach zakonu poza Polską nic nowego nie przynosi. Następnie omawia dokumenta i opracowania krytyczne, jak *Opus conformitatum* br. Bartłomieja z Pizy i *Annales Waddinga*, komentarz Bolandystów itd. do w. XIX. Lwią część książki wypełnia omówienie świadectw średniowiecznych z w. XIII i XIV, przy czym

często zabiera głos osobisty autor, aby rozstrzygnąć wartość poszczególnych legend na tle sporu o dziedzictwo czystej nauki św. Franciszka. W sporze tym między braćmi gorliwymi a rozluźnionymi staje po stronie pierwszych przeciw Eliaszowi z Kortony przede wszystkim. Nie zaprzecza Eliaszowi zasług na polu artystycznym, lecz potępia go jako osłabiiciela ducha Zakonu. Tym rozłamem tłumaczy Stateczny różnice między legendami co do przemilczania lub podkreślania pewnych faktów z życia św. Franciszka, a zwłaszcza różnicę między pierwszą a drugą legendą Tomasz a Celano, wyświetlając rozmiary wpływu Eliasza na powstanie pierwszej legendy. Specjalną miłością otacza Stateczny *Speculum perfectionis*, mimo jego chaotycznego układu i *Legendę 3 Towarzyszy*. Przy sposobności oddaje należytą sprawiedliwość Sabatierowi jako twórcy pierwszego krytycznego wydania *Speculum*, którego charakter dopiero teraz należycie się uwydatnia. Jeszcze lepiej widać umysłowe zalety Statecznego w rozdziale o zrekonstruowanej przez o. o. Marcellina da Civezza i Teofila Dominichelli *Legendzie Trzech Towarzyszy*, który to rozdział jest punktem kulminacyjnym dzieła pod względem umiejętności wnioskowania. W rozdziale o *Legendzie św. Bonawentury* wraca do tematu, omówionego krócej już w *Żywocie św. Bonawentury* i podnosząc jej zalety, broni jej przed zarzutami protestantów. Do rozdziałów, pisanych z zapałem i zamiłowaniem, zaliczyć trzeba również: o kronice Fra Salimbene, o *Fioretti* i Łukaszu Waddingu, którego kilkakrotnie nazywa „królem historii i krytyki w literaturze franciszkańskiej”.

Mniej szczegółowo przedstawia Stateczny innych autorów literatury franciszkańskiej, zaznaczając już w samym tytule, że nie zamyśla dać wyczerpującego wyliczenia wszystkich prac, lecz tylko charakterystykę dzieł najgłówniejszych, a mianowicie: Z bibliografii rozumowanej literatury franciszkańskiej XVIII, XIX i XX w. Charakterystyki poszczególnych książek drukowane *petitem* są często powtórzeniem poprzednich recenzji, co mogłem stwierdzić zwłaszcza przy ocenie prac Pierrona, Hefelego i Joergensena. Cechą znaną w obu dziełach o św. Franciszku jest, że Stateczny uwzględnia jak najszczegółowiej wszystko, co się w polskiej literaturze do św. Franciszka odnosi, rekapitulując materiał na str. 513—515 *Rozbioru*. Zamyka książkę omawiany już rozdział o św. Fran-

ciszką na tle swojego wieku i społeczeństwa, który, moim zdaniem, o wiele więcej byłby na miejscu w *Żywocie św. Franciszka*. Włączenie go do *Rozbioru* jest czysto mechaniczne, albowiem pokrewieństwo z tym dziełem istnieje tylko o tyle, że przy omawianiu poszczególnych legend i kronik uwzględniał autor również tło historyczne i społeczne, ich związek z życiem współczesnym ich powstaniu.

Rozbiór pokazuje nam Statecznego jako uczonego, gdy *Żywot* raczej jako literata, oba zaś razem rzucają sporo światła na organizację psychiczną ich autora.

Również i ta książka doczekała się kilku recenzji i wzmianek, z których najważniejsze streścimy. Znajdują się one: w „Książce” z r. 1914, nr 7, w „Przewodniku Bibliograficznym” z r. 1914, str. 59—60, w „Przeglądzie Diec. Kieleckiej” z r. 1913, nr 12, w „Miesięczniku Kościelnym”, t. XI z r. 1914, str. 231—234, w „Sodalis Marianus” z r. 1914, str. 119, w „Kronice diecezji przemyskiej” z r. 1914, nr. 3—4, w „Przeglądzie Powszechnym”, t. CXXIII z 1914 r., str. 109—114.

Recenzent „Przeglądu Powszechnego” J. K. omawia *Rozbiór* na tle porównawczym prac krytycznych z hagiografii, uważając metodę Statecznego za wzorowaną na Bernheimie i Sabatierze. Zarzuty J. K. odnoszą się do pobieżnego stosunkowo potraktowania nowszej literatury, pominięcia tradycji uwiecznionej w sztukach pięknych, a wreszcie nieorganicznego związku z dziełem rozdziału ostatniego, który ma znaczenie tylko ze względów artystycznych. W ogólności wszakże recenzent ma pełne uznanie dla wartości dzieła w hagiografii polskiej, a w szczególności franciszkańskiej. „Każda strona mówi, że kreslił ją wielki znawca literatury franciszkańskiej i nieustrudzony pracownik, który w hojnie rozrzuconych przypiskach składa dowód mrówczej gorliwości w zaznajamieniu się z pracami.”

Niemniej pochlebnie ocenia dzieło ks. Szkopowski w „Przewodniku Bibliograficznym”, widząc w autorze „zadziwiający dar metody badania i bystry umysł krytyczny”, podnosząc jego żywy i zajmujący sposób pisania, usterki stylistyczne zaś kładąc nieco pochopnie i jednostronnie na karb „ciężkiej łapy literatury naukowej niemieckiej”.

Najwszechstronniej wszakże i najgruntowniej zajął się dziełem ks. St. Krzeszkiewicz w „Miesięczniku Kościelnym”. Porównał on je z dziełami Sabatiera i Goetza: *Die Quel-*

len zur Geschichte des hl. Franz von Assisi, uznając je za lepsze ze względu na wyczerpanie materiału i wnikliwość w atmosferę franciszkańską. Przyznaje również Statecznemu słuszność w wywodach o wartości legendy św. Bonawentury i Fioretti. Zwraca uwagę na styl miękki i muzykalny dzieł Statecznego, upatrując w nim właściwości *dolce stil nuovo* Fioretti i Dantego, oraz prozy Vasari'ego. Ogólny sąd krystalizuje się w zdaniach, że „dzieła takiego... nie posiada żadna literatura”, że „należy je zaliczyć do rzędu tych książek podstawowych, na których musi się oprzeć każdy dalszy postęp nauki w danej gałęzi”, że „nie ma tu żadnego dyletantyzmu, nie ma erudycji na pokaz”.

Trzecią niejako częścią trylogii o św. Franciszku miało być dzieło o *Tercjarstwie*, o którym tak sam mówi: „Posiadam jeszcze rękopis o zakroju praktycznym i bieżącym, przygotowany do druku o Tercjarstwie, którego duch i kierunek w Polsce tu i ówdzie jest nieco spaczony i który należy na pierwotną jasną drogę skierować, nie chcąc, aby plon św. Franciszka dla cywilizacji polskiej był unicestwiony” (*Żywot św. Bonawentury*, str. 231).

W jakim związku z tym rękopisem jest książeczka p. t. *Kobieta Tercjarką św. Franciszka z Asyżu w odrodzeniu społeczeństwa* — nie łatwo określić, skoro tamtego rękopisu nie znamy. Nie zdaje się, żeby była z nim identyczna, mogłaby być jego częścią, ale może być także czymś odrębnym, choć pokrewnym, jako wzorowana na dziełku francuskim *La femme etc.* W 29 rozdziałach mówi o różnych rolach kobiety jako dziewczycy (11 rozdziałów), robotnicy i służącej, kobiety współczesnej, emancypantki, oblubienicy, żony i matki, zakonnicy, wdowy, kobiety upadłej, a kończy opowieścią o bł. Lukezjuszu i Bonadonnie jako pierwowzorze małżonków tercjarskich (str. 139—154), opowieścią powtórzoną dosłownie z *Żywota św. Franciszka*, str. 520—534.

Nie zaniedbuje Stateczny uzupełniania wzoru francuskiego przykładami polskimi, jak bł. Salomei, Katarzyny Sobieskiej, siostry króla Jana, królowej Jadwigi, bł. Jolanty, bł. Kunegundy, bł. Bronisławy, św. Jadwigi i jej córek, bł. Grzymisławy i Justy Konopackiej. Zapewne działalność autora jako kapelana S. S. Pasterek kazała mu w 2 rozdziałach p. t. Ko-

bieta upadła i Nierządnica-pokutnica zająć się jeszcze raz kwestią, której poświęcił poprzednio 3 rozprawki.

Książeczka ta popularna i tylko częściowo oryginalna napisana jest tonem bardziej nawet kaznodziejskim, niż kazania Statecznego, stylistycznie nie stoi od nich wyżej, zatracając miejscami zapachem barokowym lub popadając w zużyty już pseudopoetyczny styl. Próbkę tych właściwości daje następujący ustęp ze str. 64—65: „Tymczasem jednak życie społeczne i kulturalne, rozwijając się coraz bardziej i szybciej, rozpryskuje się na gałęzie i zawody coraz różnorodniejsze i nowsze, do których i kobieta współczesna jako siła i kamień w obwódce mozaikowej złożonej i żywej wchodzi.

„Na żyznych łąkach jaśniały już oddawna jej szaty jaskrawe utkane z kolorów kwiecia polnego, a po ugorach płynęła przy pracy polnej jej pieśń wesoła w zawody ze skowronkiem. Tak samo we fabrykach, w których się kruszec ziemi przerabia lub liść tytuniowy skręca lub włókna konopi i lnu przędą, zaczęła jej drobna dłoń migać.”

XIII. NOWELISTYKA LUDOWA

Obrazki ze Śląska Polskiego były próbą na polu beletrystyki ludowej. Najwcześniejszym z nich, przynajmniej pod względem druku jest *Kopciuszek Śląski*, za którego umieszczenie został skonfiskowany „Opolanin” kalendarz na r. 1898, a redaktor Bronisław Koraszewski odsiedział 6 miesięcy w więzieniu, którego zaś przeróbka p. t. *Walka kulturalna* ukazała się po 5 latach w „Górnoślązaku”.

W pierwszym opracowaniu powiastka ma treść następującą: Mieszczanin olawski Teuton wyzuł z posiadłości w Stanowicach pod Olawą ojca Marysi, a gdy umarła jeszcze jej matka „ostatnia polska matka w Stanowicach”, zabrał dwunastoletnią sierotkę do swego domu na służbę, a raczej na poniewierkę i niewolę. Nazywano ją tam „głupią Maryską”, gdyż nie była Niemką i w obcym dla siebie języku z trudnością się początkowo porozumiewała. Zabrał ją z wydarłej prawym właścicielom chaty Teuton, powodując się nie litością, lecz wyrachowaniem: „Wiodę ci tutaj ostatniego podrzutka polskiego ze Stanowic; będzie nam potrzebna, bo u nas rąk mało, a ta nędza, z głodowej śmierci wyratowana, będzie musiała spełniać wszystkie posługi.” I spełniała je za darmo, nocowała w komórcie obok węgla, wstawiała o świcie i szła spać ostatnia, popychana i poniewiera-

na przez wszystkich Teutonów, prześladowana za język polski, niepuszczana do kościoła katolickiego, — stary Teuton pozwoliłby jej iść raz na miesiąc do luterskiego — cierpiała nie tylko fizycznie, lecz także moralnie, gdy wyśmiewano i lżono jej zmarłych rodziców. Najgorszą prześladowczynią była stara Teutonka. Hasłem rodziny było: „Ty wiecznie służyć będziesz; bo nie jesteś nasza, tylko dla nas”. Tak ubiegło niemal 6 lat Marysi, aż wreszcie młody Otto Teuton, dotychczas jeszcze najspokojniejszy, gdy zdał jako tako egzamin dojrzałości, zwrócił uwagę na jej urodę i próbował ją uwieść. Ona jednak wolała młodego Polaka Stanisława Wolnego, u którego co czwartku kupowała jarzyny na rynku olawskim, mogąc się z nim rozmówić po polsku. Gdy najgwałtowniejsze zaloty młodego Teutona ponowiły się w pewien czwartek, wymierzyła mu Marysia tęgi policzek, a sama zabrała się z Wolnym do jego rodziców do Bukowego gruntu pod Brzegiem. Tam odetchnęła i pozyskała sobie pracę i przywiązaniem rodziców Stasia tak, że po 4 latach zgodzili się na jej ślub ze swym synem. Mąż nie przestał myśleć o wydartej jej ojcowiznie i czynił starania przez adwokata Krakowskiego z Opola o odebranie chaty i gruntu w Stanowicach. Wreszcie na imieniny Marysi przywiózł p. Krakowski dokument sądowy, zwracający sierocie jej spadek, a zostawszy na obiedzie u Wolnych, wyciągnął głębsze znaczenie z historii Marysi. Cierpiała ona 6 lat, jak „przez sześć wieków cierpi Śląsk pod brzemieniem obcych narodowości”. Wydzierano jej majątność, wiarę katolicką i język polski, jak to „czynią na ludności śląskiej obcy z jednego pokolenia na drugie”. Wyzyskiwano ją i urągano jej, jak wyzyskiwano Śląsk, wzbogając się jego płodami i bito „codziennie po twarzy nowymi rozporządzeniami drakańskimi”. Tak snując porównanie sieroty i Śląska, p. Krakowski kończył zachętą: „I Śląsk zaczyna się z wiekowej martwoty podnosić, dochowawszy wierności tradycji przodków i budząc w ludzie swym poczucie pochodzenia polskiego, honoru i celu, i łącząc swe rozproszone i ciemne masy w jedną śląską rodzinę polską, która nasze odrodzenie stanowi... Tylko stałości, tylko pracy, tylko zaparcia się, tylko miłości wzajemnej, bratniej i jedności, — a Bóg będzie z nami.”

Tej mowy p. Krakowskiego w całej jej głębi Wolni na razie ocenić nie umieli. Po obiedzie pojechali wszyscy do Stano-

wic, gdzie Marysia ucałowała ziemię ojcowską, wspominając słowa Mickiewicza o ojczyźnie, która jest jak zdrowie.

Niewątpliwie opowiadka miała zabarwienie ogólniejsze, lecz nie szło ono tak daleko, jak to wydedukował sąd pruski w Opolu, dla którego Maryska była Śląskiem, Staś Wolny wolną Polską, adwokat Krakowski agitacją wielkopolską, a dokument, wracający Marysi ojcowiznę, układem międzynarodowym.

W drugim opracowaniu p. t. *Walka kulturalna* zmienił Stateczny nazwisko rodziny niemieckiej na Hekatów, a więc Hekat, Hekatka itd., Stanisław Wolny jest tu Bronisławem, adwokat ma nazwisko Koraś, pochodne od redaktora Koraszewskiego. Znikła także porównawcza przemowa adwokata, zamiast niej jest tylko dłuższa mowa Korasia o walce kulturalnej, „którą biedna Maryska u nieubłaganych Hekatów prowadzić musiała”. Zakończenie z cytatem z *Pana Tadeusza* także uległo zmianie, a mianowicie: „Jej (Maryski) łzy były nasieniem zwycięstwa kultury, jak krew męczenników była nasieniem zwycięstwa chrześcijaństwa”.

O tę zmienioną redakcję procesu, o ile mi wiadomo, nie wytoczono, chociaż istota rzeczy pozostała ta sama. Pierwsze to opowiadanie Statecznego jest jeszcze nieco nieporadne, pisane z myślą ustawiczną o czytelnikach z ludu, dlatego wzorujące się na literaturze dla ludu takiej, jak ją wówczas pojmowano, pouczającej, cnotliwej, lecz artystycznie słabej. Ten sam sposób opracowania tematów wystąpi jeszcze w paru innych obrazkach.

Dzielny gospodarz ze Siołkowic przedstawia nam historię Ignaca Ziemina, zdolnego, lecz nieco lekkomyślnego rolnika, który zasmakowawszy w zabawach, rozpił się i zadłużył u żydowskiego lichwiarza Geldguta. Z zaślepienia wywiodła go dopiero ciężka choroba i staranna opieka żony jego Hulki, tak że wziął się po wyzdrowieniu gorliwie do pracy, aby spłacić dług Geldgutowi i odzyskać szacunek ludzki. Zamiar byłby się może nie powiódł, gdyż zawiedziony żyd zażądał spłaty całej wierzytelności, lecz wyczytawszy w „Górnoślązaku” o założeniu banku polskiego w Rybniku, dopożyczył w nim reszty i pozbył się wiszącej nad nim groźby lichwiarskiej. Teraz wraca nocą z Opola do domu do oczekujących go i modlących się o jego szczęśliwy powrót żony i dzieci. Opowiadanie obejmuje właściwie tylko powrót Ziemina z Opola, poprzednie zaś jego dzieje stanowią treść jego przypomnień i rozmyślań po drodze. Wi-

dzimy w tym postępie sztuki narratorskiej Statecznego, lecz tendencja dydaktyczna nie znikła, gdyż ma być on przykładem.

Wzorem dla duchowieństwa jest bohater opowiadania pt. *Ksiądz Jan*. Ów ksiądz Jan Słaniowski, proboszcz z Polskiej Cerekwi, po burzliwej przeszłości, do której autor robi tylko aluzje, poświęciwszy się stanowi duchownemu, proboszczuje przez lat 30 w P. Cerekwi, słynąc jako kaznodzieja, spowiednik, opiekun ubogich, miłośnik przyrody i dzieci, oraz kapłan-patriota. Patriotyzm jego jest gorący, lecz zgodny z charakterem jego jako duchownego, gdyż pobudką jego czynności jest przekonanie, że „dzieci polskie dochodzą prędzej i lepiej do znajomości religii, do pojęcia swoich obowiązków religijnych i społecznych za pomocą języka polskiego”. Uczy więc je przy nauce religii także czytania i pisania po polsku. Śmierć jego z wyczerpania pracą opłakują wszyscy. Stateczny kończy opowiadanie opisem swego snu, w którym widział dwa wojska zachodnie i wschodnie, starające się Górę Chełmską Św. Anny przewalić na przeciwnika. Już przewaga jest po stronie wojska zachodniego, gdy w powietrzu zjawia się ksiądz Jan i przykładem swym, idąc na przedzie, pokrzepia wojowników wschodnich tak, że Góra zdruzgotała pierzchające wojsko zachodnie. Z zakończeniem tym harmonizuje wstęp, zawierający opis okolic Polskiej Cerekwi.

Obrazek również pożądanego raczej niż istotnego współcześnie stanu zawiera: *Nowe pokolenie*, zaczynające się opisem półwyspu, utworzonego przy spływie przez Kłodnicę i Odrę, na którym rósł odwieczny dąb, pamiętający wiele pokoleń śląskich. Młodym pokoleniem są Wojciech Drozdeczek, syn zamożnego rolnika z Kłodnicy i student medycyny oraz jego bogdanka Paulina Kłodnicka, wychowanka zakładu pani Szczerbińskiej w Śremie. Miłość ich skojarzyła dawna dziecinna zażyłość, a wyznanie ułatwiła wspólna lektura *W Szwajcarii* Słowackiego. Starsze pokolenie prócz rodziców obojga młodych przedstawia opiekun Wojciecha, podczas studiów w gimnazjum raciborskim, redaktor Maćkow, w którym łatwo się domyślić Maćkowskiego. Po skończonych studiach osiada Wojciech jako lekarz w Koźlu i pokonawszy konkurencję żydów i Niemców, pozyskuje obszerną praktykę, żeni się z Pauliną, gorliwą patriotką polską, i żyje szczęśliwie w gronie dzieci, otoczony szacunkiem wszystkich Polaków.

Na łące śląskiej jest impresją przyrodniczą na tle wieczora, nocy i poranku, ożywioną przez wplecenie pierwiastków folklorystycznych oraz refleksji patriotycznych. Próbkę stylistycznego wyrobienia da nam następujący wyjątek:

„Sen, małżonek pani — nocy, potoczył tęsknym, osowiałym wzrokiem w kierunku ciemnego koła młyńskiego, którego srebrna piana wody wyrzucanej rozświetlała światłem fosforycznym mały krąg ciemności. Spojrzawszy, zadrżał z gniewu; obok stawidła bowiem zobaczył Myłka, który migając mdłym i mgłą przesiąkniętym światłem, to się zniżał pod zalewisko wód, to się podnosił nad stawidło. W oddali pod olszyną, podszywającą łakę, spostrzegł sen jeszcze inne myłki latające, jakoby jeden drugiego gonił. Nagle targnął powietrzem huk wody, wyrzuconej ze stawidła; równocześnie rozległ się głośny, szydrczy śmiech, któremu zawtórowały inne podobne okrzyki, potem plusk. Koło młyńskie, obróciwszy się ociężale jeszcze kilka razy, stanęło, a światelka i nad stawidłem i pod olszyną pogasły. Wszystko umilkło, tylko woda rzeczna wylewając się stawidłem, huczała głośno. Cóż to?

To topielec, który wprzód chciał w rzece poigrać z rusałkami i porwać dziwożonę; atoli odparty ich połączonymi siłami, chciał się przynajmniej na młynarczyku zemścić. Wyciągnął mu tedy stawidło, a potem zadowolony z wypłatanego figla, rzucił się w wodę, swoje mieszkanie. Topielce też pod olszyną poszły za przykładem swojego dowódcy.”

Skąd brały się takie myśli i obrazy zakonnikowi, odpowiada na to zakończenie: „Nie ma nigdzie jak na Śląsku tak marzycielskiego ducha ludowego, któryby łaki ożywiał. Nie ma takich łak na całym świecie. Śląską ziemię bardzo kocham.”

Spór chce załatwić się z innym niebezpieczeństwem, grożącym polskości ludu śląskiego w owym czasie. Przenosi nas on do Radzionkowa pomiędzy trzech przyjaciół, różniących się przekonaniami. Są to krawiec Jan Skowronek, rolnik Mateusz Dolina i hutnik Jędrzej Skała. Dolina jest chłopskim konserwatystą, a pod wpływem żony, pół Polki pół Niemki, nie zajmuje się zagadnieniem swojej przynależności narodowej, Skała radykalnie z natury usposobiony jest niemal socjalistą. Skowronek, patriota polski, ożeniony z podobnie czującą Ursulą, nawraca Skałę i Dolinę, wyjaśniając jednemu, że nie ma żadnej narodowości śląskiej, drugiemu zaś, że socjalizm nie

przynosi wolności i równości, lecz „swawolę i niewolnictwo i grabież, jakich świat nie widział”. Dodatkowo występuje donosiciel hakatysta Zwiker. Powiastka kończy się optymistycznie ożenkiem Skały i przyjacielskim pożyciem trzech polskich już rodzin. Spór o przekonania nie istnieje.

Opowiadanie dziadka to jeszcze jedna wersja opowieści o śpiących rycerzach, przeniesiona na grunt niezwykły, bo do środowiska polsko-protestanckiego w Smogorzewie na północ od Namysłowa. To środowisko, a ściślej biorąc, żyjąca tam rodzina Surmów i jej stosunek do podania daje autorowi sposobność do drugiej, ramowej niejako opowieści. Właściwa opowieść, włożona w usta 80-letniego dziadka Surmy, dorzuca do zwykłej w takich wypadkach koncepcji, że opowiadający sam widział śpiące wojsko, nowy szczegół na wpół historyczny, że wojsko polskie zasnęło, po zadaniu strasznej klęski chełpliwemu cesarzowi niemieckiemu, w jaskini pod Smogorzewem i odtąd śpi aż do chwili, gdy Śląsk podniesie się do nowego życia. Surma widział to wojsko, którego uzbrojenie maluje w sposób odpowiadający więcej późniejszym czasom niż średniowieczu, również we śnie, ale cudownym, gdyż obudził się w przeciwnej stronie Smogorzewa niż ta, gdzie zasnął. Odtąd już lat 55 czeka na spełnienie obietnicy króla, że się wnet zjawi. Rodzina Surmy zastanawia się, czy tym królem polskim był Chrobry czy Krzywousty. Autor, uznając znaczenie podania, wyjaśnia rodzinie Surmów, że jest ono tylko przypowieścią, gdyż śpiącym wojskiem jest lud, który zbudzi dopiero duch polski.

Widok zbliża się treścią i opracowaniem do obrazka *Na łące śląskiej*. Autor wybrał się w towarzystwie kilku inteligentów do Sławikowa nad Odrą i tu pod wieczór został sam na pagórku, patrząc na płynącą Odrę, którą obszernie opisuje jako siostrę Wisły, gdyż obie rodzą się na łonie ojczyzny polskiej. Usposobienie Odry porównywa z usposobieniem Śląska. W zadumie pyta Odrę, czemu płynie do Niemców, jakby nie chciała pomóc Śląskowi w walce z zalewem niemieckim. Rzeka obiecuje pomoc, lecz tylko w razie stałej poprawy, dalszym obrońcą będzie bór, który tyle razy pełnił tę rolę. Lecz widać także niebezpieczeństwo, którego symbolem staje się lokomotywa, przywożąca obce towary, psujące duszę ludu. Gdy nadchodzą towarzysze, wznosi autor okrzyk na cześć polskiego Śląska, lecz powtarza go z zapalem tylko młody ksiądz, inni zaś ostrożnie

i nieśmiało. Stąd rozczarowanie: „Ja zaś posmutniałem, że nas w tej przecudnej okolicy jeszcze tak mało”.

Przedstawienie teatralne również składa się z dwóch opowieści ramowej i wtrąconej, która podaje treść sztuki ludowej, rozwijającej pospolity motyw zalotów fabrykanta niemieckiego Adlera do pięknej Kasi. Narzeczony jej Michał, uprzedzony o tym, że Adler zamysła przez służalców jakąś dziewczynę uprowadzić, odbija ją, Adlera zaś obija kijem. Ostatnią odsłonię stanowi wesele pary młodej, przy czym druhowie Michała zachęcają go do dalszej pracy dla dobra religii katolickiej i narodowości polskiej. Następných części przedstawienia, t. j. jasełek i obrazu biblijnego o Józefie i jego braciach autor obszerniej nie streszcza; gdy zaczęto śpiewać: Boże, coś Polskę, komisarz policji przerwał przedstawienie i rozwiązał zebranie. Wzburzonych gości uspokoił przewodniczący towarzystwa Kopopka i skłonił ich do rozejścia się po tej próbie pruskiej „wolności”. To jest zakończenie ramowego opowiadania, początek zaś stanowi opis tłumów wieśniaczych i robotniczych, spieszących na przedstawienie w sali Warzechy w Katowicach.

Gromada w Rzeczycach przenosi nas w stosunki z rodzinnym Witosławic Statecznego. W dzień letni zbiera się u wójta Rudolfa Sikory gromada czyli rada gminna. Pisarz, a zarazem nauczyciel ludowy Galaś, skarży się na pracę, której mu przysparza swymi wnioskami radny Korczewski (pierwotne nazwisko Statecznych). Do rady należą jeszcze: Kirchniawy, młynarz Gregor, Musioł, Kowaczek, Joško, Bilcer, Haroška, Strącik, Komorek i Sikora starszy. Na urzędowym posiedzeniu rada wybiera nowym kasjerem Wołka, uchwała szarwark na naprawę drogi, założenie straży pożarnej (Stateczny zowie ją tak i ogniową), założenie kasy raiffeisenowskiej, dopóki nie zbiorą dość kapitału na bank ludowy, ochronę młockarni, oświetlanie wozów, odrzucają zaś wniosek o wprowadzenie buhaja rządowego, gdyż wystarcza im byk Bilcera. Zalecają także ubezpieczanie się od ognia w polskim tow. Vesta na wniosek Korczewskiego, podczas gdy Kirchniawy popiera niemieckie towarzystwo ubezp. z Turyngii. Jako formę ogłaszania uchwał przyjmują propozycję Korczewskiego, aby radni tłumaczyli je, ogłaszając sąsiadom, proboszcz zaś podawał z ambony te uchwały, które można podać w kościele. Na tym kończy się część urzędowa, po której wójt częstuje radnych piwem, po czym prywat-

nie już postanawiają nie dopuścić do założenia we wsi Kriegervereinu, pochwalają wystąpienie proboszcza przeciw śpiewowi niemieckiemu, a gdy ostrożny Galaś opuszcza ich w tym momencie, poczynają omawiać zachowanie się nauczycieli ludowych, których z ludem nic nie łączy; postanawiają, aby dla popierania gazet szczeropolskich założył Jośko agencję, aby zawiązano stowarzyszenie młodzieży polskiej i tow. rolnicze, aby zboże sprzedawano polskiemu związkowi robotniczemu w Gliwicach, a wreszcie na wniosek Korczewskiego, aby w każdym domu kobiety uczyły z elementarzy dzieci po polsku. Obrazek kończy się dzwonkiem na Anioł Pański i śpiewem majowym dziewcząt przed figurą.

Widzimy tu i realne pierwiastki stosunków we wsi rodzinnej i pragnienia autora, jak powinna wyglądać wieś polska na Śląsku.

Autorstwo *Wigilji górnika* przez Statecznego wydaje mi się wątpliwe. Przedstawione w nim jest mieszkanie Franka Białasa, który poszedł do pracy, lecz nie wrócił na wigilię, przygotowaną przez żonę, gdyż zginął w kopalni. „Dzieciatko zabrało go do siebie.”

Obszerne opowiadanie *Wśród dymu i ciemności* podejmuje na tle życia robotników zagadnienie, jak gdyby Judymowe. Zabawa hutników w restauracji Redena w dolinie pod Królewską Hutą rozpoczyna akcję. Bohaterem opowiadania jest piękny Zygmunt Wójcik, który po ukończeniu 6 lat gimnazjum katowickiego pracował początkowo w kopalni w Chebziu, następnie przeszedł do hutnictwa i wnet zostanie dozorcą. Ale praca zawodowa nie pochłania go wyłącznie, organizuje on narodowe stowarzyszenie polskie w Królewskiej Hucie, którego jest prezesem, i popiera działalność „Górnoślązaka”, uważając, że radykalny kierunek w publicystyce jest potrzebny tak, jak radykalne środki w medycynie. Żenić się nie zamierzał, aby móc oddać się całkowicie pracy narodowej, ale właśnie na zabawie poznał siostrę swego przyjaciela górnika Jadwigę Pióreczką, która z Świętochłowic przyjechała odwiedzić brata. Dziewczyna spodobała się mu, toteż stara się z bratem jej nawiązać jak najściślejsze stosunki, aby jej rękę uzyskać. Pomaga temu bratu do uzyskania ręki Jadwigi Cichoszówny, córki rolnika z Trynku w Gliwicach. Po pokonaniu przeszkód odbywa się huczne podwójne wesele w restauracji Redena, na które zjeż-

dżają goście z całego Śląska. Ciekawy opis strojów ludowych w pochodzie weselnym uzupełnia opowiadanie. Najważniejsze wszakże części mniej mają związku z fabułą, są to opis huty, kopalni i drobnej katastrofy, zebrania towarzystwa polskiego, plany powszechnego związku polskiego wzajemnej pomocy; w nich odbija się tendencja opowiadania, w które wpleciono także aktualne szczegóły jak o latach gimnazjalnych i pracy w kopalni redaktora „Górnoślązaka” (t. j. Korfantego).

Jedynie opowiadanie humorystyczne, choć nie pozbawione tendencji patriotycznej, — to *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa*, napisane w części dialogicznej narzeczem baborowskim, a w części narracyjnej silnie nim zabarwione. Francek wraca po dwuletniej służbie przy ułanach z Głogówka do Chodkovic, przesiąkły niemczyzną i tresurą podoficera Streichera. Butny wchodzi do chaty rodzicielskiej, popisuje się swoją bardzo marną niemczyzną i parademarszem przed oburzonymi rodzicami, rozbija przy tym miskę i bierze za to i za żądanie mięsa w piątek od matki w plecy. Potem musi zdjąć buty, obejrzeć gospodarstwo i wziąć się do młocki w stodole. Gdy tam siostrze Lizie pokazuje na bosaka parademarsz, kaleczy się na grabiach i odzyskuje naraz wprawę w polszczyźnie, w której poczyną narzekać. Tak się nawrócił Francek Krybus.

Ujemny wpływ gimnazjów pruskich na młodzież polską pokazuje Stateczny w *Zdrajcy*. Jest to syn chłopca, a potem robotnika Ptoka, który zrujnował ojca na naukę, po czym przezwiał się Voglem, lecz mimo początkowych korzyści z renegektwa wyleciał ze szkoły za fałszowanie świadectw. Po kilku próbach różnych zawodów i paru brudnych sprawkach zostaje w Berlinie reporterem gazety hakatystycznej, protestantem i konfidentem policji pruskiej dla spraw polskich. Tę karierę przerywa wyjście na jaw faktu, że dla zysku był także stręczycielem, a nawet chciał własną siostrę sprzedać bogatemu Raupemu. Musi usunąć się z Berlina i kupuje sobie dom w Gliwicach, a gdy go ojciec odtrącił jako renegata, śledzi ruch polski z zemsty, prowokuje ludzi do wynurzeń i donosi. On to denuncjował kalendarz „Staropolanin”, a teraz śledzi świeżo założoną gazetę w Katowicach („Górnoślązaka”). Tu charakterystyka jej redaktora: „Z przerażeniem dowiedział się Vogel, że jej kierownik jest synem ludu śląskiego. I to nie byle jakim; ale człowiek tak wszechstronnie wykształcony, taką niezłomną wolą

obdarzony i ofiarnością głęboką przejęty, że równego trudno znaleźć. Dowiedział się, że ów człowiek jest młody i tak szlachetny, że chyba całego ludu śląskiego jest wykwitem. Instynktem zwierzęcym poczuł Vogel, że gdy ów człowiek podniesie swój głos na cały lud śląski, stanie się bożyszczem ludu i rycerzem wymarzoną udręczonej duszy ludu śląskiego". Vogel, chcąc lepiej śledzić działalność redaktorów, przenosi się do Bytomia i wciska się na zebranie ludowe, na którym przemawiają kierownicy gazety, lecz do ich słów nie może się przyczepić. Może to zrobić dopiero z przemówieniem własnego ojca, za które urzędnik policyjny zebranie rozwiązał, a oddając sprawę sądowi, podał za świadka Vogla, obecnie już zbędnego rządowi pruskiemu. Vogel byłby i przeciw ojcu świadczył, lecz sąd do tego nie dopuścił. Sceną wyczekiwania na wyrok przez gromadę ludu i oburzeniem jego na Vogla zaczyna się opowieść, początkowe lata zdrajcy przedstawione są w formie wspomnień podczas tułaczki po polach. Vogel wraca nocą do domu i zamyka się na 2 dni, po których policyjny urzędnik zawiadamia go, że ojciec zmarł przy czyszczeniu kotła parowego. Wieczorem widzi pochód pogrzebowy ojca, przechodzący pod oknami jego mieszkania, a w nocy się wiesza.

Mężna niewiasta opowiada o żonie nauczyciela szkoły powszechnej w Rybniku Bronisławie z Liszczyńskich Skowrońskiej, która nie tylko 2 synów i 2 córki wychowała na dzielnych Polaków, lecz także mimo sprzeciwu trwożliwego męża szerzyła przykładem i przez zakładanie stowarzyszeń polskich uczucia patriotyczne. Jest ona przeciwniczką posyłania synów do seminariów nauczycielskich, a natomiast za oddawaniem ich do zawodów praktycznych (myśl samego autora). Doczekała się wreszcie spensjonowania męża, który teraz będzie mógł spełnić jej najgorętsze życzenie, uczyć swoje wnuki po polsku.

Spuścizna jest opowiadaniem w formie listów dwóch przyjaciół energicznego Adama i młodszego, nieco niesamodzielnego Juliusza, o ich pracy nad zorganizowaniem ludu polskiego. Korespondencję tę odpisał autor z przypadkowo znalezionych oryginałów. Adam, hartowny i doświadczony, pracuje głównie wśród robotników i rolników w Pszczyńskim. Listy Adama zawierają cały program działalności narodowej na Śląsku dla Polski, która nie istnieje wprawdzie jako państwo, lecz jest jako naród kulturalny i społeczeństwo. Wobec tego obowiązki

względem państwa pruskiego kończą się na przestrzeganiu kodeksu cywilnego, z którego trzeba korzystać, gdy daje prawa, skoro się spełnia nałożone przezeń obowiązki. Stosunek pierwszeństwa w obronie wiary i narodowości zależy od tego, które z tych dwóch dóbr jest więcej zagrożone: „a priori pierwsza jest wiara, a posteriori pierwsza jest narodowość”. Ogólnopolskie zasady streszczają się w zdaniu: „Przyznam ci się otwarcie, że mnie osobiście nic a nic nie pociąga ideał Polski od morza do morza, jak nas przeciwnicy nasi przedrzeźniają. Choć nic w tym niedorzecznego lub niemożliwego nie widzę... Podstawą moich ideałów narodowych jest ziemia polska i lud polski. Zadaniem tedy naszym jest obrona tej ziemi, którą jeszcze trzymamy w rękę i zdobycie ponowne tej, którą nasi ojcowie nieoględnie wypuścili z rąk”. Juliusz, młody agronom, wspierany radami starszego przyjaciela, wyyskuje swój pobyt w Kluczborskiem, aby tam założyć polskie kółko rolnicze. Przedtem jedzie do Pszczyny, gdzie Adam żeni się ze Ślązaczką, gdyż uważa za obowiązek urabianie na dobre wychowawczynię dzieci polskich tych Ślązaczek, które się jeszcze nie zniemczyły. Na tym urywa się opowieść w listach. Prawdopodobnie charakterystyka Adama jest refleksem znajomości z drugim redaktorem „Górnoślązaka” Kowalczykiem.

Ostatni z obrazków *Pielgrzymka górnośląska* świadczy o szerokich znajomościach wśród działaczy polskich na Śląsku i w Krakowie, którzy występują tu pod zmienionymi częściowo lub całkiem nazwiskami. Poza tym ma być zachętą do zwiedzania Krakowa i jego okolic, stąd też opisy obliczone są na zaciekawienie czytelników, a wprowadzenie Ślązaków z całego obszaru obu Śląsków (Górnego i Cieszyńskiego) ma przemówić do przyszłych uczestników pielgrzymek. Z organizatorów wycieczki śląskich góruje redaktor Miarków rodem z Mikołowa, a zamieszkały w Pszczynie, z krakowian wspomniani kaznodzieje ks. Federów od paulinów na Skałce i ks. Sokołów misjonarz; do tego zakonu wstępuje jeden z uczestników pielgrzymki, koncypient Stachon z Gliwic, drugi zaś kandydat teologii Łukaszczyk wraca pokrzepiony na duchu. Są w tej opowieści i osobiste aluzje, np. do Alwerni, gdzie gwardianem jest krajan śląski, a więc sam Stateczny, czyli założeniem jest, że pielgrzymka odbyła się na Zielone Świąta r. 1901.

Omówione dopiero co i streszczone z powodu ich częściowej niedostępności obrazki nie straciły mimo doraźnej ich aktualności jeszcze dziś swej wartości. Składają się na nią różne czynniki. Pierwszym z nich jest znaczenie niby dokumentu historycznego jako obfitego źródła do znajomości ludzi, kraju, obyczajów i prądów na Górnym Śląsku na przełomie XIX i XX w. Jesteśmy z autorem w każdym niemal zakątku ziemi górnośląskiej od Baborowa po Kluczbork i Namysłów i od Brzegu po Katowice, nie mówiąc nic o pielgrzymce do Krakowa. Przebywamy najczęściej na wsi i w chatach wiejskich, ale widzimy także inteligencję i półinteligencję śląską przy pracy i w życiu domowym, zawieramy znajomość ze środowiskiem robotniczym, poznamy życie w kopalniach i fabrykach.

Jakkolwiek tendencja tych opowiadań nie wpłynęła dodatnio na ich wartość artystyczną, trudno jej odmówić znaczenia zarówno ze względu na osobiste ideały autora, jak ze względu na to, że w nich odzwierciedlają się dążenia najgorętszych narodowców górnośląskich. Zawarty w nich jest cały program podniesienia ludu śląskiego na takie wyżyny organizacyjne, żeby stał się samowystarczalnym i stosunek swój do Niemców i państwa pruskiego ograniczył naprawdę tylko do przestrzegania kodeksu cywilnego, nim znajdzie się w wolnej Polsce.

Stąd płynie ton przeważnie optymistyczny, na który autor zdobywa się tym chętniej, im bardziej w głębi duszy skłania się ku pesymizmowi, ku wyznawaniu salomonowej „marności nad marnościami”. Z kręgu bowiem nastrojów pesymistycznych stara się wyłączyć swój patriotyzm i ukochany Śląsk.

Tendencja zaważyła na wartości artystycznej; pisząc dla ludu, Stateczny początkowo uległ ogólnemu, dawniejszemu pogładowi, że oznacza to rezygnację z wykwinniejszych środków artystycznych na korzyść dostępności, zrozumiałości i dydaktyzmu, ale wnet ocknął się i próbował sztukę pisarską poprzeć użyciem różnorodnych form narracyjnych i sposobów rozwijania akcji. Dydaktyzm zaciążył jednak nad całością przeważnie ze szkodą dla poszczególnych opowiadań. Najmniej stosunkowo wpłynął on na *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa* oraz na 2 impresje krajobrazowe: *Widok* i *Na łące śląskiej*.

Obrazy przyrody śląskiej częste są w tych *Obrazkach*, podobnie jak w innych dziełach Statecznego, ale wprowadza także gdzie może opisy dzieł sztuki, zwłaszcza w *Pielgrzymce górno-*

śląskiej, z ukochanego Krakowa i opisy ruchu fabrycznego i kopalnianego. Najczęściej czyni to w ten sposób, że przesuwa je przed oczyma czytelnika łącznie z ruchem którejś postaci powieściowej. Tak więc życie w fabryce i na kopalni poznajemy, przechodząc przez nie z Zygmuntem Wójcikiem (*Wśród dymu i ciemności*), krajobraz od Mysłowic do Krakowa rozwija się z ruchem pociągu, a pielgrzymów z różnych okolic Śląska widzimy, idąc z Miarkowem przez wagony kolejowe (*Pielgrzymka Górnośląska*).

Inny typ kompozycyjny przedstawiają te obrazki, w których mamy dwa opowiadania, jedno ramowe, drugie zaś właściwe, przy czym w jednym wypadku nie wiadomo, które jest ważniejsze. Odnosi się to do *Opowiadania dziadka*, gdzie legenda o śpiących rycerzach jest tylko punktem zaczepienia dla tendencyjnej opowieści o polskości rodziny protestanckiej Surmów w Smogorzewie, do którego Stateczny ma pewien specjalny sentyment. Natomiast w *Przedstawieniu teatralnym* ważniejsze od ramy jest opowiadanie właściwe, streszczające na tle obyczajowym rzekomą sztukę ludową. Temu typowi pokrewny jest inny, w którym tylko wstęp i zakończenie obejmują właściwą szczerpłą akcję, natomiast jej precedensy wyrażają się przypomnieniami osoby działającej (*Dzielny gospodarz ze Siołkowic i Zdrajca*). W innych są próby użycia gatunków pokrewnych noweli, lecz należących formalnie do innych dziedzin, a więc jak gdyby pamiątnik o osobie drugiej w *Księdzu Janie*, lub korespondencja 2 przyjaciół w *Spuściźnie*, czy wreszcie wspomnienia, ubrane niemal w formę sprawozdania w *Gromadzie w Rzeczycach*. Są to środki różnego pochodzenia i jakości, niektóre bardzo zużyte, inne zaczerpnięte z literatury nowszej, a nawet jak na swój czas i przeznaczenie *Obrazków* dość niezwykle.

Obrazki należą do literatury regionalnej śląskiej i tylko na tle porównawczym tej literatury, a więc z powieściami Lompy, Miarki, Napieralskiego i innych nabierają właściwej wartości; pierwiastki wszakże regionalne ograniczają się zwykle do tematu, jedno tylko *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa* czerpie także z narzecza ludowego, w innych użycie go jest umiarkowane i poprzestaje tylko na nielicznych wyrażeniach.

W literaturę polską, nawet ludową *Obrazki* wносиły poza tematem niewiele, lecz nawet wrażenie tematu osłabiała tendencja wyrosła nad miarę. Jej służył przeważający w opowia-

daniu i doborze efektów rozsądek, jej ulegało uczucie, a nawet wyobraźnia, będąca zresztą najsłabszą stroną Statecznego, wysilała się zgodnie z tendencją na malowanie nie tego, co było lub jest, lecz jak być powinno, czy raczej tego, co według pragnień autora być mogło. W tej tendencji rozplywa się realizm szczegółów, który podkreślony i zabarwiony odpowiednio przez wyobraźnię, mógł przemówić silniej do czytelnika niż na to pozwalało założenie autora, że swoje opowieści dawać będzie z zamierzoną z góry tezą. Tej słabości nie zdołali zatrzeć wysiłki autora jako stylisty, zwłaszcza że ta właściwość najmniej chyba znalazła oddźwięku wśród przeważającej liczby czytelników „Górnoślązaka”; druk zaś w czasopiśmie skazywał je na byt doraźny, dopóki były aktualne. Tym tłumaczyć należy obok innych przyczyn, że ich wydanie książkowe skończyło się na pierwszym tomiku, w którym poza tym nie znalazły się właśnie prócz impresji *Na łące śląskiej* rzeczy wartościowsze, do których mimo wszystko należy zaliczyć *Kopciuszkę Śląskiego* (*Walkę kulturną*) i *Zabawne nawrócenie Francka Krybusa*, a niewątpliwie: *Widok, Wśród dymu i ciemności, Gromadę w Rzeczycach* oraz *Spuściznę*. Trzy ostatnie obrazki wraz z *Pielgrzymką śląską* i *Zdrajcą* budzą jeszcze dziś największe zainteresowanie ze względów historycznych i etnograficznych.

XIV. SAMOOBRONA I SAMOPOTĘPIENIE

Utwór ten, pozostający dotąd w rękopisie, posłużył mi poprzednio jako materiał biograficzny, niemniej uważny czytelnik mógł z przytaczanych obficie wyjątków poznać Statecznego jako pisarza w sposób poniekąd wyjątkowy, bo twórczość jego w tym właśnie dziele ulegała zmniejszonej znacznie kontroli autorskiej. Odsłania się więc przed nami nie tylko dusza rozdarta, nie tylko takie jej tajniki, które w chorobliwym stanie jedynie mogą ujawniać się z niezwykłą wyrazistością, lecz także technika pisarska w jej pierwszych, niczym niepowściągniętych odruchach.

Literacko jest to rzecz nieprzetrawiona, niegotowa do druku, jakkolwiek w pewnych momentach autor o nim myślał. Jesteśmy tu w warsztacie autora, ale nie wprowadzono nas tam celowo, jak to zrobił Karol Irzykowski w *Pałubie*, lecz niejako ubocznie. Zamiary bowiem autora ulegały wahaniom, które zaważyły także na formie, ostatecznie nieskrystalizowa-

nej. Wskutek tego określenie gatunku literackiego utworu, jakkolwiek dziś niemodną jest to rzeczą, stało się nader trudne: apologia, czy pamiętnik psychologiczny, czy powieść autobiograficzna, oto możliwości, wobec których stajemy, a które w pewnych stadiach pisania wyrastały na właściwość dominującą.

Autor nie podaje nigdzie wzoru, który nasunął mu pomysł napisania tego rodzaju książki. Pierwszy tytuł niewątpliwie zawdzięczał *J'accuse* Zoli, ale utwór ten odnosił się nie do własnej osobistości twórcy i poza wpływem pewnych tendencji i namiętności tonu nie mógł zaważyć na *Samoobronie* Statecznego. Podobnie przedstawiałaby się sprawa z Apologią Platona, owym nieśmiertelnym wzorem obrony ludzi, niepozostających w zgodzie z przyjętym przez otoczenie porządkiem prawnym i religijnym.

Przejsie *Samoobrony* w pamiętnik, nie zawsze dokładny, prowadziłyby nas do zależności jej, nieznaczonej zresztą, od *Dichtung und Wahrheit* Goethego, a przede wszystkim do *Wyznań* św. Augustyna i Jana Jakuba Rousseau'a. One to natchnęły Statecznego skłonnością do samooskarżania się i obnażania często przesadnego zakamarków psychicznych, pozostającego pierwotnie w sprzeczności z chęcią obrony własnego życia psychicznego. Ponad te dążności wybiła się z kolei inna, najwidoczniejsza w *Samopotępieniu*, zebrania całego materiału tak obciążającego jak odciążającego, która na tej części dzieła wyryła odmienne od pierwszej piętno. Jeżeli pierwsza obok chęci przekonania czytelnika o słuszności autora zawiera spory zasób pierwiastka beletrystycznego, literackiego, to w drugiej ten pierwiastek schodzi na dalszy plan i przejawia się głównie w opisie wizji, a zwłaszcza rozmów z Panią Biedą św. Franciszka. Prawdopodobnie prócz nieskontrolowanego przez zmysł krytyczny zamiaru autora przyczyniła się do takiego wyglądu *Samopotępienia* i ta okoliczność, że pozostało ono w pierwotnym, nader skąpo poprawionym kształcie, podczas gdy *Samoobrona* uległa wydatniejszym przeróbkom. Wprawdzie i ona urastała z doraźnych notatek, jak to poświadcza dodany w r. 1915 do tłumaczenia włoskiego przekład notatnika z trzeciej podróży do Brazylii, ale te notatki, znane czytelnikowi z obszernego streszczenia, mają wyjątkowy charakter.

Na wymienionych już wzorach nie wyczerpuje się wszakże zależność *Samoobrony* od poprzedników. Za daleko dopro-

wadziłoby nas wyliczanie wszystkich możliwych wpływów świadomych lub pozaświadomych; chciałbym więc zwrócić tylko uwagę na pokrewieństwo treści z dwoma dziełami, przedstawiającymi koleje skłóconego ze swym zawodem księdza czy nawet zakonnika. Jedno z nich Stateczny znał niewątpliwie i gdyby nie „okrutne rozłamanie wewnętrzne”, oraz wmówienie w siebie, że jest człowiekiem nowoczesnym, to podszewka, że się tak wyrażę, romantyczna jego psychiki pozwoliłaby mu dać polski odpowiednik tego wzoru. Są to głośne niegdyś *Die Elixire des Teufels* E. Th. A. Hoffmanna, a koleje brata Medarda, zbrodniczego pod wpływem dziedziczności i szatańskiego eliksiru kapucyna, dałyby więcej materiału porównawczego ze wspomnieniami o. Euzebiusza, w których rzeczywistość zdarzeń jest bez porównania wiarogodniejsza mimo stanu psychicznego autora. Pokrewieństw można się doszukać sporo w ujęciu poszczególnych zagadnień i wpływu ich na kreślenie dziejów wykołajonego życia. Zaznaczam tylko zbieżność w obrazie pobudek popychających bohaterów do klasztoru, pobudek właściwie nieświadomych i powrót wzgl. powroty po zakosztowaniu „świata zatrutych kołaczy” w zacisze zakonnej klauzury, dumę i załamanie się w zawodzie kaznodziejskim, podkreślanie tężyzny i prężności erotycznej, podobne refleksje w odniesieniu do kurii papieskiej, a wreszcie mimo różnic zbieżność w ustaleniu przyczyny chorobliwego stanu: eliksiru szatańskiego u br. Medarda i trzeźwiejszej pozornie, lecz jeszcze fantastyczniejszej narkotyków u o. Euzebiusza.

Powtarzam, że gdyby romantyczna podszewka psychiki doszła była do głosu, powstałaby romantyczna opowieść o mniachu mimowolnie występny. Na odwrót, gdyby ironia nowoczesna osłabiła skłonność do narzekania, podwójne życie ojca Euzebiusza widziane przez autora w świetle sarkazmu i dobrotliwego szyderstwa pozwoliłoby mu na stopienie przeciwieństw swoich poglądów i pragnień w całość bliską nieporównanemu bohaterowi dwóch powieści Anatola France'a, księdzu Hieronimowi Coignardowi.

Warunki wszakże tak się złożyły, że nie doszło do żadnej z tych dwóch ewentualności, nie powstały pamiętniki polskiego ani br. Medarda ani ks. Hieronima; powstała tylko *Samoobrona* nieszczęśliwego o. Euzebiusza, której wydanie drukiem w całości uważać trzeba za zbędne. Co z niej przyczyniło się do wy-

świecenia życia zewnętrznego i wewnętrznego jej bohatera, to starałem się przytoczyć i na tym jak również na obszerniejszych wyjątkach, które jeszcze podam, będą musieli ciekawi poprzestać.

Zestawienie *Samoobrony* i *Samopotępienia* z *Elixire des Teufels* Hoffmanna rzuca także światło na jedną z przyczyn, dla których Stateczny nie przemienił swego utworu w powieść autobiograficzną. Był nią brak fantazji. Hoffmanna prześladowały często wywołane przez niego mocą wyobraźni postacie, przybierały kształty namacalne, tak że przed nimi szukał ucieczki. O podobnym objawie wiemy także z historii powstania *Irydiona*, który Krasieńskiego prześladował po ulicach Petersburga, wołając o życie. Przebieg „rozłamania okrutnego” Statecznego ma cechy podobne, tylko jego sobowtór, bohater *Samoobrony*, nie był wytworem fantazji, lecz wyzwolonym z indywidualności autora zespołem wrażeń lektury i przeżyć życiowych, który w pewnych chwilach brutalnie odsuwał w cień swego mimowolnego twórcę.

Nie da się stwierdzić dostatecznie, jak zachowywał się właściwy Stateczny wobec tego „drugiego”, czy tak, jak to głoszą o niektórych drugorzędnych twórcach Młodej Polski poufne opowieści, a więc jako ciekawy i nieco pobłażliwy obserwator, czy też jako poniewolny spółnik. O niektórych bowiem dramatach z lat 1902—1910 opowiadano, że ich autor umyślnie wywoływał pewne konflikty w życiu domowym, aby mieć materiał osobiście zaobserwowany do twórczości; o tej metodzie mógł słyszeć i Stateczny, ale zastosowanie jej przez niego do swego sobowtóra uważam tylko częściowo za prawdopodobne. Na pełne jej użycie nie pozwalał jego stan chorobliwy, natomiast możliwość jej w razie przerabiania doraźnych notatek na dzieło artystyczne nie jest wykluczona. Mogłoby to być nawet dzieło poniekąd tendencyjne, oświetlające czytelnikowi na żywym, własnym przykładzie, do czego dochodzi się przez brak ustawicznej kontroli nad sobą, przez taki właśnie tryb życia, jaki wiodł pierwotnie Stateczny. Tym także tłumaczyłoby się przechowywanie przez Statecznego w ostatnich latach życia *Samoobrony* w Pawłowiczkach, a *Samopotępienia* przy sobie; przypuszczalnie więc miałyby zamiar przerobienia i stopienia obu części w taką całość, która by posłużyła ku zbudowaniu tak pod względem moralnym, jak artystycznym czytelnika. Temu

przypuszczalnemu zamiarowi stanął na przeszkodzie nie tylko fakt przechowywania każdej części gdzie indziej, lecz także niemoc twórcza autora, wynikająca z przebytej kilkunastoletniej choroby, a przede wszystkim życie jego, zmierzające coraz więcej ku ostatecznemu kresowi drogą kontemplacji, z której schodził już rzadko dla napisania doraźnego artykułu.

Te domysły wyjaśniają, o ile to na podstawie posiadanego materiału możliwe, niezdecydowany kształt, w jakim autor pozostawił swoją autobiografię, którą można by nazwać także dziejami nie tyle grzechu ile samoopętania. I znowu materiał w niej zawarty wiódłby do ponętnej analogii, a nawet próby wyjaśnienia arcydzieła Mickiewiczowskiego, które mogło podświadomie oddziaływać na pomysł Statecznego w *Samopotępieniu*, że był diabłem, wcielonym szatanem. Wszak improwizacja Konrada w III cz. *Dziadów* jest w świetle niektórych wskazówek poety nie tylko wybuchem buntu genialnej jednostki, nadczłowieka, lecz także głosem szatana, kto wie, czy nie w większym stopniu, niż Konrada.

I znowu „książki świeckie”, sprawczyni nieść Gułstawa, odegrały tę samą rolę w wywołaniu „okrutnego rozłamania” Statecznego.

Jeżeli matką *Samoobronę* i *Samopotępienia* była niewątpliwie choroba autora, to ojcem był inny objaw chorobliwy, natury psychicznej, który lapidarnie określił już filozof Seneka: intemperantia litterarum laboramus. Na ten przerost literatury cierpiał Stateczny przez całe niemal życie. On zadecydował w znacznej mierze zarówno o wyborze ideału życiowego, jak o drogach wiodących do tego ideału i skutkach tak bolesnych dla jego bohatera. Z niego płynęły zarówno siła jak słabość Statecznego, jak człowieka i pisarza. Nim tylko da się wytłumaczyć fakt na pozór dziwny, że zakonnik reguły dość ostrej wchodzi w bliski związek ze współczesnymi prądami literackimi, ulega im zależnie od rodzaju swoich dzieł w większym lub mniejszym stopniu, pokonywa przeszkody, dzielące go od tych prądów, a tkwiące nie tylko w jego powołaniu, lecz także w przyniesionym ze środowiska śląskiego przygotowaniu, staje się więcej jeszcze przez życie niż przez pisma przedstawicielem Młodej Polski w piśmiennictwie górnośląskim.

Ironia czy dziwny zbieg okoliczności zrządził, że w rękopis polskiego tekstu *Samoobronę* zabłąkał się oryginał doku-

mentu, który ma mimowolnie znaczenie symboliczne. Umieścić go tam zapewne sam Stateczny i dlatego przytaczam go w całości z zastrzeżeniem może zbędnym, że na życiu innej jednostki nie zaciążyłby tak przemożnie. Oto on:

„Bmo Padre! Il Padre Eusebio Vitoslavich Minore Osservante Lettore di Sta Teologia nella Provincia di Venezia, premesso il bacio dei Santi Piedi umilimente implora la facoltà di ritenere e leggere i libri prohibiti per meglio disimpegnare il suo Ministero Sacerdotale e l'ufficio di Lettore. Che etc.

Feria Sexta die 18-a Novembris 1892. Auctoritate SSmi Dni Nri Leonis Pp. XIII Nobis commissa, si vera sunt exposita, attentis litteris testimonialibus, liceat Oratori quoad vixerit legere ac retinere, sub custodia tamen ne ad aliorum manus perveniant, libros quoscumque prohibitos; exceptis operibus de obscoenis ex professo tractantibus. Quae porro facultas et ad illos extenditur libros, qui data opera contra religionem disserunt: dummodo eos Orator scripto aut verbo refutare intendat. In quorum fidem Camillus Card. Mazella Praef. Fr. Hyac. Frati O. P. a secretis. L. S.” Dokument ten ma nr 825 Kongregacji Indeksu.

Otóż, z lektury książek zakazanych zbierały się te czyniki, które wywołały „rozłamanie” i *Samoobronę*. Czy jednak winić będziemy owe „książki świeckie”? Nie zdołałyby one osiągnąć takiego wpływu, gdyby w psychice Statecznego, w jego głodzie literackim nie znalazły sprzyjających warunków.

Jako zakończenie tych uwag, a zarazem przykład może najwybitniejszy owej *intemperantia litterarum*, przerostu literackiego niech posłuży następujący wyjątek, wykazujący zresztą zbieżność z niektórymi miejscami *Ostatniej godziny* Tadeusza Konczyńskiego.

„Od dziś, to jest od roku 1915, lat upłynęły setki tysięcy. Ziemia stała się jako nasze jabłko po Wielkanocy: zeschnięta, naga, zgrzybiała, pusta, bezpłodna. Tylko jeszcze wąski pas zieleni pod równikiem odziewał ją całą wpoł. A na tym pasie rzucała się konwulsyjnie skłębiona ludzkość jak robactwo. Ale co to za ludzie! Zdawałoby się karły, a równocześnie geniusze. Ciała człowiecze stały się małe i wyschnięte, ale nader ruchliwe i sprężyste. Budynki podnosiły się aż pod chmury, akumulatory sił kosmicznych poruszały wszystkim, rezerwuary z wodą i pokarmami sztucznymi i ciepłem starczyły obliczone

na setki lat; albowiem ludzkość konająca chciała przedłużyć swój byt. Choć odgadła wszystkie tajemnice przyrody, przejrzała otchłań wszechświata, zaprowadziła język międzyplanetarny z mieszkańcami innych gwiazd, jednak odwrócić nie mogła przeznaczenia, że słońce gaśnie i twardnieje coraz więcej i coraz mniej użycza światła i ciepła i ziemia staje się niemożliwa do zamieszkania.

A było to już po owym kontrakcie społecznym, kiedy człowiek zrozpaczony postanowił wymrzeć samobójstwem dobrowolnym gromadnym i zabójstwem obopólnym przez otrucie aż do jednego stadła. Lecz ze stadła tego zaroilo się znowu na ziemi od ludzi dziwnie małych, lecz genialnych, dla których skutkiem dorobków poprzednich faz rozwoju człowieczeństwa i skutkiem własnej przenikliwości wszechświat przestał tulić tajemnice. A tymczasem światło słońca stawało się w południe coraz czerwiesze i słabsze. Widocznie miało się ku końcowi. Życie ziemskie miało zamrzeć.

Atoli jeszcze przed śmiercią powszechną życia na ziemi dowiedzieli się ostatni ludzie z ust innych o przyczynie zaguby, którą już poprzednio teoretycznie byli wytropili. Pewnego dnia padł na szlak zielony równika ziemskiego z dalekiej gwiazdy gwiazdozbioru Herkulesa pęk światła nieziemskiego, a w jego smudze misternie złożonej wyczytali mieszkańcy ziemi wiadomość tej treści:

— Na słońcu spostrzeżyliśmy ślady nowopowstałego życia. Słońce wnet zgaśnie i odbierać będzie od Herkulesa światło. To jest dekretem waszej śmierci. Czym była ziemia, tym będzie teraz słońce. Ziemia idzie śladem bladej selene. Na każdego kolej w obrocie czasów. Umrzyjcie godnie, jak po bohatersku żyliście. Cześć waszym prochom rozwiać się mającym razem z ziemią po przestworach na utworzenie nowego wszechświata.

Wiadomość nikogo nie zaskoczyła; bo już wszyscy oddawna o swoim losie wiedzieli. Rezygnacja połączona z cichą, nieustępliwą, genialną walką była ostatnią cnotą ostatnich ludzi na globie ziemno-wodnym.

Wiedzieli i o tym z najdrobniejszymi okolicznościami i szczegółami, że po lat miliardach pogasną wszystkie ciała kosmiczne. Przejrzeni, że siła dośrodkowa wszechświata zbija ciała w jedno, sproszkuje, ulotni, zastygnie aż do stanu gazu nieruchomego, w którego środku utai się protoplazma życia. Byli

tak genialni, że wynaleźli rachunek, kiedy i jak siła odśrodkowa wszechświatowej bryły gazowej znowu na odwrót protoplazmę życia rozgrzewać i rozszerzać zacznie. Przeniknęli, jak powstanie w niej ruch, jak ruch siły dośrodkowej i odśrodkowej wprawi całość we wrzenie, ulotni, sproskuje ją, zbije i rozdzieli na kule ogniste przeszywające bezdeń. Nowe stworzenie wszechświata!

Siło wszechwładna, która sprawiasz,
 Że światy się rodzą i gasną,
 Przyjmij mię na łono, jak kroplę do morza!
 Ty jesteś we mnie, ja byłem i będę w tobie.“

Ten ustęp daje nam syntezę, o ile można w takim wypadku mówić o syntezie, właściwości „drugiego” Statecznego jako autora.

Samopotępienie pisane jest stylem pośrednim między *Samobroną* a innymi utworami Statecznego. Ciekawe są w nim te zwłaszcza ustępy, w których zwalcza jak gdyby w stanie „okrutnego rozłamania” wyrzeczone poprzednio w *Samobronie* twierdzenia i przypuszczenia. Rozprawia się więc przede wszystkim z dręczącą go przez lat tyle zmorą „rehabilitacji” w namiętny sposób: „Rehabilitacja? Niechaj przepadnie to puste słowo! Jakże się może trup rehabilitować? A ja byłem trupem, trupem przez grzech i nieprawość w oczach wszędzie patrzącego i wszystko przezierającego na wylot oka Opatrzności Bożej, widokiem byłem obmierzłym Bogu i ludziom. Pisać i starać się o jakąś urojoną, snami wielkości i pychy wydętą rehabilitację mogłem wtedy, gdy byłem grobem pobielanym i wilkiem w owczej skórze i cuchnącym mokradłem, umajonym zwodniczym kwieciami. Dziś mam Boga w sercu, przenikającego wnętrzości i duszę... Przypięty jak robak do łuski ziemskiej nie może człowiek posiadać Boga prawdziwego ani utraconego odnaleźć. Moją postać garbiły do ziemi dwie namiętności: zmysłowość ciała i pycha żywota. Ale była jeszcze trzecia, wprawdzie nie gorsza, bo nie tak przyrodzona jak tamte, ale dłuższy rzucająca cień: chęć posiadania czyli brak ducha ubóstwa ewangelicznego. Jest to filozoficzna przewrotność pojęć, skoro się znikomość świata uważa⁴⁹⁾ za istotę, a Boga, istotę wszechrzeczy i spraw, praktycznie skazuje na znikomość i cień... Nie chciałem być ubogi, więc Bóg pozostał dla mnie zakrytym;

⁴⁹⁾ Wyrazu tego brak w tekście polskim, we włoskim jest: considera.

tylko od czasu do czasu pukał, nawiedzał to smutkiem, to chorobą, to lękiem, to trzeźwą myślą filozoficzną. A tak łatwo było posiadać Go, skorom przed trzydziestoma latmi złożył Bogu śluby, że będę pokorny przez posłuszeństwo, czysty, ubogi. Ale ponieważ nie byłem ani posłuszny ani czysty ani ubogi, więc go znaleźć nie mogłem. Potrzeba było trzydziestu długich lat, potrzeba było całych gór zbrodni i grzechów, potrzeba było całych wałów ciemnych mgieł wątpliwości i niewiary, potrzeba było udręczeń, umartwień, chorób, aby Go wreszcie odszukać i zawołać z głębi duszy: — Jezu mój! Tyś jest życie.

To rzekłszy pewnego dnia, spostrzegłem pod krzyżem obok siebie jakiś czarny cień kobiecy. Było to ubóstwo. I zawarłem małżeństwo mistyczne z Panią-Biedą Franciszkową pod krzyżem. Od tej chwili znalazłem wszystko. Pierzchły troski, skończyły się wątpliwości, nieszczęście przestało istnieć. Poznałem Boga, a w Nim wszystko. A nadto Pani moja Bieda nauczyła mnie kochać Boga."

Na warunki, w których dokonało się nawrócenie „drugiego” Statecznego, rzuca światło następująca modlitwa i refleksja:

„Panie, Jezu Chryste! Wždy spojrzales na mnie i skąd zasłużyłem, żeś całe moje grzeszne ciało pokryć raczył ranami Twoimi, któreś otrzymał z rąk katów, gdyś w ciemnicy był biczowany? Pochwalon bądź w siostrze-radości i bracie-smutku! Chwała Ci w rozkoszy ducha! Uwielbion bądź w bólu ciała!

Na tym miejscu chciałem jeszcze inną przyczynę zwłoki nawrócenia zupełnego przytoczyć, mianowicie to, że sądziłem, iż dosyć będzie, gdy się sercem nawrócę. A to jest błąd. Nawrócenie serca jest prawie zawsze chwilowe tylko i recydywne, bo co z ciała jest, ciałem jest. Dlatego szło u mnie w kółko jak u wariatów: powstawałem i upadałem; upadłszy, podnosiłem się, zupełnie jako ci ludzie potępieni w Boskiej Komediі Danta mający oczy w tyle głowy. Nawrócenie, nie chcąc być chwilowym, lecz trwałym, musi być nawróceniem ducha. Przebywając w świecie cywilizowanym, zaczerpnałem powierzchownie trochę nauki i sztuki. Dopóki te zdobycze ducha ludzkiego nie były we mnie przetrawione na pokarm Boży, dopóki zatem we fałdach tajemniczych moich wnętrzości czaił się cień wątpliwości, już nie powiem naturalnie niewiary, czyli dopóki w głowie mojej pojęcia o sztuce, nauce i wierze nie były w zgodności,

dopóty o zupełnym nawróceniu mowy być nie mogło. Z chwilą gdy się to stało, byłem sługą Bożym."

Sługę Bożego jednak nawiedzają pokusy, które są dziełem „diabła nowożytnego”. Jakże przedstawiał się on kuszonemu? „Wnikając pod postacią różnych preparatów chemicznych w człowieka, bada jego wnętrze. A zbadawszy, wychodzi, aby wstąpić w drugiego, trzeciego... Stąd ludzie nowożytni są miotani diabłem, który przybiera postać danego człowieka przez preparaty. Jeden bada drugiego, przeziera jego skłonności zbudzone, kusi, zwodzi, zdradza, ośmiesza, prześciga, tryumfuje, zabija. Diabeł jest za pomocą środków spożywczych i ognia i powietrza proteuszem: każda jednostka jest dla drugiej diabłem przezierającym i kuszącym... A utkana jest jego postać ze wszystkich siedmiu grzechów głównych, lecz przede wszystkim z grzechów ducha: zazdrości i pychy. Ze wszystkich namiętności ciała, które podsyca i potęguje preparatami chemicznymi. Rozpoczyna diabeł od lubieżności stopniowo, a kończy na pysze żywota. Kto go zwyciężył w lubieżności wietrznej i ogniowej, ten mu zadał śmiertelny cios. Nie chce, aby jego pycha i panowanie zewnętrzne były w najmniejszej rzeczy naruszone; o wewnętrzne nie dba. Kto jego panowanie zewnętrzne narusza, jest jego wrogiem wiecznym." Ustęp ten poza swoim znaczeniem dla psychologii „drugiego” Statecznego ciekawy jest ze względu na pokrewieństwo może podświadome z *Hymnami* kolegi szkolnego Kasprowicza, a zwłaszcza z jego *Judaszem*:

„Wszyscyśmy zdrajcy!
Człek człękowi jest równy —
Ja zwę się Judasz i tyś jest Judaszem,
Wszyscyśmy bracia Judasze.“ —

W dalszej zaś perspektywie wyłaniałyby się możliwości wpływu Żeromskiego, a zwłaszcza: *Aryman mści się*, *Dziejów grzechu* oraz zbieżność pewnych szczegółów z późniejszą czasowo trylogią Żeromskiego: *Walka z szatanem*.

W tym pochodzie ku poznaniu prawdy własnego życia, Stateczny okrawa niejako pierwotny ideał życiowy. Oto, jak ujmuje stosunek wiedzy i wiary w *Samopotępieniu*: „Nauka doszła do zbadania zawartości i rozwoju komórki życia, ale od kolebki życia nie odchyliła dotąd i nigdy nie odchyli zasłony. Ani też dotąd żaden uczony Boga nie widział ani widzieć może. Ujrzy Go każde stworzenie rozumne za grobem. Nauka zatem

jest wielce ograniczona; za to religia pochlebia sobie racjonalnie, że sięga istoty życia i stawia nas wobec Boga już teraz za życia i objawia nam sposobem ludzkim łono nieskończoności Bożej. Aby tego zadania nadludzkiego dokonać, musi się posługiwać swoim sobie tylko właściwym językiem. Tym językiem jest symbol: symbol jako odbitka rzeczywistości nadprzyrodzonej objawionej. Nauce ścisłej symbolu używać nie wolno, bo ten wkracza w obręb nauki wiary. Zatem też nauki ścisłej wpuścić nie wolno w ogród mistyczny nauki Chrystusowej, boby nastąpiło spustoszenie większe, aniżeli w ogrodzie warzywnym pod racicami trzody. Nauki ścisłe są propedeutyką do nauki wiary i religii. Takie jest moje przekonanie." Zbyteczną może rzeczą jest podkreślać, że to pisze „drugi” Stateczny i że często wyśłowienie wypacza tu myśli zasadniczo słuszne. Prościej i trafniej ujmuje istotę rozłamania: „I tu występuje tragedia człowieka i człowieczeństwa: uszeregowanie myśli i zamiarów po Bożemu a uszeregowanie myśli i zamiarów po doczesnemu. Światopogląd chrześcijański i światopogląd pogański w jednostce każdej i w zbiorowości. Jeden z drugim w ciągłej bezpardonowej walce. Szala waha się wciąż w każdym człowieku to w tę, to w ową stronę. Walka na śmierć i życie pomiędzy czynnikiem duchowym i czynnikiem cielesnym. Symbole wszystkich religii i filozofii świata wyrastają z tego podwójnego podłoża; owszem, wszystkie zdążają do jego symbolicznego tłumaczenia, aby czynnik duchowy, światopogląd chrześcijański, szereg Boży przemógł nad przeciwnym." Stateczny zdaje sobie sprawę, że powtarza tu myśl św. Pawła o dwu zakonach: cielesnym i duchowym. W związku z tym tak ujmuje istotę grzechu pierwotnego: „Niestety, grzechu pierwotnego ślad niezatarty pozostał i pozostanie na zawsze: chuć ciała praca i do złego, do grzechu i do dobrego, do cnoty. Na to właśnie jest askeza, aby chuć ciała jako źródło złego i grzechu przydusić, a chuć ciała jako źródło dobrego i cnoty rozbudzać. Lecz żadna askeza, żadna moc stworzona nie wytępi samej chuci jako źródła złego i dobrego; bo ona będąc źródłem życia i warunkiem połączenia duszy z ciałem, jest towarzyszką nieodstępną człowieka od kolebki do grobu. Dlatego także askeza czyli walka toczona być musi zawsze i ciągle od kolebki do grobu."

Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu także pogląd historiozoficzny Statecznego na przyczyny wojen: „Każdej wojny są

dwie tylko przyczyny podstawowe: wrodzona człowiekowi pierwotna dzikość czyli barbaria i przeludnienie kraju, czyli potrzeba ekspansji. Wszystkie inne przyczyny, wyliczone przez historyków jako to pycha i łakomstwo panujących, fanatyzm i zaborczość narodów, roztrzęsienie społeczne, konkurencja przemysłu, wpływy sekciarskie i naukowe i inne są drugorzędne i następstwem tamtych dwóch, przybierających rozmaite postacie na tle miejsca, czasu, warunków środowiska. Usunąć dzikość człowieka i przeludnienie krajów, a usunęliście wojnę na zawsze."

W pożodze wojny światowej tracił ponętne barwy podstawowy składnik pierwotnego ideału Statecznego, kultura swego wieku. Cóż o niej sądzi w *Samopotępieniu*? „Biorąc przedmiotowo, stoi kultura współczesna bardzo wysoko, wyżej aniżeli wszystkie poprzednie fazy cywilizacyjne, tak że chyba wiek XV i XVI tylko lub czasy Augusta z nią się mierzyć mogą. Wprawdzie każda faza cywilizacyjna niekończąca się kataklizmem stoi wyżej z natury rzeczy od poprzedniej, lecz współczesna przedmiotowo była istotnie wyjątkowa i niemal wybujała i pędząca jeszcze tak zawrotnym pędem w górę, jakby rodzaj ludzki oszalał i oślepił. Dlatego musiała przyjść reakcja... Nasza kultura oblała się krwią. Kultura współczesna to wyraz bardzo złożony ze wszystkich tych zdobyczy, którymi się duch ludzki postępowy otacza i wzbogaca... Duch ludzki... tworzył z taką chyżością i pędził z takim szaleństwem w mroczną dal, że groził przedwczesnym wyczerpaniem i skonem. Przyroda i instynkt ludzkości, zaniepokojone i wzburzone geniuszem potwornym, musiały zagrozić i przez srogą wojnę zażgrzmieć: Stój!" Wtedy Stateczny zobaczył skazy na kulturze nowoczesnej: jej chyżość i zawrotność, powszechność, powierzchowność, nieprawidłowość, utylitaryzm i zmysłowość. „Żyjemy w czasach pogańskich, przetłumaczonych na utylitaryzm nowoczesny. Renesans był przynajmniej przetkany ideami Płałońskimi, nasza kultura snuła się na kanwie rozumu poziomego, przeplatana nieświadomie motywami epikureizmu, przeniesiona czasem w krainę snów cezariańskich o wielkości, bogactwie, wszechpotędze i wszechwiedzy... Sam doświadczyłem skutków kultury nowoczesnej na duszy i ciele. W pysze mniemałem być jej ciepłomierzem od życia do śmierci. I byłbym w śmierci wiecznej pozostał, gdyby mię ramieniem nie był wsparł Chrystus. Przyszła kultura musi zakwitnąć z drzewa krzyża Chrystusowego.

Może wtedy nie będzie taka błyskotliwa i ponętna i szybka i powszechna, ale za to będzie zbawieniem świata i zbawieniem duszy ludzkiej."

Ten pogląd z r. 1915 na kulturę nowożytną ugodził także w inne ideały „drugiego” Statecznego. „Mrzonką stał się sam socjalizm w szacie dzisiejszej. Wynika to z rozdzielenia nurtującego w łonie samej partii socjaldemokratycznej poszczególnych krajów w obrębie kwestii czystospołecznych, jako to: pracy, płacy, spoczynku, władzy, własności, wojny, rządu itd. tam, gdzie Chrystus już dawno swoje słowa wypowiedział, a monizm słabego i nieudolnego depce nogami gwoździ całości... Do budynku socjalistycznego wchodzi obok robotnika i proletariusza jako kamień węgielny żyd liberalny... (Żydzi) wniesli w rzesze inne jeszcze liczniejsze, a tak samo spragnione światła, głowę zimną, wyrachowaną i zmysł zapalny do organizacji społecznej solidarnej. Ale wniesli także wady, którymi w czasie niewolnictwa dwóch tysięcy lat nasiąknęli: przedajność, brak charakteru, mściwość, niemoralność. A przede wszystkim mimo wędrówki dwóch tysięcy lat nie pozbyli się tego, co im wciąż Chrystus w twarz ciskał: doczesności; owszem w miłości jej i mamony wzrosli w olbrzyma... Powiem bez ogródki. Chorobą śmiertelną socjalizmu jest kultura ciała bez kultury duszy."

Zmienił się również pogląd na nadczłowieka: „Należy wprost powiedzieć, że cała klasyczna kultura, Hellada i Roma zdążyła do tego, aby wychować nadludzi, skoro stworzyła do tego specjalną szkołę filozoficzną: stoicyzm czyli równowagę namiętności... Ale ten świat i barbarii i kultury starożytnej już dawno bezpowrotnie zamarł razem z pojęciem i miarą o nadludziach... Cała praca i sztuka nadczłowieka zdążyła do tego, aby równowagę psychologiczną starożytności klasycznej zamienić na Chrystusa i Jego dzieło naszej rycerskiej i kupieckiej nowożytności; bo równowaga nie może być martwa, lecz chcąc być nadczłowieczą, musi być żywa. A życiem jest Chrystus... I dziś w roku 1915 istnieją nadludzie. Nawet ów cudacki wyraz: nadczłowiek, którego i ja, chcąc być synem wieku, użyłem, jest ich wynalazkiem... Gdzie Chrystus i pod jakimkolwiek kształtem tchnąć chce, tam powstaje całe pokolenie olbrzymów ducha, wieszczów, ludzi czynu, nadludzi... Dlatego wyznaję, że On jeden jest prawdziwym nadczłowiekiem. Inni nim są tylko z Jego ła-

ski i miłości. Ja zaś jestem śliną człowieczeństwa i — podczłowiekiem."

Ten podczłowiek dźwigał się z poniżenia pod wpływem wychowawczym ducha swego zakonu, który towarzyszył mu w postaci małżonki mistycznej, zjawy Pani Biedy. Ona to toczyła z nim długie rozmowy podczas wizji w r. 1915. Jedną z nich przytaczam: „— Przyjdą czasy, że wiek wasz będzie uchodził za sielankę wobec przyszłych, jak wiek XIII uchodzi wobec was za poezję. Postęp nie tkwi w mierze poezji lub rzeczywistości, lecz w naśladowaniu Chrystusa przez jednostkę i społeczność. To jest jądrem rzeczy, wszystko inne odbłaskiem i aureolą. To osiągnął najdoskonalej ze śmiertelników mój małżonek z Asyżu, św. Franciszek. Dlatego sławi go świat i niebo. To czyni, a będziesz jego synem.

Nie ustępowała, dopóki nie dopięła danego celu. Mogłem zaraz zauważyć, że jej się nie podoba, że noszę buty i kapelusz. Była boso i z gołą główką. Gdym wreszcie rzucił kapelusz, a wdziałem sandały, pojawiła się nazajutrz strojna w kapelusiku i bucikach. Ale była bardzo zmieszana i zawstydzona. Siłała się na gachowską światowość, gdy mówiła:

— Uszanowanie. Jestem Panną Biedą Franciszkową. Ażali mi do twarzy? A gdy ujrzała znak przeczenia, odeszła i wróciła jak dawniej boso i z gołą główką. Równocześnie ciągnęła dalej poważnym tonem: — Jaką była Bieda Franciszkowa przed chwilą, takimi są synowie św. Franciszka i synowie Kościoła, których porwał duch tego świata doczesnego. To jest sól zwietrzała i światło zgaszone. Chcąc być przyprawą ludów i światłem świata, trzeba uczynkami tkwić w ziemi, a intencją w niebie. Bez tego postęp nie będzie postępem, lecz cofaniem. Dlatego Bóg z rąk bogactw i mocy i mądrości wydarł berło, a włożył je w ręce nędzy i słabości i nicości, w ręce służki najpokorniejszej bez dachu i strawy i imienia. Stworzył cień cienia: Biedę Franciszkową, aby na marne nie poszło dzieło Chrystusa."

Wizji losów duszy, a raczej energii osobistej, nakreślonej w liście autobiograficznym do wydawcy z r. 1913 (patrz r. VI), przeciwstawić możemy inną wizję z września 1915 r.: „A we śnie ujrzałem, jako się moja dusza oddzieliła od ciała i spadać zaczęła w przestrzeń przepastną. Śród półmroku fioletowego leciała w niepewnych, smutnych zygzakach jako jednostka świe-

cała poprzez przestwory i wieczności, odtrącana przez tkwiące planety i gwiazdy; bo wszechświat zdawał się być stężały i w ciemność zasunięty. Zdawało mi się, że to moja łza jak perła rosy lub promień radiumu błądzi po bezkresowości wszechświata, a to dusza moja szukająca bramy do niebios i Krzyża Chrystusowego."

Myśl przewodnią *Samopotępienia* wyraża najlepiej ta modlitwa: „Dla mnie grzesznego wzbudziłeś jeszcze sługę Twojego św. Franciszka, patriarchę ubóstwa jako wzór życia doskonałego. Więc ślubuję Ci, że życie swoje ułożę na krzyżu Chrystusowym i będę przez całe życie posłuszny, ubogi, czysty. A za grzechy swoje proszę, o Panie, abys mi udzielił łaski, żeby mną świat i człowiek gardził i poczytał mię za ślinę człowieczeństwa; bo tak oglądać będę na wieki mego Boga, który jest życie."

Jeżeli właściwy Stateczny uznał ten ślub za swój, — przypuszczać zaś można, że tak się stało, — to wyjaśnia się nam zagadka braku dalszej twórczości i powód wewnętrzny nieprzeobrażenia *Samobrony* i *Samopotępienia* w utwór literacki, gotowy do druku, który by mógł oddziaływać na szersze warstwy czytelników zarówno swoją treścią jak formą.

Treść ta jest ciekawa choćby z tego względu, że bodaj żaden z autorów polskich przedtem nie odsłonił tak bezwzględnie tajników własnej duszy w stanie „okrutnego rozłamania", jak właśnie ten „drugi" Stateczny. Treścią, a poniekąd także formą, która nie zdołała się wyrobić i ustalić, wyprzedza ten utwór najnowsze powieści autobiograficzne, jak np. *Zegadłowicz*: *Żywot Mikołaja Srebrempisanego* (a zwłaszcza *Zmory*), z tą wszakże różnicą, że jest bardziej zwarty, więcej szczery, lecz mniej literacki pod wielu względami, skoro pisał go autor w niezwykłym stanie psychicznym, ale też mniej uganiający się za doraźnymi efektami, np. w słownictwie.

XV. ARTYKUŁY PUBLICYSTYCZNE

Omawianie wszystkich prac publicystycznych Statecznego nie miałoby żadnego celu. O nich da czytelnikowi pewne pojęcie umieszczona w „Zaraniu Śląskim" z r. 1934 rozprawa p. t. *Z wieży Liebicha*.

Z początkowych prac zajmiemy się tutaj tylko *Urywkami o Śląsku*, które w dwóch seriach ukazały się w „Gazecie Opolskiej". *Urywki* nasuwają same porównanie z wcześniejszą o lat

20 rozprawą ks. Adolfa Hytrka p. t. *Górny Śląsk pod względem obyczajów, języka i usposobienia ludności* (Przegląd Polski z r. 1879 t. XI i X). Hytrek pisał na ogół obiektywnie, mało gdzie przemawiał od siebie, patriotyzm jego nie był ani zbyt gorący ani ugruntowany. Inaczej Stateczny; zespolił się już nieodwołalnie z narodem polskim, patrzy na stosunki śląskie nie tylko okiem, lecz także sercem patrioty, a pisząc w piśmie ludowym, uderza w ton subiektywny, popularny. Nie szuka w Polsce winy utraty Śląska, bierze pod uwagę stan współczesny i widzi, że z całej polskości został tylko chłop, a może wbrew obawom, dotrwa jeszcze robotnik polski. Przeciw tej pozostałości polskiej prze fala niemiecka, w której przejęcie się chrystianizmem powątpiewa, i sekundująca jej siła żydowska. Groźnym niebezpieczeństwem jest także łatwiejsza i szybsza germanizacja kobiet niż mężczyzn na Śląsku. Nie oszczędza on także duchowieństwa, które jest wówczas albo niemieckie albo centrowe, a w małym tylko procencie polskie. Nie wątpi wszakże w zwycięstwo polskości, jeżeli lud utrzyma nadal ziemię, język i wiarę. Wartość *Urywków* jest jeszcze dziś znaczna, gdyż mimo przeznaczenia swego jako pobudki bojowej dają nam dokładny obraz stanu na Górnym Śląsku około r. 1896. Poza tym mają swoje znaczenie ze względu na szatę stylistyczną⁵⁰⁾.

W *Urywkach*, a następnie w *Sporze* zwracał Stateczny uwagę na jedno jeszcze niebezpieczeństwo, grożące polskości, a w szczególności robotnikowi śląskiemu, t. j. na socjalizm. Wiemy już z życiorysu, że stosunek Statecznego do socjalizmu uległ pewnej zmianie, która wyraziła się w r. 1906 napisaniem *Katechizmu socjalistycznego*, znanego mi ze zdefektowanego rękopisu. Stan obecny tej pracy nie pozwala nawet na stwierdzenie, czy nie były to właściwie dwa katechizmy; krótszy i dłuższy, jakby można wywnioskować z niektórych szczegółów.

Rzecz sama, pisana z gorliwością neofity, niekoniecznie zresztą do głębi przekonanego, nie wyróżnia się ani świeżością myśli ani szatą stylistyczną. Ujęta w formę pytań i odpowiedzi, rzuca światło na stan psychiczny autora, który radykalnie odwraca się od dawnych wierzeń, a nowe podkreśla jaskrawie. Umiarkowane jeszcze są takie odpowiedzi: „Dzisiejszą fazą roz-

⁵⁰⁾ Szerzej pisałem o tym przedmiocie w nrze 2682 katowickiej „Polonii“ z dnia 26 marca 1932 p. t. *Dwa obrazy Górnego Śląska. Dwugłos księży-Górnoślązaków o Górnym Śląsku przed laty kilkudziesięciu*.

woju socjologicznego przez walkę o byt jest walka klas uprzywilejowanych przeciw klasom uciemżonym i walka kapitału prywatnego z rzeszą proletariacką robotników zarobkowych... W ukształtowanym społeczeństwie władza czyli raczej administracja jest cechą uzupełniającą, nieistotną i pochodzi dla wyręczenia ludu z rąk samego ludu, który dla dobra ogółu zrzeka się praw osobistego rządzenia i kładzie je przez głosowanie i wybór na ramiona pewnych jednostek dla swojej usługi. W tymże społeczeństwie ukształtowanym byłaby wielka własność prywatna wielką kradzieżą publiczną. Stąd wynika, że gdzie własność prywatna tak nieproporcjonalnie jest rozmieszczona, tam powinna być uruchomiona, a społeczeństwo samo zniwelowane. Oto rdzeń socjalizmu!" Umysł wszakże, puściwszy się raz na drogę logicznego i konsekwentnego wyciągania wniosków z doktryny socjalistycznej, przy rozważaniu teorii nadwyżki (nadwartości), komu ma ona przypaść po wyeliminowaniu kapitalizmu, spostrzega, że radykalnym wynikiem systemu socjalistycznego jest komunizm, który wszelkie teorie nadwartości uczyni zbędnym balastem.

Czy należy *Katechizm socjalistyczny* brać na serio, jak to czynił niekiedy „drugi” Stateczny? Sądzę, że raczej jest on zabawą, igraszką umysłu, nawykłego do budowy najśmielszych teorii i do wyprowadzania z nich ostatecznych i radykalnie logicznych wniosków, które niczym innym pozostać nie mogły, jak tylko „bawieniem się teorią”.

Spojrzenie na tę samą rzecz z odwrotnej strony w innym uosobieniu i w innych warunkach zdrowia wydało dwie rozprawy o teorii socjalistycznej (*Hasła socjalistyczne, a podstawowe prawdy chrześcijańskie* i *Idea państwowa w systemie socjalistycznym*) oraz dwie o ruchu społecznym francuskim t. zw. sillonistów. Forma rozpraw o socjalizmie przypomina *Katechizm socjalistyczny*. Tezy socjalistyczne poddane są tam w sposób nieco scholastyczny roztrząsaniu, a mianowicie po każdej tezie przytacza dowody na nią ze strony socjalistów i przeciwdowody ze stanowiska nauki chrześcijańskiej, względnie nowoczesnej wiedzy o państwie. Znane nam artykuły zawierają opracowane w ten sposób tezy z zakresu ontologii, bytu jednostki, życia społecznego i nauki o państwie. W wyniku końcowym stwierdza, że pogląd socjalistyczny zamknięty jest w granicach doczesności, chrześcijańska zaś nauka nadaje światu i człowiekowi

prawdziwy kierunek, wiążąc byty w jedną całość. W końcu oświadcza się za teorią św. Augustyna, wyrażoną w dziele *O państwie Bożym*, które jednak godny mistrz powinien przystosować do dzisiejszego stanu nauki.

Oczywiście, nie był nawet próbą takiego przystosowania, lecz doraźnym pomysłem pogodzenia socjalizmu z patriotyzmem list otwarty do Józefa Biniszkiewicza, który ogłosił go pt. *Niech żyje Polska!* w nrze 4 „Gazety Robotniczej” z r. 1919. Odwołując się na wstępie do znajomości z zebrań P. P. S. w Berlinie w r. 1906, zapewnia adresata: „Zresztą nie jestem wam wcale cudzy ani wrogi, choć jestem wiernym synem i kapłanem Kościoła katolickiego”. Z tego tytułu podaje platformę zgody narodowości polskiej z polskim socjalizmem, streszczającą się w tym, że wyznanie religijne jest sprawą osobistą, język rodzimy i obyczaj wchodzi w zakres prawa naturalnego, wielka własność ma być uruchomiona a społeczeństwo zniwelowane. Polska ma pozostać katolicką. List był odruchem; ani autor ani adresat nie mieli dostatecznego tytułu do rozstrzygania takich zagadnień, toteż oddźwięku nie było.

Nie zdziwi nas krytyczne i lekceważące stanowisko Stareckiego wobec sillonistów francuskich i ich przywódcy Marka Sangniera, który nie stworzył gruntownej teorii swego ruchu, a przy utworzonej nie stanął uporczywie. Zarówno ze stanowiska socjalizmu jak prawowierności katolickiej ruchu tego nie dało się inaczej traktować niż jako coś przemijającego, choć interesującego.

Do niektórych też listu do Biniszkiewicza z jednej strony, do broszury zaś *De primaria calamitate sociali* z drugiej nawiązują pozostające dotąd w rękopisie *Rozmyślenia* z r. 1914 i 1915, które powstały w sierpniu, wrześniu i październiku 1914 r. Bierze w nich wszakże górę nad innymi myślami i uczuciami patriotyzm, który wojnę światową uważał za walkę o Polskę przyszłą, a sumienie kapłańskie uspokajał refleksją: „Nie wolno mi życzyć zagłady wrogów plemienia mojego, ale nie wolno mi nie pragnąć ich upokorzenia jako wymiaru sprawiedliwości dziejowej”, aby „pustka polityczna od Odry do Niemna była wypełniona”. Zrywa wobec rzeczywistości ze snem wiecznego pokoju, którego był niegdyś zwolennikiem, sądząc, że wojna tym jest dla organizmu narodów i ludzkości, czym choroba dla organizmu pojedynczego. Fazy cywilizacyjne dojrzawszy, mu-

szą się kończyć, aby służyć jako podłoże następnym wyższym. To też musi się skończyć pruska faza cywilizacyjna. Na jej miejsce mimo starzenia się cywilizacji europejskiej przyjść musi spełnienie się haseł rewolucji francuskiej: wolność, równość, braterstwo. Niechęć do Niemiec i Niemców jest silna w *Rozważaniach*, uważa ich za naród pierwotny, który „o wspólnym międzynarodowym dążeniu, o pokojowej konkurencji, o współzawodnictwie przyjacielskim nie ma i nie chce mieć pojęcia”. To też mimo przewagi niemieckiej w pierwszych miesiącach wojny przewiduje jej załamanie się, upadek Hohenzollernów i okrojenie Niemiec. Duchowieństwo niemieckie katolickie sądzi surowo, że „jego duszą nie jest papież ani Chrystus, lecz król pruski; kościół niemiecki już oddawna jest imperialistyczny. Gdzie duch Lutra wieje, nie może być inaczej.” To też potępia wszelką orientację polską, która by opowiadała się za państwami centralnymi. Przepowiada upadek Austrii, która ograniczy się do okolic Wiednia, Insbruku, Lincu i Solnogradu. Ciekawe jest określenie psychiki polskiej w sztuce: „Ułan i mnich — na każdym obrazie i w każdym poemacie, jeden jak drugi mężny i samorządny, ale bez obmyślanego, wytrwałego i systematycznego rozwoju celowego i bez męskiej, konsekwentnej samowiedzy, to twory chimeryczne, nie nadające się do dzisiejszego obliczonego, zimnego ustroju zbiorowisk ludzkich.”

Ale w wyniku wojny przewiduje powstanie Polski republikańskiej, która walczyć będzie długo z niemczyzną, ludzkość zaś zmierzać będzie do coraz większej wolności, aż dojdzie do stanu, że społeczeństwo obejdzie się w ogóle bez wszelkiej formy czyli bez rządu i bez władzy, lecz dopiero za jakiś tysiąc lat. Oczywiście, mowa jest tylko o władzy zewnętrznej.

W związku z tymi *Rozmyślaniami* nabiera broszura *De primaria calamitate sociali* właściwego znaczenia jako protest przeciw wojnie chemicznej, protest owinięty w omówienia i nie-dopowiedzenia. Szerzej o tym pisałem w nrze 2774 katowickiej „Polonii” z r. 1932 w artykule p. t. *O. E. Stateczny o klęskach społecznych i jako prekursor odrodzenia*. W obu wszakże utworach dochodzi do głosu także „drugi” Stateczny, jakkolwiek silnie trzymany na wodzy przez syna św. Franciszka z Asyżu.

Wreszcie omówić wypada Statecznego w roli krytyka literatury, jakim jest po części w broszurze p. t. *Modernizm literacki*. Modernizmem jako ruchem filozoficznym i teologicznym

interesował się lektor św. teologii niejako ex professo; jeżeli miał dla niego jakie sympatie, to stłumiło je nie tylko potępienie papieskie tej teorii, lecz przede wszystkim zachowanie się części duchowieństwa niemieckiego wobec nakazu przysięgi antymodernistycznej. Poświęcił temu zagadnieniu w r. 1911 artykuł pt. *Przysięga antymodernistyczna*. W dwa lata później rozprawa się z modernizmem literackim, który przeżył potępienie prądu na polu teologicznym i jako mniej uchwytny na tym polu prowadzi do spoganienia literatury. Jako 3 przykłady maskowanego modernizmu podaje: *Jesse und Maria Handel-Mazzetti'owej*, *il Santo Antoniego Fogazzaro* i *Bez dogmatu Sienkiewicza*.

W wyliczeniu dość obfitym różnych dzieł z literatury światowej i polskiej ubiegłych epok stara się udowodnić, że herezje i wrogie wierze teorie starały się ogół pozyskać właśnie za pomocą dzieł literackich i artystycznych, że następowały potem katastrofy społeczne, że ratował literaturę katolicyzm. Nie brak przy tym pomyłek, jak np. zaliczenie Norwida do prekursorów modernizmu religijnego i przeciwników chrześcijaństwa.

Ze stanowiska więc antymodernistycznego, opierając się w ocenie dzieł zagranicznych na autorytetach krytyków obcych, potępia cały szereg autorów, uchodzących za katolickich: jak *Fogazzaro*, *Brémond* i innych. W Niemczech jako główne ostoje tego prądu wymienia czasopisma „Hochland”, „Gottesminne” i „Gaal”.

W Polsce do krytyków literackich, szerzących czasem bezwiednie modernizm, zalicza Feldmana, Matuszewskiego, Cezarego Jellentę, Witkiewicza, Zdziechowskiego, Wasilewskiego i Potockiego. Przyznać trzeba, że jest to towarzystwo przypadkowo i bezkrytycznie zebrane. Za główne okazy modernizmu w polskiej literaturze uważa: *Bez dogmatu*, *Quo vadis* (głównie z powodu Petroniusza i Eunice)⁵¹), *Pójdźmy za Nim*, *Na wzgórzu śmierci*. Natomiast „Młoda Polska” na ogół wyłącza spod swojej

⁵¹) W zwalczaniu *Quo vadis* przez teologów nie był Stateczny odosobniony; czynił to samo współcześnie profesor uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, głośny moralista o. Bucciaroni S. J., nazywając je „pessimus iste libellus” jakoby poniżający chrześcijaństwo. (Patrz: ks. Adam Bogdanowicz, *Teologia a reklama*. „Kurier Lwowski”, nr. 69 z 1934, dodatek Kurier literacko-naukowy, r. III, nr 11.)

krytyki prócz Przybyszewskiego, nie widzi w jej utworach programowego modernizmu, lecz tylko jego odgłosy, zwłaszcza w „Życiu” wydawanym przez Przybyszewskiego i „Chimerze” redagowanej przez Miriamę i według Statecznego przez Or-Ota(!). Z pełnym uznaniem jest autor dla Kasprówicza i Wyspiańskiego. Kończy 8 postulatami dla przyszłej literatury i sztuki polskiej, które zamykają się w wymaganiu przestrzegania dotychczasowej tradycji, opartej o katolicyzm i polskość, w reakcji przeciw mieszaniu gatunków literackich (przykładem są *Popioły* Żeromskiego), w żądaniu harmonii i w potępieniu nadużyć krytyki, która powinna być gruntowna i oparta na rzeczywistej wiedzy.

Nie można powiedzieć, żeby występ Statecznego na polu krytyki literackiej, mimo kilku trafnych uwag, był udatny. Powodem jest niewątpliwie wkroczenie na pole znane wprawdzie ogólnie, lecz niezbadane gruntownie, brak autorowi tego właśnie, co innym przygodnym krytykom wytyka. Nie jest też wolny od osobistych uprzedzeń i upodobań, które nie pozwalają mu odróżniać rzeczy przypadkowych od istotnych. Stąd płynie względność dla autorów „Młodej Polski”, do których sam po części należy, a przesadna przenikliwość w tropieniu modernizmu u Sienkiewicza, do którego stosunek Statecznego wykazuje pewne ciekawe cechy. Jak wspominali mi ludzie, znający autora św. Franciszka, miał być on wielbicielem Sienkiewicza, którego całe ustępy umiał na pamięć. Odbiło się to też, chociaż nie zawsze dość wyraziście na stylu Statecznego; próbował on rywalizować w św. *Piotrze i Pawle* z zakończeniem *Quo vadis*, a *Bez dogmatu* użyczyło mu niejednej ozdoby do *Samoobrony*. Czyżby pozaświadome poczucie zależności i niższości wobec tych dwu dzieł Sienkiewicza podszeptało autorowi *Modernizmu literackiego* wyrazy potępienia? O innych dziełach Sienkiewicza mówi spokojnie i z zachwytem. Owo niedobre towarzystwo krytyków polskich prawdopodobnie wypłynęło także z jakiejś pozaświadomej asocjacji, gdyż niewątpliwie ani Feldman ani Jellenta nie zamyślali służyć modernizmowi w rozumieniu Statecznego, a zestawienie ich w jednym szeregu ze Zdziechowskim i Wasilewskim nie świadczy o znajomości gruntownej dążeń obu ostatnich krytyków.

Sympatie Statecznego do poetów Młodej Polski nawet pomniejszych np. Butrymowicza, skłonność jego do poszukiwa-

nia nastrojów za ich wzorem, stylistyczne wreszcie od nich zażyczenia i przyswojenie sobie całej frazeologii, panującej po r. 1900 wśród młodszego pokolenia, występują najjaśniej może w szkicu *Z wieży Liebicha*, jednym z najlepszych utworów Statecznego po r. 1903.

XVI. PRÓBA SYNTEZY

Na rozstaniu się z czytelnikiem niniejszej rozprawy winien jestem tak jemu, jak przedmiotowi mej pracy kilka słów końcowych, będących nie tyle wymaganą zwyczajowo syntezą, ile ponownym, skróconym niejako rozważaniem możliwości, które w ciągu pisania się nasuwały.

Świadomie poświęciłem więcej miejsca człowiekowi niż pisarzowi, skoro znaczna część naukowych prac Statecznego wymagałaby rozpatrzenia przez teologa, którym nie jestem. Zdaje sobie jednak sprawę, że na to przyszłoby nam długo czekać; jeżeli więc próbuję coś zbudować na tak wąskiej podstawie, jak czysto literackie, czyli przede wszystkim formalne wartości dzieł Statecznego, to moje wywody mają znaczenie tylko względne i jednostronne. Drugi powód mego postępowania tkwił w fakcie, że człowiek, a nie pisarz przeważał w Statecznym, chociaż tak namiętnie przez tyle lat oddawał się pisaniu, chociaż chorował na przerost literatury gdzieś do r. 1915. Działalność bowiem pisarska stała się w przymusowych warunkach życia ujściem dla wszystkich sił żywotnych, nie mających zwykłego u innych ludzi odpływu. Nęcić musiała również chęć pokonania trudności, tkwiącej w zespoleńiu w jednej osobie hagiografa i zbuntowanego syna wieku, niemal ateisty, nęciło rozwiązanie zagadnienia, dlaczego ostatecznie zwyciężył zakonnik, syn św. Franciszka, a zainteresowanie podniecała atmosfera pełna nieudomówień i wahania się wielu przygodnych, a nawet bliskich Statecznemu znajomych, w której zatracala się jasna ocena, czy był on nieprzeciętnym, czy niemal obłąkanym człowiekiem, czy chlubą czy niepotrzebnym wytworem społeczeństwa śląskiego.

Wbrew powszechnemu przekonaniu o cechach właściwych Górnosłazakom nie widzieliśmy w nim człowieka twardego, szorstkiego, ale o złotym sercu. Przeciwnie, lecz zgodnie z tym, co wiemy o innych Ślązakach, poświęcających się literaturze,

jak np. o Bonczyku, Damrocie i Jaroniu, wystąpiła przed nami jednostka przeczulona i przewrażliwiona mimo zapalnego temperamentu i stąd nosząca w sobie zarody rozdziwienia. Ciekaw jest żywiołowo życia, a cofa się przed zetknięciem się z nim na czas dłuższy, niż jest potrzebny dla zaspokojenia pierwszego głodu ciekawości, stąd pochodzi nienasylenie i równoczesne rozczarowanie do wszystkich i wszystkiego. Pewna naiwność życiowa mimo wrodzonych zdolności i wykształcenia, oraz wewnętrzne sprzeczności nie pozwalają na przypisanie winy nieśczęśliwych przeżyć samemu tylko Statecznemu. Ludzie z jego naturą stają się zwykle ofiarami swoich odruchów i okoliczności, logiczni w snutych przez siebie teoriach stają bezradni w życiu praktycznym i ulegają wbrew woli i wiedzy instynktom.

Rozumiemy dobrze, że człowiek o takim usposobieniu będzie szukał spokoju w klasztorze, że atoli do zakonu nie doprowadzi go powołanie w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz splot okoliczności, w których znalazł się dzięki swej nieznaności życia i powodowaniu się odruchami bujnej natury. Do tego zakonu będzie wracał po chwilowych ucieczkach, gdyż on tylko jeszcze dawał mu możliwość uniknięcia gorszych przeżyć, które czekały go za jego murami. Może łatwiej przyszyłoby mu nawyknąć do kompromisu życiowego, gdyby ogółem nigdy nie był wstąpił do klasztoru, ale to przypuszczenie, oparte na tak zawodnym: g d y b y, niczego nie może nam wyjaśnić. Przyczyną powrotów w mury klasztorne jest raczej przymus wewnętrzny niż zewnętrzne podniety. Bo zakon — a widzieć to musiał Stateczny — dał mu wiele, przede wszystkim zaś wykształcenie i patriotyzm, dawał mu możliwość wybicia się, lecz dziwną sprzecznością w chwilach ciężkiego doświadczenia wini go „drugi” Stateczny o złamanie życia, o pozbawienie wolności itd. Gdyby po tych wybuchach nie brał góry właściwy Stateczny, moglibyśmy bez zastrzeżeń rozpatrywać cały ten zawiły proces psychiczny jako jeden jeszcze przykład duchownego, pokłóconego ze swoim powołaniem. Nie będzie wszakże od rzeczy przyjrzeć się kilku podobnym wynurzeniom z literatury polskiej. Pominąć tu musimy Stanisława Orzechowskiego mimo podobieństwa temperamentu i wytrwałego obstawania przy katolicyzmie, sko-

ro główny powód skłócenia się jego z Kościołem, małżeństwo, nie odegrał roli w przeżyciach Statecznego⁵²).

Więcej podobieństwa uczuć i przeżyć kryje się w mało znanym wierszu Franciszka Dionizego Książnina:

Dziecko nabożnym złudzone przesądem
 Pęta przyjąłem, wbrew idąc naturze,
 Błąd ten zbawiennym ukrył się obrządem
 W świętej posturze.
 Duch mój i ciało oddane w niewolę,
 Przykre sam na się włożyłem kajdany,
 Chcąc nie chcąc smutną ucierpiałem dolę
 Więzień spętany.
 Choć się wzdagałem tam czuciów natury,
 Czuć jednak wyższą musiałem potęgę,
 Która wśród ciemnej mierzwi klauzury
 Próżną przysięgę.
 W takowym stanie któż wesół zostawa,
 Gdzie myśl się waha, a namiętność kłóci,
 Nie zgładzą żadne hamulce i prawa
 Wewnętrznej chuci⁵³).

Są wprawdzie i różnice między Statecznym a Książninem, który nie został nigdy księdzem, z zakonu zaś wyzwolił się skutkiem kasacji jezuitów, lecz ostatnia zwłaszcza zwrotka oddaje dobrze stan duszy mnicha, którym zaczyna owładać zakon ciała. Z poetów górnośląskich można by przytoczyć *Echo z więzienia*, napisane przez Norberta Bonczyka, jako kleryka oraz *Suche kwiaty* i *Różę* Damrotha, chociaż ich podłożem są uczucia miłosne, które niewielką odegrały rolę w wewnętrznej walce Statecznego.

Walka ta odbywa się głównie na tle intelektualnym, a uczucia i wrażenia spełniają tylko rolę pobocznych, choć niekiedy bardzo silnych bodźców. Stateczny posiadał niewątpliwie wielkie zdolności, w których sam słusznie zauważył lotność i konsekwentność w teorii, zdolności kombinacyjne, oraz rozum krytyczny, osadzone na gruncie wrażliwej zmysłowości. Przełożeni zakonni widzieli zdolności Statecznego, mniej zważali na jego zmysłowość, z którą się zresztą krył, widzieli jego upór w staraniach o dostanie się do klasztoru i chcieli zużyć go jak najkorzystniej dla otoczenia, nie doceniali wszakże całokształtu

⁵²) Por. Ludwik Kubala: *Stanisław Orzechowski*, Lwów (Nauka i Sztuka, t. I), zwłaszcza str. 12—13, 17—18, 40—43, 46, 72—76, 80, 82-3.

⁵³) *Pamiętnik Warszawski* z r. 1819, t. XIV, str. 96—97.

psychicznego ani nie przewidzieli załamania się tej bogatej indywidualności i niebezpieczeństwa, tkwiącego w jego ideale zakonnika, stojącego na poziomie kultury swego wieku i kraju. Kulturę tę na razie brał z książek, co mogło być korzystne dla jego wyrobienia duchowego, gdyby jako korektor tych zdobyczy działało życie czynne lub przynajmniej obcowanie z ludźmi o pokrewnych dążeniach i zamiłowaniach. Było ich zapewne kilku w czasach rzymskich, ale wpływ ich nie mógł zrównoważyć namiętnego oddawania się lekturze. To samo powtarzało się przy dorywczych wakacyjnych wycieczkach w świat współczesny. Rządziła ich kierunkiem i doбором gorączkowa ciekawość zmysłowa. Dlatego wpływ książek przeważał, nie układając się atoli w żadną syntezę. Selekcja krytyczna wrażeń lektury słabła z latami, wyodrębniały się coraz więcej w dwie grupy, aż doszło do współistnienia dwu niemal indywidualności: zakonnika i syna wieku. Pierwszy opierał się na potężnym wpływie literatury franciszkańskiej, na poczuciu obowiązku, zaciągniętego wobec zakonu wbrew woli rodziców i na szczerej miłości św. Franciszka, drugiemu szła w pomoc literatura „zakazana”, duch wieku, zmysłowość i bądź co bądź niezwykłość okoliczności, w których schronił się do klasztoru. Panowanie pierwszego nad drugim zawisło od stanu zdrowia; gdy ten się zepsuł, nastąpiło wyzwolenie „syna wieku”, który ufny w potęgę kultury współczesnej uporczywie szukał w niej lekarstwa na fizyczne i psychiczne dolegliwości. Stąd jednym z najdobitniejszych wyrazów tej kultury stanie się dla niego apteka, jako symbol tych lekarstw, którymi leczył ciało. Narkotyki, chociaż czuł do nich wstręt i obawę, towarzyszą mu przez kilka lat życia; gdy zacznie w nich podejrzewać działanie jakichś sił wrogich sobie, już będzie za późno na odzwyczajenie się od nich, będzie się sam dobrowolnie nimi zatruwał, winiąc o to swoje otoczenie. Na tym tle wyrośnie wiara w rzekomo nałożoną na niego „rehabilitację” za grzechy młodości i niepewność, czym jest: czy kandydatem na świętego, czy „niemoralnym człowiekiem, podejrzanym złodziejem, błaznem bezprawnym i bezdomnym”, jak to w chwilach najgorszych „okrutnego rozłamania” przypuszczał, że sądzi o nim otoczenie.

Okiełzanie „drugiego” Statecznego zależało od usunięcia zupełnego tych czynników, które jego wyzwoleniu sprzyjały, a więc od rozczarowania się do kultury współczesnej, ograni-

czenia lektury, wyzbycia się pieniędzy osobistych i podleczenia trapiącej Statecznego choroby skórnej, jeżeli pod uwagę weźmiemy tylko rzeczy raczej zewnętrzne. Po ich osłabieniu lub zaniku mogła niezbyt silna zresztą wola właściwego Statecznego zaprowadzić porządek w życiu psychicznym, wyzwolić się spod władzy popędów i zażegnać wewnętrzne sprzeczności.

Atoli z wygaśnięciem tych ludzkich, arcyłudzkich — chciałoby się powiedzieć — ognisk niepokoju, gaśnie także Stateczny jako pisarz. Nie był on literatem z natury, z nieodpartego niejako przymusu wewnętrznego, chociaż w niektórych okresach opanowywała go namiętność pisania. W dziełach swoich wyładowywał raczej energię, której w życiu zakonnym inaczej zużyć nie umiał, czy nie mógł, niż wypowiadał się skutkiem nieodpartej konieczności. Jeżeli ona działała kiedykolwiek, to chyba przy powstawaniu *Samoobrony* i *Samopotępienia* dzięki brakowi kontroli krytycznej. „Drugi” Stateczny zdawał sobie z tego sprawę, wypowiadając się o tym nieco przesadnie: „O ile w dawniejszym pisaniu miewałem jakiś sztuczny cel na oku, jako to w »historii filozofii« szczycenie się uczonością, w »kazaniach« retoryką i znajomością życia, w »obrazkach śląskich« patriotyzmem, w »żywocie św. Franciszka z Asyżu« krytyką i stylistyką, w »katechizmie socjalistycznym« czystym rozumem, obranym z wszelkiego uczucia i mistycyzmu, wszelkiej fantazji i wiary, w czterech »książeczkach do nabożeństwa« pobożnością, o tyle w niniejszym (w *Samoobronie*) chciałem tylko czystą prawdę przedstawić i moją rozpacz.” Otóż i to ostatnie dzieło miało cel i to może najsztuczniejszy: apologię własnych win obok literackiego w złym słowa znaczeniu oskarżania się pozornego i przystrajania własnych przeżyć, a często przywidzeń w szaty literackie. Ono też ocieka najwięcej reminiscencjami z lektury, ono, posługując się przesadnym wyrażeniem samego autora, wykazuje „zmysł wybitny małpowania” i „gonienia za oryginalnością wszędzie”. Pamiętać wszakże należy, w jakich powstało ono okolicznościach i że właściwości te występują o wiele słabiej w *Samopotępieniu*.

Z dzieł Statecznego widać, że mimo wysiłków nie stał się nowożytnym człowiekiem, tkwił w nim spory podkład romantyczny, a nawet średniowieczny, który przystosowywał się do nowoczesności, ale wydobywał się spod niej przy sposobności jak u tylu innych zresztą pisarzy na przełomie XIX i XX w.

Romantyzm raczej niż nowoczesność widać w umiłowaniu przez Statecznego przyrody, które często przechodzi w pokusę równie silną jak rozkosz lub sława, a utrwała się pod wpływem literatury. Właściwie tylko ono, odczucie przyrody nie opuszcza nigdy Statecznego, obok niego zaś równą niemal stale siłę objawiają patriotyzm i cześć św. Biedaczyny z Asyżu. Te trzy uczucia przywracają mu często zwichniętą równowagę życiową.

Gdyby w Statecznym miało się szukać podobieństwa do której z wielkich postaci w literaturze, w które twórcy wcielili typ człowieka rozdwojonego, to nie z Hamletem ani Faustem, lecz raczej z hr. Henrykiem z *Nieboskiej Komedii* należałoby go porównać, chociaż Henrykowi nadmiar wyobraźni przeszkadzał w stworzeniu pieśni, Statecznego zaś głównym brakiem była właśnie słaba wyobraźnia. Zastąpił ją usilną pracą i szczęśliwym wyborem tematów. Dzięki pracy wytworzył styl własny, nieco eklektyczny, w którym właściwości górnośląskie występują stosunkowo słabo, dodając mu odrębnego zabarwienia. Styl to nieco nerwowy i mimo wpływu pisarzy polskich dawniejszych epok zbliżony do prozaików Młodej Polski, a więc rówieśników Statecznego. Tematy poruszał na ogół odpowiadające jego wewnętrznemu nastrojowi w danej chwili i nieprzekraczające przeważnie jego możliwości twórczych. Ponieważ zaś poruszał się w świecie rzeczy dobrze sobie znanych bądź ze studiów naukowych, bądź z własnych wspomnień, nie walczył zbyt wiele z doborem należytego wysłowienia. Dzięki znajomości literatury najnowszej nie tylko polskiej, lecz także obcej umiał posługiwać się zdobyczami techniki pisarskiej w sposób zadowalający, chociaż nigdy nie wzbił się zbyt wysoko. Zdobywał wszakże te środki techniczne nieco mozolnie i to obok braku wyobraźni twórczej osłabiało wrażenie ogłoszonych przez niego drukiem dzieł. Przyczyniały się do tego osłabienia dwie nadto okoliczności zewnętrzne: 1) utwory jego pojawiały się przeważnie w czasopiśmie mało znanych światu literackiemu, czytali je ludzie, dla których wartości formalne były czymś podrzędnym i których sąd o tych wartościach, jeżeli się na nich poznali, nie docierał do zawodowej krytyki literackiej i tworzącej ocenę literacką publiczności; 2) ogłaszał swoje rzeczy albo bezimiennie albo pod pseudonimem lub z dodatkiem swego tytułu zakonnego w czasach, w których nikt nie przypuszczał, żeby duchowny mógł czegoś w literaturze dokonać.

Znaczenie więc twórczości literackiej Statecznego ustaliło się na razie w literaturze bernardyńskiej XIX w., w której obok Golichowskiego i Bogdalskiego jest najwybitniejszym przedstawicielem sztuki pisarskiej i nauki, oraz w piśmiennictwie górnośląskim, w którym jako prozaik wyróżnia się nie tylko czystością i pięknnością swej polszczyzny, lecz także doprowadzeniem prozy śląskiej do poziomu współczesnej literatury polskiej. Nie ma w jego stylu polskim tego opóźnienia rozwojowego, z którym spotykaliśmy się u poprzednich prozaików śląskich XIX w. To byłoby względne raczej uzasadnienie stanowiska Statecznego w literaturze polskiej, jest atoli i istotne, a mianowicie utwory hagiograficzne, zwłaszcza zaś *Żywot św. Franciszka z Asyżu* i *Pierwowzory*. Blakną wobec nich jego kazania, chociaż w literaturze kaznodziejskiej tego czasu nie należą do ostatnich i *Obrazki ze Śląska Polskiego*, w których dydaktyzm i brak wyobraźni przytłumiły siłę środków świadomie artystycznych, użytych w tych rozmiarach w literaturze ludowej po raz pierwszy właśnie przez Statecznego. Nie można także pominąć jego impresji, a zwłaszcza *Z wieży Liebicha*.

Nie jest Stateczny jako pisarz wybitnym zjawiskiem, nie zasługuje wszakże na zapomnienie, najciekawsze niewątpliwie jest jego życie, tworzące niemal fantastyczną powieść, zakończoną akordem podniosłym zwycięstwa zakonu ducha nad zakonem ciała.

XVII. BIBLIOGRAFIA PRAC O. E. F. STATECZNEGO

(Zestawienie tymczasowe)

1. *Wspomnienia z Wenecji* — „*Przyjaciel Ludu*”, Poznań 1888¹⁾.
2. *Prasa a Leon XIII* — „*Katolik*”, Bytom 1888¹⁾.
3. *Na posterunku* — „*Nowiny Raciborskie*”, Raciborz 1895¹⁾.
4. *Listy z Rzymu* (bez podpisu). — „*Nowiny Raciborskie*”, Raciborz 1894²⁾.
5. *Urywki o Rzymie z Rzymu* (bez podpisu). — „*Kurjer Górnośląski*”, Raciborz 1895³⁾.

¹⁾ Tytułów drukowanych kursywą prac nie mogłem sprawdzić, wiadomość o nich czerpię z własnoręcznej notatki Statecznego, wręczonej o. Bogdalskiemu na kilka miesięcy przed śmiercią.

²⁾ We wspomnianej notatce: „*Z Rzymu*” r. 1896—98. Racibórz „*Nowiny Raciborskie*”.

³⁾ W notatce: „*Z Rzymu o Rzymie*” r. 1897—98 Racibórz. „*Kurjer Górnośląski*”.

6. De consolatione scientiae. — Acta Ord. Min. XIV i osobno, Quaracchi 1895.
7. Z Rzymu. — „Gazeta Opolska”. Opole 1895—99.¹⁾
8. Urywki o Śląsku (Staropolanin). — „Gazeta Opolska”, Opole 1896.
9. Z Asyżu (Staropolanin). — „Gazeta Opolska”, Opole 1896.
10. Z Alwernii. — „Czas”, Kraków 1897¹⁾.
11. Nero w cyrku (recenzja Siemiradzkiego). — „Przegląd”, Lwów 1898¹⁾.
12. Kilka uwag z powodu książki dr Feliksa Konecznego „Dzieje Śląska” uczynił Staropolanin (w rękopisie).
13. Kopciuszek Śląski. (Staropolanin), „Opolanin”, kalendarz na rok 1898¹⁾.
14. Urywki o Śląsku II. — „Gazeta Opolska”, Opole 1897—8.
15. Compendium historiae philosophiae. Roma 1898.
16. Pierwowzory (Św. Ignacy z Antiochii, Św. Polikarp, Św. Symeon, Św. Szczepan, Św. Piotr i Paweł, Grobowiec Flawiuszów, Św. Klemens). — „Gazeta Kościelna”, Lwów 1899—1900.
17. Chrystus Jezus, kazania. Lwów 1900.
18. Wianek ku czci N. M. Panny, Bytom 1900.
19. Anioł Stróż, Bytom 1901.
20. Ołtarzyk, Bytom 1901.
21. Wyborek, Bytom 1901.
22. Obrazki ze Śląska Polskiego⁵⁾ (Dzielny gospodarz z Siolkowic, Ksiądz Jan, Nowe pokolenie, Na łące Śląskiej, Spór, Walka kulturalna, Opowiadanie dziadka, Widok, Przedstawienie teatralne, Gromada w Rzeczycach, Wigilia górnika (?), Wśród dymu i ciemności. Zabawne nawrócenie Francka Krybusa, Zdrayca, Mężna niewiasta, Spuścizna, Pielgrzymka górnośląska), „Górnoślązak”, Katowice 1902 do 1903.

(Pięć pierwszych Obrazków wyszło osobno p. t. Staropolanin: Obrazki ze Śląska Polskiego I. Katowice 1903; Zabawne nawrócenie Francka Krybusa, przedrukowano w jakimś kalendarzu lwowskim na rok 1904.)

⁴⁾ W notatce tytuł kalendarza podany błędnie jako „Staropolanin“, nadto uwaga: „Za tę nowelkę miał autor proces i został skazany na 6 miesięcy, redaktor jednak nie zdradził autora i sam odsiedział karę. Nazywał się Bronisław Koraszewski, jeszcze żyje.“ Imię i nazwisko redaktora Stateczny wykreślił. Nieścisłość uwagi widoczna wobec wyroku, przytoczonego w Dodatkach. „Kopciuszek Śląski“ przerobiony ukazał się p. t. „Walka kulturalna“ w „Górnoślązaku“ z r. 1902.

⁵⁾ W notatce Statecznego podano dwukrotnie tę pozycję jako „Nowele“, raz drukowane w dodatku do „Gazety Opolskiej“, Opole 1898, drugi w odcinku „Górnoślązaka“, Katowice 1900—1902. W pierwszym wypadku możliwe jest pomieszczenie „Obrazków“ z „Urywkami o Śląsku“, w drugim oczywiście pomyłka w datach rocznych. „Urywków o Śląsku“ Stateczny nie wymienia, jak również całego szeregu innych swoich prac, zestawionych w tym wykazie przeze mnie. Jest to wyjaśnione uwagą wstępną notatki: „Oprócz wyżej zanotowanych druków napisał i ogłosił“. Te wyżej zanotowane druki to zapewne wykaz dzieł w którejs z osobno wydanych książek.

23. Kazanie o św. Marcinie (z rękopisu wydrukowane w *Dodatkach*).
24. De scriptis Seraphici Doctoris. De vita Seraphici Doctoris. „S. Bonaventurae. Opera omnia” etc. Ad Claras Aquas 1902, t. X. p. 1—73⁶).
25. Katechizm socjalistyczny (w rękopisie niekompletnym).
26. Z wieży Liebicha. „Przegląd Kościelny”, XI, Poznań 1907. (Całość w „Zaraniu Śląskim” z r. 1934.)
27. Żywot św. Antoniego z Padwy. Bytom 1909. (Jeden rozdział w „Unitas” I, Poznań 1909.)
28. Godło Krzyża. — „Unitas” II, Poznań 1909.
29. Guarapuava. — „Dziennik Poznański”, Poznań 1909⁷).
30. *Parana. Bytom 1909, odbitka z „Katolika”*¹⁾).
31. Obrona Guarapuawy. — „Dziennik Poznański”, Poznań 1910.
32. Hiszpania i Watykan. — „Miesięcznik Kościelny (Unitas)”, t. IV, Poznań 1910.
33. Z powodu encykliki pap. o św. Karolu Bor. — „Miesięcznik Kościelny (Unitas)”, t. IV, Poznań 1910.
34. „Sillon” we Francji. — „Miesięcznik Kościelny (Unitas)”, t. IV, Poznań 1910.
35. Kazanie na dzień zaduszny. „Nowa Biblioteka kaznodz.”, t. VIII, Poznań 1910.
36. Tragedya jasnogórska. — „Miesięcznik Kościelny”, t. V, Poznań 1911.
37. Protest zbiorowy O. O. Jezuitów i t. d. — „Miesięcznik Kościelny”, t. V, Poznań 1911.
38. Przysięga antymodernistyczna. — „Miesięcznik Kościelny”, t. VI, Poznań 1911.
39. Demokracja chrześcijańska w systemie społecznym sillonistów francuskich. — „Miesięcznik Kościelny”, t. VI, Poznań 1911.
40. Walka o duszę ludu polskiego (Ksiądz). — „Górnoślązak” i „Nowiny Raciborskie” 1911.
41. Hasła socjalistyczne a podstawowe prawdy chrz.⁸). — „Mies. Kościelny”, t. VII. Poznań 1912.
42. Filantropia w szacie „Dobrego pasterza”. — „Miesięcznik Kościelny”, t. VIII. Poznań 1912.
43. Początki kongresów eucharystycznych. — „Miesięcznik Kościelny”, t. VIII. Poznań 1912.
44. Żywot św. Franciszka z Asyżu. Poznań 1912. II wyd. 1926.
(Z tego dzieła poszczególne rozdziały w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900 i 1904, w t. VI, X i XI „Przeglądu Kościelnego” z r. 1904, 1906 i 1907.)

⁶) W notatce wymienione jako „Vita Seraphici Doctoris S. Bonaventurae”.

⁷) W notatce błędna data: 1908.

⁸) Prawdopodobnie ten artykuł i drugi, wymieniony pod l. 51, miał na myśli Stateczny, pisząc w notatce: „Filozofia socjalizmu” r. 1913. Poznań, „Miesięcznik Kościelny”. Tam znajduje się cały szereg artykułów i recenzji ks. Stateczn... od 1906—1915 był bowiem stałym współpracownikiem. Daty jak często w tej notatce niedokładne.

45. Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka z Asyżu. Poznań 1913. (Z tego dzieła rozdział I w t. XI „Przeglądu Kościelnego” z r. 1907, rozdział zaś ostatni i niektóre części rozdz. przedostatniego w t. IV, VII, IX i X „Miesięcznika Kościelnego” z r. 1910, 1912 i 1913.)
46. Modernizm literacki. „Filareta” r. III i osobna odbitka, Poznań 1913.
47. „Dobry pasterz” na Winiarach pod Poznaniem, Poznań 1913.
48. Przewodnik do konferencji dla SS. Pasterek do spowiedzi itd. Poznań 1913.
49. Artykuły drobne (3 na pewno Statecznego). „Wiadomości Apologetyczne”, Gniezno 1913.
50. Recenzje i wzmianki o książkach w t. VII, VIII, IX i X „Miesięcz. Kośc.” z r. 1912—13.
51. Idea państwa w systemie socjalistycznym. „Miesięcznik Kośc.”, t. XII, Poznań 1914.
52. Rozmyślenia z roku 1914 i 1915 (w rękopisie).
53. Przemowy (Na poświęcenie sztandaru robotniczego, Na poświęcenie dzwonów, Na poświęcenie cmentarza, Na poświęcenie wieży kościelnej, Do pątników wybierających się, Na poświęcenie organów, Na zakończenie roku, Do pątników przybyłych na miejsce cud., Do pątników opuszczających miejsce cudowne. („Nowa Biblioteka kaznodziejska”, t. XIV, XV, XIX z r. 1913 i 1916⁹).
54. Kazania (na niedzielę IX po Świątkach, na uroczystość św. Jadwigi, św. Franciszka z Asyżu, M. B. Różańcowej, WW. Świętych, na niedzielę IV Adwentu, na niedz. II, III, V, X, XI, XV, XIX, XXIII po Świątkach, I, II, III, IV i V po Wielkanocy, mięsopustną, III postu, Starozapustną, Wielkanocną, po Wniebowstąpieniu). „Nowa Bibl. kazn.”, t. XIV, XV, XXII, XXIII, XXV—XXVII z r. 1913, 1917—1920.¹⁰)
55. Żywot i pisma Doktora Ser. św. Bonawentury. Poznań 1915. (Cz. II t. j. Pisma w t. X „Miesięcznika Kościelnego” z r. 1913.)
56. Samoobrona i Samopotępienie, pisane od r. 1907—1915 (w rękopisie, to samo po włosku).
57. De primaria calamitate sociali: Falsificatio esculentorum et poculentorum. Polonice, Germanice, Latine, Racibórz 1915.
58. Kobieta tercjarka św. Franciszka z Asyżu. Lwów 1916¹¹).
59. Konferencje o rzeczach ostatecznych. „Nowa Bibl. kazn.”, t. XXI—XXVII r. 1917—20.
60. Człowiek w raju na ziemi i w niebie (rękopis prawdopodobnie zaginął¹²).

⁹) W notatce daty nieściśle dopisane ołówkiem: 1912—1920.

¹⁰) W notatce „Homilie” r. 1912 do 1920 w „Nowej Bibliotece kaznodziejskiej” Gniezno.

¹¹) W notatce i w *Listach o wymowie* data błędna: 1917.

¹²) W notatce dodatek: „Synteza roztrząsań myśli na tle nauki i wiary. Trzy tomy w druku w drukarni św. Wojciecha w Poznaniu 1921-3. Za 9.000 Mp. sprzedany rękopis.” Ostatnie zdanie autor przekreślił atramentem i ołówkiem.

61. Niech żyje Polska! List otwarty do red. Józefa Biniszewicza. „Gazeta Robotnicza”. Katowice 1919.
62. *Kwestia starozakonna w Nowej Polsce*. „Słowo Kujawskie”, Włocławek 1919¹⁾.
63. *Co robić z cerkwią na Nowym rynku*. „Gazeta Kujawska” 1919¹⁾.
64. Listy o wymowie, Poznań 1920.
(List I drukowany w „Gazecie Kościelnej” z r. 1900, całość po raz pierwszy w „N. Bibliotece Kazn.” t. XIV—XV, Poznań 1913—1914.)
65. *Kronika miasta i klasztoru w Kole*, r. 1920, znajduje się w rękopisie w archiwum prowincjalnym, Leżajsk¹³⁾.

Z wymienionych powyżej prac nie wzmiankuje Stateczny w swej notatce dla o. Bogdańskiego pozycji 6, 8, 9, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 23, 25, 26, 27, 28, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 42, 43, 46, 47, 48, 49, 52, 56, 57, 61 i prawdopodobnie także 59. Na notatce wyłącznie oparte są wiadomości o pozycjach: 1, 2, 3, 7, 10, 11, 30, 62 i 63, czyli ogółem 9, przeważnie mniejszego znaczenia. Wspomniana notatka zawiera ogółem 26 pozycji.

¹³⁾ Słowo Leżajsk dopisał Stateczny ołówkiem. Archiwum prowincji małopolskiej, do której należy także w klasztor w Kole, znajduje się we Lwowie. Sprawdziłem drogą korespondencji i w rozmowie z o. Rogowskim, że rękopisu Kroniki nie ma ani w Leżajsku, ani we Lwowie, ani w Kole, czyli najprawdopodobniej zaginął.

DODATKI

A. WYROK OPOLSKI W SPRAWIE „KOPCIUSZKA ŚLĄSKIEGO” (Signum papieru L. G. R. Formularz Nr. 233 Urtheilsausfertigung erster Instanz (§ 275 St-P-O) — Landgericht.)

[Str. 1.] Im Namen des Königs. In der Strafsache gegen den Redakteur Bronislaus v. Koraszewski aus Oppeln, geboren den 15. Februar 1864 in Riewitze, Kreis Inowratzlaw, katholischer Religion, wegen Vergehens gegen die öffentliche Ordnung hat die erste Strafkammer des Königlichen Landgerichts zu Oppeln in der Sitzung vom 1. April 1898, an welcher Theil genommen haben: Westphal, Landgerichtsdirektor, als Vorsitzender, von Hermensdorff, Landgerichtsrath, Hoffmann, Landrichter, Thienel, Landrichter, Kaupisch, Amtsrichter, als Richter, dr. Ionen, Erster Staatsanwalt als Beamter der Staatsanwaltschaft, Patermann, Assistent als Gerichtsschreiber, für Recht erkannt — der Angeklagte wird wegen Vergehens gegen öffentliche Ordnung zu sechs Monaten Ge [str. 2] fängnis und zu den Kosten des Verfahrens verurtheilt.

Alle im Besitz des Verfassers, Druckers, Herausgebers, Verlegers oder Buchhändlers befindlichen und alle öffentlich ausgelegten oder öffentlich angebotenen Exemplare des Kalenders *Opolanin* für 1898 sind, soweit es sich um das Märchen unter der Ueberschrift „Kopciuszek ślązki” von Staropolanin (zu deutsch: Das schlesische Aschenbrödel von Altpole) handelt, sowie der Theil der zu ihrer Herstellung bestimmten Platten und Formen, auf welchen sich das genannte Märchen befindet, sind unbrauchbar zu machen.

G r ü n d e.

Der Angeklagte, der nach seinen eigenen Angaben Gymnasialbildung genossen, sich nachher dem Schriftstellerberuf gewidmet hat und in seiner letzten Stellung als Redakteur der Königshütter Zeitung *Głos* durch Urtheil der Ferienstrafkammer zu Beuthen O/S vom 20. August 1889 wegen Vergehens gegen § 130 ST. G. B. s. in Verbindung mit § 20 des Pressgesetzes zu 100 M Geldstrafe, in Unvermögensfalle zu zehn (von ihm auch verbüßten) Tagen Gefängniß verurtheilt worden ist, hat geständig in dem Verlage der von ihm herausgegebenen u. redigirten *Gazeta Opolska* Anfang 1898 einen Kalender f. dieses Jahr in hochpolnischer Sprache mit der Bezeichnung *Opolanin* (der Oppelner) erscheinen lassen und von der in 2000 Exemplaren hergestellten Auflage alle bis auf 265 Stück, die bei ihm noch vorgefunden und beschlag-

nahmt sind, im direkten Vertriebe an das Publikum abgesetzt. Auf Seite 41 bis 50 dieses Kalenders, von dem sich ein Exemplar im Umschlage unter dem Aktendeckel befindet, ist im erzählendem Theile ein Märchen mit der Aufschrift „Kopciuszek śląski“ von Staropolanin enthalten. Bei dem zwischen der Königlichen Staatsanwaltschaft und dem Angeklagten hierüber obwaltenden Ein- (str. 4) verständniss ist nur ein ins Deutsche übersetzter Auszug dieser Erzählung durch Verlesung der Abschrift der vom Translator Regierungskassen-Kassierer Wagner hierselbst bewirkten auszugsweisen Uebersetzung Blatt 2 der Akten zum Gegenstande der Verhandlung gemacht worden. Der Angeklagte hat die Richtigkeit dieser Uebersetzung bis auf 3 von ihm bezeichneten Stellen anerkannt und es sind über jene sowohl der Translator Wagner nach Leistung des Dolmetschereides als auch der auf Antrag des Angeklagten geladene Lektor der slawischen Sprache an der Breslauer Universität Dr. Abicht unter Berufung auf den ein für allemal geleisteten Dolmetschereid vernommen worden, der die verlesene Uebersetzung bis auf die 3 vom Angeklagten gerügten Stellen durchaus gebilligt hat, in diesen jedoch dem Letztgenannten beigetreten ist. Mit Rücksicht darauf, dass die wissenschaftliche Beschäftigung des Dr. Abicht mit der polnischen (str. 5) Sprache dem Gerichtshofe eine grössere Gewähr geboten hat, als die auf praktischen Erfahrungen beruhende Sprachkenntniss des Translators Wagner, ist der Abicht'schen Uebertragung der zweifelhaften Stellen der Vorzug gegeben worden. Darnach lautet, wie das Gericht als erwiesen annimmt, das inkriminierte Märchen im Auszuge in der deutschen Sprache also:

Od w. 9 str. 5 do w. 13 str. 30 tłumaczenie wyjątków, przy czym opuszczono ustępy: ostatni na str. 45 ww. 26—43, czwarty i piąty na str. 46 ww. 30 do 36, ustęp trzeci i czwarty na str. 48 ww. 22—33, ustęp czwarty na str. 49 ww. 17—25, ustępy 3 końcowe na str. 50 ww. 22 od słów „Zdumieli się“ do końca.

Niedokładności i niezgrabności w przekładzie: Es waren schon über 6 Jahre verflossen. — Już sześć lat mijalo; ...auf den Vater vermochte sie sich nicht zu erinnern — ojca nie pamiętała; ...die Verfolgung kaum ihr zu atmen erlaubte — prześladowania ledwo jej dychać pozwalały; ...Weinte sie bitterlich — płakała, rzewnie płakała; Nun ist's genug, Verirrte. — Dość już, przybłądo; ...Und morgen wirst du rechtzeitig Feuer im Ofen machen — A jutro wczas ogień zapalisz w piecu; ...Mutter und Tochter verblieben aus Gnaden des Teuton — matka i córka pozostały na łasce Teutona; „schon der gefährliche Teuton — już zdradliwy Teuton; ...des in der Stadt Ohlau wohnhaften Teuton — Teutonów mieszkających w Olawie; ...weinte sie immer öfter und weinte bitterlich — płakała coraz częściej i rzewniej płakała; von der Gier des gefährlichen Teuton — o chciwości zdradzieckiej Teutona; in Töpfen — w garncach; ...Ihrer Vorfahren würdig waren die beiden Töchter der Teutons — Nicodrodnemi od Teutonów były ich dwie córki; — lachten über das beweinte Schicksal desselben — śmiały się z jej losu oplakanego; ...Wirklich hatte sie sich einmal erdreistet — Wprawdzie raz ośmieliła się; ...begleiteten den Chor der Teuton's — zawtórowali chórem Teutonom; ...als Marie das sechste Jahr ihrer Sklaverei bei Teutons beendete und der junge Teuton schon das Gymnasium zu Ohlau absolviert hatte — kiedy Maryśka

właśnie kończyła rok szósty swego niewolnictwa u Teutonów a młody Teuton już był wtedy jako tako ukończył gymnasium olawskie; ...fasste sie zur Hälfte des Körpers d. i. um die Taille — uchwycił ją w pół; ...Sie gingen jedoch mit dieser um — obchodzili się zaś z nią; ...Manchmal besuchte ihn ein angesehener, ehrwürdiger Herr — niekiedy odwiedzał go jakiś pan poważny, sędziwy; ...Das bei den Teutons durchgemachte schmerzliche Leben der armen Marie — Bolesny żywot ubiegły Maryśki u Teutonów; ...Viele von den Eingedrungenen her wiederum verhöhnen es — wielu zaś wyszydza go; ...und Kolonisierung fremder Geschlechter — kolonizacji obcoziemców; ...zu einem schlesischen, polnischen Volke — w jedną śląską rodzinę polską; ...Der ehrsame und rechtschaffene Herr — Sędziwy i poczciwy pan...)

(str. 30) p. p. Soweit die Erzählung.

Der Angeklagte will zwar nicht der Verfasser dieser litterarischen Arbeit sein, er gibt jedoch zu, dass er das ihm zugesandte Manuskript durchgesehen und einige Stellen darin nicht nach seinem Geschmack gefunden habe, dass jedoch von seinem Setzer, als er (der Angeklagte) einmal einige (str. 31) Zeit von Oppeln abwesend gewesen sei, in Ermangelung von Arbeitsstoff, das auf dem Redaktionstisch befindliche Manuskript benutzt und abgedruckt worden sei und dass er die Erzählung, weil er sie bei seiner Rückkunft schon theilweise gedruckt vorgefunden habe, nun auch in der Gestalt, in der sie vom Verfasser geschrieben worden, habe durchgehen lassen. Das Gericht sieht auf Grund dessen als erwiesen an, dass der Angeklagte von dem Inhalt der von ihm verbreiteten Druckschrift Kenntniss gehabt hat.

Die Anklagebehörde erblickt nun in dem Inverkehrbringen derselben sowohl ein Vergehen gegen § 130, als auch ein solches gegen § 131 des Reichs-Strafgesetzbuchs. Dass die Thatbestandsmerkmale des Ersteren vorliegen, kann keinem Zweifel unterliegen.

Der Angeklagte hat zugegeben, dass die in Anlehnung an das Märchen vom Aschenbrödel geschriebene Erzählung allegorisch zu verstehen sei und dass die (str. 32) Geschichte der Marie, des schlesischen Aschenbrödels, die Geschichte des in Schlesien lebenden poln. Volkstammes darstelle. Wenn auch wie er zugiebt, Wolny in der polnischen Sprache der Freie heisse, so will er eine Absicht des Verfassers bei der Wahl dieses Namens für die in der Erzählung die Heldin heiratende und schützende Person ebensowenig, wie bezüglich des Namens Krakowski, was der Herr aus Krakau bedeutet, für die am Schluss des Märchens eingeführte Person des Advokaten, der in dessen drittem Abschnitte eine Erklärung und Nutzenanwendung der Erzählung giebt, nicht erkannt haben. Was konnte dem Angeklagten bei seinem Bildungsgrade ebensowenig geglaubt werden, wie die Behauptung, die Tendenz des Märchens beschränke sich nach seiner Auffassung nur darauf, das polnische Volk in Schlesien anzuregen, seine Sprache und Sitte nicht zu vernachlässigen und in deren Bewahrung dem Beispiele der Erzählung zu folgen. Bei der Feststellung der (str. 33) Bedeutung und des Zweckes der ganzen Erzählung muss man selbstverständlich diese in ihrer Gesamtheit betrachten und nicht lediglich auf die Schlussworte des Advokaten Krakowski Gewicht legen, die eine an die polnischen

Schlesier gerichtete Ermahnung zur Beobachtung gewisser Tugenden enthalten nämlich die Worte: „Nur Beständigkeit, nur Arbeit, nur Selbstverläugnung, nur gegenseitige brüderliche Liebe und Einigkeit — und Gott wird mit uns sein.“ Das Gericht sieht in dieser Hinsicht als erwiesen an, dass in den Eltern Teuton sinnbildlich die vergangenen ersten Generationen der in Schlesien lebenden Deutschen und in teutonischen Kindern die von jenen abstammende spätere und sonstige deutsche Bevölkerung Schlesiens einschliesslich der gegenwärtigen dargestellt wurden, dass den Deutschen vorgeworfen wird, sie hätten die Polen aus dem ihnen gehörigen Besitz verdrängt, sie hätten sie unterdrückt und hielten sie in der qualvollsten Knechtschaft, (str. 34) ja sie raubten ihnen den Glauben und die Muttersprache. Der in der Erzählung auftretende Advokat Krakowski, mit welchem offenbar auf den Sitz der grosspolnischen Bestrebungen in Krakau hingedeutet wird, erklärt die Bedeutung des Märchens ausdrücklich dahin mit den Worten: „Das bei den Teutons durchgemachte schmerzliche Leben der armen Marie ist eine blutige Geschichte des ganzen Schlesiens, ist ein Bild seiner Vergangenheit. Es gibt auch nicht eine Einzelheit im Leben der Marie, welche nicht bereits dem leidenden Schlesien widerfahren wäre.“

Und indem Krakowski auf den jungen Teuton übergeht, der nach dem Befehl seines Vaters in der Eltern Fußstapfen trete, wird ausdrücklich die in der Gegenwart fortdauernde angebliche Unterdrückung der schlesischen Polen durch ihre deutschen Landsleute hervorgehoben und wie folgt in den grellsten Farben geschildert:

„Und was thun so viele Jahrhunderte hindurch (str. 35) bis auf den heutigen Tag dem schlesischen (nämlich polnischen) Volke die Fremden von einer Generation bis zur anderen? Dasselbe. Die alte Teuton nützte die Arbeit der Marie aus und quälte sie in jeglicher Weise. Dasselbe thun die Leute anderen Blutes und die Hinzugekommenen in Schlesien, ausnützend den Acker- und Hütten-Reichtum, sich bereichernd mit Früchten, herauspressend den Schweiss und Blut aus deren Adern, viele hinwiederum (nämlich von den Nachkommen der früheren Einwanderer u. gegenwärtig hinzugekommen) verhöhnen es (das polnische Volk), lästern seinen Glauben und altpolnische Sitten und schlagen es täglich ins Angesicht mit neuen drakonischen Anordnungen.“ Die Art der Schilderungen der Leiden Marias und der Charaktereigenschaften und Thätlichkeiten der Familie Teuton in dem allegorischen Kleide des Märchens ist nach Ansicht des Gerichts an sich schon geeignet, die nach ihrem Nationalcharakter (str. 36) leicht erregbaren Polen, zumal durch die auch seit neuer Zeit in Oberschlesien schürenden grosspolnische Agitation die Gemüther der schlesischen Polen verhetzt sind, zu gewaltthätigen Schritten gegen die angeblichen Unterdrücker anzureizen. Die alte Teuton, die des öfteren den Beinamen „alte Furie“ erhält, wird als so hässlich wie die Nacht bezeichnet und als eine Person, die gleich einem wilden Tier die Zähne vor Freude darüber gefletscht habe, an der armen, ihre Pflichten und niedrigsten Arbeiten geduldig erfüllenden Waise, ihre Bosheit ausüben zu können. (S. 42.) Sie wird die schlimmste von der teutonischen Familie genannt

und von ihr erzählt, dass sie mit ihrem brutalen Beispiele die ganze Teutonische Familie aufgemuntert habe, die arme Marie zu quälen, dass sie die Letztere aus geringfügigen Anlässen geschlagen und bei karger Nahrung gehalten habe, die sie, während (str. 37) die Teutons an dem von Marie hergerichteten Tische Leckerbissen assen, in einem Winkelchen bei den Kohlen im Gewölbe hätte verzehren müssen, ja dass sie sie nicht einen Augenblick habe ausruhen lassen, obgleich die arme Märtyrerin unter der Arbeit vor Ermattung hingestürzt sei. (S. 44.) Dem alten Teuton wird vorgeworfen, dass er dem armen Mariechen, wenn sie in seiner Muttersprache antwortete, Ohrfeigen gegeben und wie besessen brüllend gedroht habe, sie mit den Hunden hinauszuhetzen, wenn sie noch einmal in dieser abscheulichen Sprache rede, sowie, dass er als Marie habe in ihre Kirche gehen wollen, erzürnt gegen sie losgedonnert, sie einen rüdischen Findling genannt und ihr bedeutet habe, dass er sie wohl in seine ewangelische Kirche einmal im Monat gehen lassen würde, sie jedoch nun, dass sie die katholische Kirche besuchen wolle, in keine gehen lasse (S. 45). Die Teutonischen Töchter werden (str. 38), bissig wie die Wespen genannt, da sie mit Verachtung auf das fremde Mädchen blickten, sie täglich mit bissigen Bemerkungen stichelten und über ihr Elend obendrein lachten. Dem jungen Teuton wird ein thierisches Gesicht beigelegt und nachgesagt, dass er die Marie mit Gewaltmitteln bezwungen habe, die deutsche Sprache zu erlernen, indem er nicht mit kränkenden u. spottenden Worten, groben Schimpfnamen und Schankstättengeschrei gespart, sie oftmals an den Haaren gezogen oder mit Puffen gedroht habe. (S. 46.) Das ganze Leben der polnischen Waise bei Teutons wird als Sklaverei und Martyrium bezeichnet, auch mit der Hölle verglichen.

Schon soweit ist die Erzählung nicht nur durch das Bestreben, die Deutschen als die ärgsten Unterdrücker der polnischen Schlesier hinzustellen, sondern auch durch den leidenschaftlichen Ton der Sprache geeignet (str. 39) Gewaltthatigkeiten derselben gegen ihre deutschen Mitbürger hervorzurufen. Eine Aufforderung zu bestimmten Gewaltthatigkeiten ist nicht erforderlich, es genügt, wenn sie durch die anreizende Kundgebung nahe gelegt werden. (vgl. R. G. Entsch. 2, 434 und 26, 350, Rechtsprechung des Reichsgericht 8, 110). In der Erzählung ist jedoch wie das Gericht als erwiesen annimmt, noch ausdrücklich, wenn auch im Bilde in einer für jeden Einsichtigen verständlichen Weise, zu Anwendung von Gewalt gegen die Deutschen mit dem Endziele der Lostrennung aus dem bisherigen Staatsverbande und der Vereinigung mit einem freien polnischen Staate aufgefordert. Denn als der junge Teuton nach zeitweiliger besserer Behandlung Mariens ihr die Ehre zu rauben und Gewalt anzuthun sich anschickte, stiess sie mit einer männlichen Bewegung den Bedränger von sich und schlug ihn aus voller Kraft mit den jungen und ausge- (str. 40) arbeiteten Händen ins Gesicht. Sie entfloh aus dem Hause Teuton's und wendete sich zu ihrem Beschützer Wolny, durch den nach der Bedeutung dieses Wortes (im polnischen — frei) das freigewordene Polen dargestellt wird. Marie wird für ihre Leiden und Tugenden, insbesondere für ihre Tapferkeit, die ausdrücklich hervorgehoben ist, mit der ehelichen Verbindung mit Wol-

ny und durch den Advokaten Krakowski, in dem durch den Hinweis auf Krakau, die polnische Krönungsstadt, die als ein Sitz grosspolnischer Agitation bekannt ist, dieser Anwalt des Polenthums personifiziert ist, mit dem den Deutschen wieder abgenommenen väterlichen Erbe beschenkt. Dies geschieht dadurch, dass ihr der Advokat eine Urkunde über die Abtretung des ehemaligen elterlichen Besitzthums aushändigt, oder wie es in der Erzählung lautet, einen „Bogen Papier, von welchem ein schweres Siegel herabhing“ und worin Jenes „als ewiger Besitz auf (str. 41) ihren Namen eingetragen“ ihr übereignet wurde. Dass hiermit nicht, wie der Angeklagte darthun will, auf eine gerichtliche d. h. eine im Wege Rechtsens erworbene Urkunde, sondern auf einen durch Kampf und Sieg errungenen Staatsvertrag hingewiesen ist, ergibt sich aus der ganzen Sachlage, nämlich aus dem Zusammenhange dieses Aktes mit der theilweisen Selbstbefreiung. Dies wird auch in der das Märchen erklärenden Schlussrede Krakowskis mit nackten Worten ausgeführt: „Sechs Jahre hindurch hat Marie geächzt unter den Kränkungen und den Tücken der Töchter des Teuton, und Schlesien ächzt und weint unter der brutalen Gewalt der Vereine und Colonisirung fremder Geschlechter.“

Der junge Teuton stellte der Tugend der Marie nach. Und beugt sich Schlesien nicht schon seit 6 Jahrhunderten unter dem Drucke der fortwährenden Entnationalisierung?... Aber Marie hat ausgehalten in der Tugend und ist befreit worden (str. 42) **durch eigene Tapferkeit** und durch den Stanislaus Wolny. Auch Schlesien beginnt aus dem Jahrhunderte langen Zustande der Leblösigkeit sich zu erheben, aufbewahrend die Treue der Tradition seiner Ahnen und wirkend in seinem Volke das Gefühl der polnischen Abstammung, Ehre, Ziel und verei-nend seine zerbröckelten und dunkeln Massen zu einem schlesischen, polnischen Volke, welches unsere nationale Wiedergeburt bedeutet.“

Nicht ohne Absicht ist die Zahl von sechs den Jahrhunderten schlesischer Geschichte gleichgestellten Jahren für die Dauer der Leidenszeit Mariens gewählt, auch diese zeitliche Vergleichung noch an einer zweiten Stelle der Deutung des Märchens im Schlusskapitel betont: „sechs Jahre hindurch litt Marie bei den Teutons, 6 Jahrhunderte hindurch leidet Schlesien unter der Last fremder Nationalitäten“. Es ist damit ganz deutlich auf den Verlust der Selbstständigkeit hin- (str. 43) gewiesen, den die schlesischen Fürstenthümer um die Wende des XIII Jahrhunderts dadurch erlitten haben, dass ihre Herzöge in der Zeit von 1289 ab als Vasallen unter die Krone Böhmen kamen, unter der sich aber das deutsche Wesen Schlesiens fortentwickelte. (vgl. Stenzel, Geschichte Schlesiens Seite 108, 134). Wenn man weiter erwägt, dass in dem Märchen zweifellos mit Absicht die Wendung gebraucht ist, es sei **grade** dass 6. Jahr von Mariens Sklaverei bei Teutons beendet gewesen, als ihre Auflehnung gegen den jungen Teuton erfolgt, so muss man hierin die bildliche Andeutung erblicken, dass in der Gegenwart der Zeitpunkt für die entsprechende That der polnischen Schlesier gekommen sei. Diese Andeutung ist, wie das Gericht aus den angeführten Gründen annimmt, von dem Verfasser der Geschichte beabsichtigt und auch von dem Angeklagten als einem ver-

ständigen Manne so verstanden worden. Wenn nun der letztere auch aus den (!) Ge- (str. 44) brauch des Plurals „fremder Nationalitäten“ in der letzt angezogenen Stelle der Erzählung folgert, dass noch andere in Schlesien eingedrungenen Volkstämme z. B. die Czechen, Mongolen und Franzosen in Betracht kämen, die, wenn auch nur zeitweise, das Land unterworfen hätten, so ist das deshalb ohne Bedeutung, weil wie schon aus der Wahl des Namens Teuton ersichtlich ist, die Anreizung sich nur gegen die in Schlesien sesshaft gebliebenen Deutschen richtet, die durch die genannten anderen Nationalitäten keine Einbusse erlitten haben.

Der Angeschuldigte hat durch Verbreitung der Erzählung „öffentlich“ angezeigt (angereizt?), da er, wie er selbst zugegeben hat, die Druckschrift im Publikum in nahezu 2000 Exemplaren vertrieben hat. Polen und Deutsche sind „verschiedene Klassen der Bevölkerung“ (vgl. R. G. Entsch. 17. 309“). Bei dem aus den häufigen Gerichtsverhandlungen wegen Körper- (str. 45) verletzung bekannten gewalthätigen Charakter der oberschlesischen, polnischen Bevölkerung, an die sich die mehrerwähnte Erzählung selbst wendet, muss bei ihren deutschen Mitbürgern begründete Besorgniss entstehen, dass die darin enthaltene Anreizung zu Gewaltthandlungen sehr leicht und sehr bald Erfolg haben kann, zumal ziemlich unverblümt die Gelegenheit zur gewaltsamen Befreiung als naheliegend gekennzeichnet. Darnach ist auch die weitere Voraussetzung des § 130 Strafgesetzbuches erfüllt, dass die Anreizung in einer den öffentlichen Frieden gefährdenden Weise erfolgt ist. (R. G. Entsch. 15 Seite 118, 17 Seite 310, 311 und 26 Seite 350, Rechtsprechung 8 Seite 110.) Ist sonach wie feststeht, die Anreizung durch das gedachte Märchen objektiv geeignet, den öffentlichen Frieden zu gefährden, so ist es dem Gericht bei dem Bildungsgrade des Angeklagten und bei den bekannten polnischen Bestrebungen der von ihm (str. 46) herausgegebenen Zeitung auch nicht im geringsten zweifelhaft gewesen und als erwiesen angesehen worden, dass er sich bewusst gewesen ist, dass die öffentliche Verbreitung des Märchens geeignet sei, und den Erfolg haben könne, eine zu gewalthätigkeiten (!) gegen eine andere Bevölkerungsklasse geeignete Stimmung bei den polnischen oberschlesiern (!) hervorzurufen, und dass er mit dem eintretenden Erfolge auch einverstanden ist (vergl. R. G. Entsch. 9 Seite 419).

Was das andere Strafgesetz anlangt, gegen das der Angeklagte durch dieselbe Handlung gefehlt haben soll, so scheitert die Anwendung des § 131 Strafgesetzbuchs schon darin, dass nicht ersichtlich ist, welche Staatseinrichtungen oder Anordnungen der Obrigkeit in Frage stehen. In der Erzählung findet sich der letzte Begriff überhaupt nur erwähnt, indem von vielen Deutschen behauptet ist, sie schlugen das polnische (str. 47) Volk in Schlesien täglich mit drakonischen Anordnungen ins Gesicht. Die Absicht muss im § 131 Strafgesetzbuchs jedoch auf Verächtlichmachung ganz bestimmter Staatseinrichtungen oder Anordnungen gerichtet sein (Rechtsprechung des Reichsgerichts 4 Seite 232). Mangels jeder Erkennbarkeit kann aber nicht festgestellt werden, welche Staatseinrichtungen oder obrigkeitliche Anordnungen gemeint sind. Insbesondere kann nicht die preussische Herrschaft oder

Regierung als Staatseinrichtung im Sinne des § 131 Strafgesetzbuchs aufgefasst werden, da unter diesen Begriff nur die zur Erfüllung des Staatszweckes dienenden, für die Dauer bestimmten organischen Schöpfungen, mit welchen der Staat sich einrichtet, nicht aber die Staatsgewalt im abstrakten Sinne zu rechnen sind.

Nach alledem ist gegen den Angeklagten nur thatsächlich festgestellt worden,

dass er zu Oppeln im Jahre 1898 durch die Verbreitung des von ihm herausgegebenen (str. 48) Kalenders Opolanin für 1898 und zwar der darin enthaltenen Erzählung „Kopciuszek śląski“ in einer den öffentlichen Frieden gefährdenden Weise verschiedene Klassen der Bevölkerung zu Gewaltthätigkeiten gegeneinander öffentlich angereizt hat (Vergehen gegen § 130 Strafgesetzbuchs) nicht aber

dass er durch dieselbe Handlung auch erdichtete und entstellte Thatsachen wissend, dass sie erdichtet und entstellt sind, öffentlich behauptet und verbreitet hat, um dadurch Staatseinrichtungen und Anordnungen der Obrigkeit verächtlich zu machen (Vergehen gegen § 131 Strafgesetzbuchs).

Bei der Abmessung der Strafe ist einerseits die Vorbestrafung des Angeklagten wegen desselben Vergehens und namentlich seine Gewissenlosigkeit, die sich in der Aufreizung weiterer (str. 49) Bevölkerungskreise zu unheilvollen Schritten kundgibt, und anderseits seine Verblendung in politischer Hinsicht, die wohl hauptsächlich auf seine Herkunft und Erziehung, also auf äussere Einflüsse anderer zurückzuführen ist, berücksichtigt und darnach die erkannte Strafe gewählt worden.

Die Nebenstrafe der Unbrauchbarmachung der Druckschrift und der zur ihrer Herstellung bestimmten Platten und Formen musste gemäss § 41 Strafgesetzbuchs ausgesprochen werden, während die Entscheidung über die Kosten des Verfahrens auf §§ 496, 497 Strafprozessordnung beruht.

Hoffmann. Thienel. Kaupisch.

gez.: v. Hermensdorff

zugleich für den beurlaubten

Herrn Landgerichtsdirektor Westphal

Vorstehendes Urtheil wird hiermit ausgefertigt (str. 50.)

Oppeln, den 6 April 1898.

Podpis nieczytelny (Patermann?)

Gerichtsschreiber des Königlichen Landgerichts Nr. K. I.

Pieczeń (Koen. Preuss. Landgericht Oppeln)

(u dołu strony)

Ausfertigung

An

den Redakteur Herrn Bronislaus v. Koraszewski

V. M.¹ 7/98

Oppeln.

B. GŁUPSTWA Z MŁODOŚCI¹⁾I²⁾.*Rezygnacja.*

Gdybyś, o moja przyjaciółko przedroga, nie była tym błyskotliwym motylkiem, i gdybyś, duszyczko ponętna i czysta, nie była tym miłym pieszczotliwym dzieciątkiem-aniółkiem, i gdybyś, siostró moja z ducha i widzenia, nie była przeznaczona na ofiarę nieba i ziemi, toby... A tak bądź, Bronisławo, przyjaciółką, duszą, siostrą.

II.

Przyjaźń.

Gdyby się dwie siostrzane dusze całkiem przenikać umiały w uczuciach, porywach, myślach i dziełach, iżby pokrywając się i wsiąkając w siebie, prawie unicestwiając się, stanowiły jedność, toby się najwyżej wzniosły do ideału Ducha Bożego Troistego. Równocześnie byłoby ich mistyczne wesele sprawdzianem przyjaźni i miłości. Jest-li tak pomiędzy naszymi duszami, o Heleno? Chcemyż przynajmniej do takich wyżyn frunąć, o dobra siostró?

III.

Przyjaźń.

Jako dwie róże wyrosłe z jednego pęcika wpatrują się w siebie, szepcą do siebie pieśń siostrzaną, płaczą perłami rosy i uśmiechają się połyskiem w słońcu, całują się, żyją i mrą razem — tak naszych dwóch serc siostrzanych przyjaźń jawić się będzie wzrokiem, szeptem, płaczem, uśmiechem, pocałunkiem, życiem, śmiercią, aż nasze dusze wsiąkną w duszę świata i Boga.

IV.

Obcowanie dusz.

3)

V.

Ideał.

Kwili we mnie w spokojnej rezygnacji duszyczka, szepcząc drżącymi wargami: Siostró, nad ten świat ułud i fałszu podnieśmy wzrok i skupmy go w misternie plecionej koronie cierniowej naszego oblubieńca, która oplata jego świętą głowę obwisłą i wychyla się z obłoków na krzyżu ku naszym zbołałym sercom, nęcąc ku sobie, obiecując ukojenie i spokój i wesele.

VI.

Wieniec dziewic.

Gdybyśmy, dziewice chrześcijańskie, połączyły się w jeden duchowy solidarny związek, którego duszą byłby nasz boski oblubieniec Chrystus, a ogniwami spiżowymi cnota i praca, toby wróciły czasy Agnieszki

1) Tytuł dopisany później ołówkiem chemicznym.

2) Ustęp I i część II do słów: „i wsiąkając“ przekreślony linią pionową ołówkiem chemicznym.

3) Ten ustęp, wykreślony atramentem, nie da się odczytać.

rzymskich i Katarzyn aleksandryjskich i Bronisław krakowskich i po raz drugi przemieniłybyśmy postać świata: ołowiane niebo rozwałoby się, a na uznojone czoło ludzkości włożyłaby dziewica chrześcijańska wieniec promieniający prawdą, dobrocią, pięknoscią i ładem i miarą, a przedewszystkiem pogodą i szczęśliwoscią; albowiem nic nie ma poza dziewicą czystą i kochającą.

VII.

Braterstwo.

Ja w ciebie, Bracie, tak wierzę, tak ci ufam, tak cię miłuję, iż w tobie widzę odbitą nietylko jaźń moją, ale nadto twoją duszę w swojej widzę żyjącą. I już się wolną nie czuję; bo to niewolnictwo jest zestrzeżeniem sił w jedność, a rozłożeniem trudów i bólów na cztery ramiona. To jest braterstwo, będące wszystkim, ale głównie par excellence przyjaźnią, która złe instynkta pęta.

VIII.

Kobieta.

Prawosć twojego widzenia czującego (dalszego ciągu brak).

C. SW. MARCIN*)

Wspaniały to musiał być widok, gdy św. Marcin odbywał swój wjazd tryumfalny w podwoje niebieskie.

Zdaje mi się, że góry panońskie toną w powodzi czerwonego światła, które za sobą pozostawia wschodzące słońce. Wtem z najwyższego czubu gór podnosi się świetlisty wóz, na którym kłęczy czcigodna postać starca. Wóz cały promienisty mknie w dal jakby gonił uciekające słońce, a czcigodny starzec podnosi ramiona, jakby w swe ramiona w miejsce¹⁾ słońca bóstwo chciał objąć. A para²⁾ ognistych rumaków aż skry wydziela ze siebie, taką mocą i chyżoscią wznosi się w obłoki coraz dalej, coraz wyżej. Pierwszy koń po prawej marmur by potłukł swym kopytem arabskim, tak rwie po tęczy słonecznej; a drugi acz skier z oczu wypukłych nie sypie ani kopytem tak rąbie, przecież wydoła pierwszemu, bo okrągła³⁾ wypukła pierś z łatwością rozcina przestrzeń i wytrwale wspina się coraz dalej, coraz wyżej. To też wóz zasuwa się coraz głębiej w słońce, dopóki sam się słońcem promienistym nie stanie. Oto, jeszcze raz zabłysła grzywa słoneczna przy zetknięciu się słońca i wozu tryumfalnego. Jakies pienia anielskie dały się słyszeć. Poczym widnokrąg się zamknął, brama niebieska się zatrzasnęła. Nad górami⁴⁾ panońskimi rozpostarła się cudowna noc, spokój, ukojenie. W niebie zaś w gronie świętych u stóp Boskiego Baranka zasiadł biskup i wyznawca, św. Marcin.

Ale wybyście, o wierni słuchacze, i tak odgadli, że to św. Marcin, choćym Wam o tem nie mówił; bo to wasz patron, a serca wasze czu-

*) Dopisek ołówkiem: „r. 1901. O. Euzebi Stateczny w Porębie Żeg.

¹⁾ Rkp. miesce.

²⁾ Rkp. nadpisane zam. przekreślonego (czwórka).

³⁾ okrągła.

⁴⁾ Rkp. gorami.

Je i wdzięczne taką właśnie chwałą pragnęłyby otoczyć św. Marcina. Ale nie odgadajcie jeszcze wszystkiego. Bo, proszę, czymże są te dwa dzielne rumaki, które z taką chyżością niosą św. Marcina w podwoje niebieskie? Powiedźcie mi, czym jest ten promienisty wóz, na którym św. Biskup dostał się tak wysoko, że się prawie w słońce przemienił? Oto, wierni słuchacze, te dwa rumaki, to dwie cechy charakterystyczne św. Marcina, to jego dwie cnoty, którymi za życia jaśniał: męstwo osobiste i pieczołowitość około ludu jemu powierzonego. A ów gorejący wóz, to wspólna wszystkim świętym, ale u św. Marcina do wysokiego stopnia doprowadzona cnota: duch modlitwy. Ta trójka unosiła św. Marcina przez całe życie, dopóki go nie zaprowadziła w objęcie Chrystusa⁵⁾ Pana, w niebo.

Więc chcąc zadość uczynić życzeniu Waszego serca, będę chwalił św. Marcina, waszego Patrona. A chwając go, pokażę Wam, jakim on był człowiekiem mężnym, jakim był pasterzem pieczołowitym o dobro ludu, i jakim był świętym pogrążonym w modlitwie.

Was, W. Sł., proszę o skupioną uwagę, Ducha św. o natchnienie, Najśw. Pannę o wstawienie się za mną, którą pozdrawiam pozdrowieniem anielskim: Zdrowaś Marja.

1.) Nigdy nie mogłem się, o W. Sł., zgodzić na zdanie niektórych, którzy mniemają, że aby zostać świętym, nie potrzeba celować wyjątkowym męstwem osobistym. Utrzymuję bowiem stanowczo, że żadna w ogóle świętość istnieć nie może bez wyjątkowego męstwa osobistego. Czyż męstwa nie potrzeba tam, gdzie tylu wrogów czyha na zgubę człowieka? Nęci człowieka świat ze swymi rozkoszami; podnieca ciało ze swymi pożądliwościami; zasadzkę urządza szatan ze swymi podszeptami. Królestwo Boże gwałt cierpi, i tylko gwałtownicy porywają je. Gwałtownych wysiłków, wyjątkowego męstwa potrzeba, aby o ziemię rzucić wszystkich tych wrogów, którzy nam wstęp zagradzają do Królestwa niebieskiego. Mój święty Marcin jednak, którego chwalić zamierzam, pokonał wszystkich wrogów i zdobył Królestwo niebieskie; celował zatem wyjątkowym męstwem osobistym. — Atoli z łatwością mogę się zgodzić na zdanie innych, którzy utrzymują, że mieszkańcy gór odznaczają się większą przyrodzoną dzielnością charakteru, hartem duszy i męstwem osobistym większym aniżeli mieszkańcy dolin. A skoro tak jest, to św. Marcin musiał się właśnie takim męstwem odznaczać, gdyż urodzony w górach panońskich, całą młodość spędził w tym uroczym płaskowzgórzu, na którym walka z naturą dziką, z dzikim zwierzęciem, walka szczepu osiadłego z szczepem wędrującym musiała z konieczności rzeczy przyrodzone męstwo św. Marcina jeszcze zaostrzyć i spotęgować. (Str. 2.) Stąd pochodziło, że św. Marcin był przez całe życie zawsze mężnym. Lecz ja widzę z niektórych oznak, że męstwo św. Marciniowi przyrodzone miało jeszcze inny daleko wyższy pierwiastek, mianowicie było ono darem Bożym. Inaczej wytłumaczyć nie potrafiłbym tego ważnego wypadku w życiu św. Marcina, jak chłopiec dziesięcioletni rzuca dom rodzicielski wbrew woli rodziców i ucieka do gminy chrześcijańskiej, aby się zaliczyć do grona katechumenów a potem

⁵⁾ Xrusa.

chrześcijan. Musicie bowiem wiedzieć, że podówczas⁶⁾ Panonia po większej części brodziła jeszcze w ciemności pogańskiej, w której i św. Marcin się był urodził.

Zato sięgać nie potrzebuje po pierwiastek nadprzyrodzony, aby wytłumaczyć męstwo św. Marcina, gdy zaciągnął się w szeregi⁷⁾ wojska. Wasz patron bowiem był nie tylko wielkim świętym, ale i mężnym żołnierzem. A zaciągnął się w legiony cezariańskie już w piętnastym roku swojego życia. Służył pod cesarzem Konstantym i służył pod cesarzem Julianem. A jakim mężnym był w rzemiośle wojennym, wiedzą góry pannońskie, wie Galia, wie Rzym, wie Konstantynopol, wiedzą te orły cezariańskie, pod którymi walczyć przelatywał św. Marcin sam do orła podobny z Zachodu na Wschód⁸⁾, z Północy na Południe, broniąc sprawy chorągwi, której przysięgał. — Wszelako wśród wrzawy wojennej duch jego nie dziczał, owszem wpływ nauki chrześcijańskiej, której był dotąd katechumenem, rósł, potężniał, rozkwitał. W końcu doszedł do tego stopnia, że dojrzał zupełnie i woda chrztu św. ożywiła Marcina, żołnierza, do nowego życia chrześcijańskiego. I patrzcie, o W. Śl., podczas kiedy jego cesarz Julian odszczepieniec porzuca wiarę chrześcijańską i przerzuca się do starych pogruchotanych pogańskich Bogów, jeden prosty żołnierz porzuca pogaństwo i przyjmuje wiarę chrześcijańską wbrew przykładowi króla. Czyż w tym nie upatrujecie wyjątkowego męstwa św. Marcina? Ale męstwo św. Marcina wymagało więcej. Ono się nie zadowalało tym, że umiało pokonywać naturę, zwierza, człowieka. Nauka chrześcijańska nauczyła św. Marcina, że najwyższym męstwem jest pokonywać samego siebie. I oto z 18 rokiem życia rzuca św. Marcin świat, rzuca honory, które mu obiecywało rzemiosło wojenne, i udaje się do szkoły duchownej św. Hilarego, biskupa Piktawieńskiego. Tam się rozpoczęła walka daleko trudniejsza od rzemiosła wojennego, walka z samym⁹⁾ sobą, której potykanie tylko ci ocenić umieją, którzy na drodze doskonałości chrześcijańskiej kroczyć poczęli.

Lecz w św. Marcinie jest to szczególniejsze, że on już w samych początkach tego życia doskonalszego, t. j. w tym okresie, w którym przez św. Hilarego został wyniesiony do godności biskupiej na stolicy turoneńskiej, jał się odznaczać w dwóch kierunkach, w pieczołowitości około swych bliźnich i poddanych i w duchu modlitwy. Owszem, jeżeli idzie o dobroczynność, to ja widzę, że on ją już wtedy okazywał, nim¹⁰⁾ jeszcze został chrześcijaninem. Gdy bowiem służył pod orłami cesarza Juliana, natknął się dnia pewnego na ubogiego i drżącego z zimna Amiana, współtowarzysza, który go w imię Chrystusa¹¹⁾ prosił, by go okrył. Marcin sam nic nie posiadał oprócz oręża i płaszcza, lecz litością zdjęty, zdartł ze siebie płaszcz, przepołowił go i drugą połowę pokrył Amiana. I widocznie był to jeden z najpiękniejszych uczynków św. Mar-

⁶⁾ Rkp. podowczas.

⁷⁾ Rkp. szerego.

⁸⁾ Rkp. Zachód.

⁹⁾ Samem.

¹⁰⁾ Rkp. przekreślone g d y.

¹¹⁾ Rkp. Xtusa.

cina, skoro tej samej nocy zjawia się Chrystus¹²⁾ ze słowami: Marcin katechumen, okrył mię tym płaszczem. Tak chciał okazać Chrystus¹²⁾, że co Marcin uczynił Amianowi ubogiemu, to samemu Chrystusowi¹³⁾ uczynił.

Powiedziałem jednym z najpiękniejszych uczynków, ale nie jedynym. Gdy już bowiem św. Marcin zasiadł jako biskup na stolicy turońskiej, wtedy swą dobroczynność i pieczołowitość jął okazywać zawsze i wszędzie. Wystarczy powiedzieć, że całą swoją diecezję zasiał Domami Bożymi i klasztorami. I tak w górach turońskich wystawił klasztor ogromny, w którym sam otoczony o. o. zakonnikami chętnie na modlitwie przepędzał dnie i nocy. I jeżeli w św. Benedykcie pozdrawiamy ojca zakonów zachodnich, to ja w św. Marcinie widzę brzask i przedświt zakonnego życia na Zachodzie. — A czy pieczołowitym nie był św. Marcin około zbawienia swego ludu, skoro całą głębę św. diecezji przeorał i zasiał w niej ziarno Chrystusowe¹⁴⁾. A czy pieczołowitym nie był, skoro się tak dalece oddał ludowi, że w śmiertelną popadł chorobę? Ale szczyt tej pieczołowitości widzę w tym, (str. 3) że gdy św. Marcin chce już odejść do nieba, a jego uczniowie błagają: Ojcze, dlaczego nas chcesz opuścić, on za przykładem Chrystusa¹⁵⁾, podnosi czoło w niebo i woła: Panie, jeżeli jeszcze potrzebny, nie wzdygam się przed pracą. I to jest właśnie szczyt pieczołowitości, która siebie samą poświęca i pali na ołtarzu miłości bliźniego.

Mówią niektórzy, że dzielność charakteru i dobroczynność ciągle nie idą w parze z rozmyślaniem i modlitwą. Sprzeczności, sprzeczności! Jeżeli modlitwa nie może iść w parze z dzielnością i czynnością, to niech się podrą te płótna, na których widnieją oblicza świętych! Niech się zgaszą owe świece, które płoną na ich cześć! Niech się zapadną¹⁶⁾ te ołtarze i niech się potłuką owe figury, które sławią modlitwę i dobroczynność świętych. Niech ten kościół się wyludni, jeżeli jego patron św. Marcin nie łączył dzielności charakteru z duchem Modlitwy. — Bez modlitwy nie zrozumielibyście tych kroców męczenników, którzy z pogodnym obliczem idą na największe katusze¹⁷⁾, wśród których sami kaci blednieją. Bez modlitwy nie zrozumiałbym tych ludzi jęczących na puszczy, tych pokutników w murach klasztornych, tych misjonarzy idących nawracać dzikie plemiona. Bez modlitwy nie byłoby tych dziewczyn pracujących przy warsztatach, w szpitalach, w klasztorach, przy łożu chorych i umierających. Bez modlitwy nie umiałbym pojąć szczęśliwości jednostek, kółek¹⁸⁾ rodzinnych, warstw¹⁹⁾ społecznych, narodów, ludzkości. Bez modlitwy byłaby tylko na świecie rozpacz bez-

¹²⁾ Xtus.

¹³⁾ Xtusowi.

¹⁴⁾ Xtusowej.

¹⁵⁾ Xtusa.

¹⁶⁾ Zapadne.

¹⁷⁾ Katuszy.

¹⁸⁾ Kółek.

¹⁹⁾ Warstw.

denna, bezlitośna walka o byt, gehenna! Bez modlitwy nie umiałbym pojąć ani męstwa św. Marcina, ani jego dobroczynności i pieczołowitości. Bo jeżeli on doszedł przez męstwo i dobroczynność do nieba, to właśnie dlatego, że mu modlitwa przez całe życie dodawała skrzydeł. Ona była tym wozem płomiennym, na którym św. Marcin dojechał bezpiecznie do wrót niebieskich i do Chrystusa¹⁵⁾.

Widok wzruszający. Oto ten biskup, starzec ośmdziesięcioletni, schorzały, dogorywający, klęczy zatopiony w Bogu. Uczniowie otaczają go ze łzami w oczach. Błagają, by wypoczął i spoczął już od modlitwy. Lecz on odpycha ich łagodnie, mówiąc: Pozostawcie mię, niech w niebo raczej patrzę, aniżeli w ziemię; niech duch mój będzie gotów szybować w objęcia Chrystusa¹⁵⁾. Poczym osłabł, osunął się na ziemię, nie żył. — Nie żył na ziemi, lecz żył w niebie, gdyż w tej samej chwili Seweryn biskup koloński widział, jak św. Marcin odbywał swój wjazd tryumfalny w podwoje niebieskie, i słyszał pienia anielskie towarzyszące tam tryumfowi.

W. St.! Takim był wasz patron. A wy? Czy wy go naśladujecie? Czy za przykładem św. Marcina przez męstwo, dobroczynność i modlitwę idziecie do nieba, do Chrystusa¹⁵⁾? Ludu, ó ludu, ludu, ty cały jesteś w cierpieniach. Chcesz pomocy? Wszystko i wszyscy cię opuszczają. Chrystus¹²⁾ swojego (?) ludu nigdy nie opuścił. Idź do Chrystusa¹⁵⁾. Niech cała parafia będzie rozmodlona, niech ją unoszą te dwa ogniste rumaki: męstwo i dobroczynność. Wtedy ta świątynia boża tak wspólnie odnowiona, będzie tym wozem ognistym, na którym przez męstwo i dobroczynność za przykładem św. Marcina, twego patrona, dojedziesz cała do Chrystusa¹⁵⁾, czego ci życzę z całej duszy. Amen.

[Kazanie spisane na 2 i 3/4 stron formatu arkuszowego. Na str. 4 arkusza napis: św. Marcin i przekreślony ołówkiem chemicznym inny napis, z którego można jeszcze odczytać: ks. Skoczyński / Kościelec Ch. W poniedziałek rano / przyjedzie ksiądz Gwardyan.]

D. LIST Z TRZEBNICY

Spełnienie obietnicy trzymasz, Kochany Przyjacielu, w rękach. Ześ obietnicę przed odjazdem ode mnie wymógł, jestem Ci wdzięczny, bo pismo z miejsca będzie zapewne świeższe, wierniejsze i barwniejsze aniżeli po przyjeździe opowiadanie, którego zresztą nie lubię. Przy tej sposobności mogę także uporządkować moje myśli i wrażenia doznane w dotychczasowej podróży. Nie wiem, czy w dalszej podróży zbiorę się na ochotę pisania drugiego listu; zatem niniejszy będzie obszerny, aby nadrobić brakowi dalszych krótszych wiadomości.

Ciebie zaś, młody Przyjacielu, widzę oczami duszy, jak ciekawością wieści i miłością ojczyzności kraju party ściskasz te niewinne kartki i naglisz mię do pośpiechu. Cierpliwości, mój drogi! Czy nie pamiętasz, że swoją rozważą powolną i zimną krwią Niemcy nas zawojowali i odebrali nam ten piękny płatek ziemi podobny do wdzięcznego listka bukowego, który nazywamy Śląskiem? Oni, mniej niż średnich zdolności filistrzy, odebrali nam, których natura po królewsku wyposażała! Ale łaciejby było tchnąć w zimny głaz strumień gorącej krwi, aniżeli w Twoją go-

racą krew puścić promień zimnej wody. Przy tym — żart na bok — obawiam się na prawdę, że Twoją cierpliwość wyczerpię. Zatem do rzeczy.

Pamiętam chwilę rozstania się naszego na dworcu w Katowicach. Pociąg ruszał, ja wyglądałem oknem przedziału. Tyś skinął wdzięcznie ręką, ja uchyliłem czapki, lecz nasze „do widzenia” zaledwie dosłyszalne złało się z hukiem kół, ryczeniem maszyny, ze zgrzytem zwrotnic. Tyś zapewne wrócił poważnym krokiem do swego zajęcia, ja zaś usiadłem ciężko, pozwalając się unosić w dal. Spojrzałem w górę: walizka jest! obok: mam trzech towarzyszy dymiących cygaro, żwawo gwarzących naturalnie po niemiecku, z zacięciem pruskim, a żwawiej jeszcze spluwających.

Zasunąwszy się w głębokie siedzenie, milczałem. Tylko bokiem patrzyłem przez okno na przesuwane się przedmioty, krajobrazy. Cóż ja mówię: krajobrazy? Kominy, piece, fabryki! Fabryki, piece, kominy! — oto wszystko! To też gdy pociąg stanie, raz po raz obija mi się o uszy wyraz: weiche, grube, hutte z przydomkami: Kunigunde, Georg, Laura itd.

Z wrażeń nieprzyjemnych uwalnia mię słowo: Bytom. Oto błogosławione miasto, z którego oskrzydłona myśl polska wzbija się do lotu i przenika swym wpływem warstwę społeczną, ale przede wszystkim lud polski całego Śląska. I nie wiem, co więcej podziwiać: czy poświęcenie, które tym pracownikom każe opuszczać wszystko iłożyć wszystkie siły na ołtarzu idealnej ojczyzny polskiej; czy sprężystą energię tych redaktorów i wydawców, która się na coraz nowsze zdobywa i skuteczniejsze sposoby, aby podnieść ducha narodowego na Śląsku, czy wreszcie żelazną wytrwałość ich i ich korespondentów i czytelników, która niepomna szukan doznawanych zewsząd ani kroku nie ustępuje z posterunku, owszem idzie naprzód — pewna, niezłomna, zwycięska. I nie dziw się, że mimo ich wrogiej wobec nas postawy w r. 1903 w czasie wyborów do parlamentu nie szczędzę tym ludziom pochwał. Błądzili w dobrej wierze, ale opatrzywszy się prędko, pracować jeli nadal na niwie narodowej pod dobrą wróżbą całej Polski cieszącej się z upragnionej zgody na Śląsku. A Ty wiesz przecież, że każdemu kto swoje siły oddał na usługi naszego bytu narodowego, oddam zawsze i wszędzie sprawiedliwość, nie zważając na różnicę pomniejszych zapatrywań.

Pociąg już pędził dalej, a ja myślą bawiłem jeszcze wśród grona pracowników bytomskich od „Katolika”. Jeszcze do nich wołam: Szczęść wam, Boże! ale myśl moja już się zaczyna rozwiewać, błędząc po zmieniających się wciąż krajobrazach. Już mniej fabryk i kominów, poła stają się urodzajniejsze, okolica weselsza, pagórki podnoszą się tu i ówdzie, wreszcie wśród wściekłego łoskotu wjeżdżam na dworzec Tarnowskich Gór.

Nie długo mi jest danem patrzeć na kłębiące się tłumy po peronie tarnowskim. Świst przeciągły, przeraźliwy. Pociąg rusza nieznacznie, cicho; lecz po chwili już mknie z zawrotną chyżością przy odgłosie piekielnym przesuwanym zwrotnic. Tylko czasem zamigoce wyraźniej wśród morza domostw jakiś gmach publiczny okazały, należący zapewne do urzędu hutniczego, który dawniej tu miał siedzibę główną;

tylko wyniosły kościół św. Marcina panuje miastu i okolicy, dopóki i on nie zniknie z mych oczu.

Okolica przewija się coraz spokojniejsza, a wśród niej patrzę na najspokojniejszy Lubliniec. Jakież to rdzennie polski kraj, skoro nawet pokost niemiecki unicestwić nie mógł takich nazw jak Dziewczagóra i Wymysław. Lecz z toni niebios wychyla się słodka twarz ks. Czesława Lubińskiego czyli Damrota i zachęcająco uśmiecha się do mnie ów poeta śląski, który się tu urodził i acz geniuszem nie był, przecież godnie nastroić umiał lirę polską i swymi pieśniami wtórował dzielnie naszemu nowszemu ruchowi polskiemu. Cześć takiemu kapłanowi idącemu na czele swojego ludu wśród boju o ołtarz i ognisko!

K r a k ó w

WINCENTY OGRODZIŃSKI



TREŚĆ

	Str.
I. Materiały biograficzne	7
II. Młodość (1864—1888)	10
III. Lata włoskie (1888—1898)	21
IV. W kraju i ponownie we Włoszech (1899—1903)	33
V. Profugus super faciem terrae (1903—1907)	40
VI. Walka z szatanem (1908—1915)	69
VII. Z panią biedą ku siostrze śmierci (1915—1921)	94
VIII. Przegląd twórczości literackiej z lat 1902—1920	100
IX. Pisma łacińskie	111
X. Nowele hagiograficzne	114
XI. Kaznodzieja i teoretyk wymowy	120
XII. Dzieła o św. Franciszku i pokrewne	130
XIII. Nowelistyka ludowa	142
XIV. Samoobrona i Samopotępienie	155
XV. Artykuły publicystyczne	169
XVI. Próba syntezy	176
XVII. Bibliografia prac o E. F. Statecznego	182
Dodatki:	
A. Wyrok opolski w sprawie „Kopciuszka Śląskiego“	187
B. Głupstwa z młodości	195
C. Św. Marcin	196
D. List z Trzebnicy	200

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



* E 478100 *

x xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. E. Smółki w Opolu

ni inw. : 5151 S

Syg.: 5151 S

ZBIORY ŚLĄSKIE

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Emeryla Smolki w Opolu

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

5151 S



001-005151-00-0